



N. P. I. 1420

BIBLIOTEKA
Instytutu Badań
Literackich FAN

Egz. archiwalny IBL

N.P.I 1720

PODAREK

DLA

DLA PIĘKNEJ.

THE
LIBRARY
OF THE
UNIVERSITY OF
TORONTO

FOODS

1800 1800 1800



Drawn by G. Castermole.

<http://rcin.org.pl>

Engraved by J. Goodyear.

Przyjaciółka Gertrudy podawata mu kielich...

PODAREK

DLA

PŁCI PIĘKNÉJ.

POWIEŚCI I POEZYJE

wydane przez

Karola Korwella.

OZDOBIONE RYCINAMI.

4.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGER.

1850.

POZYWANEK



Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

N. 23.341/4



Podanie Familijne.



POWIEŚĆ.

(z Rycina.)

Szczęśliwy, kogo nie próżno uczy cudze doświadczenie.

Lubo zubożały i nie tak świetny jak za dawnych czasów, jednak trwa jeszcze dotąd w Polsce ród S*, którego przodkowie posiadali mnogie włości w ziemiach: przemyskiej i lwowskiej, zajmowali pierwsze urzędy w kraju i słynęli obywatelskimi i rycerskimi cnotami. Z pomiędzy innych, takim właśnie za panowania Zygmunta Augusta był Stanisław S*, kasztelan krakowski. Spółcześni mówili o nim: — że trudno rozeznąć, uczeńszym-li jest albo cnotliwszym; że z młodych lat wiele a znacznie, dostatków swoich nieoszczędzając, krainie czynił, i że

włoskie, francuzkie i insze narody zwiedziwszy, nauką swoją był ojczyźnie pożyteczny, bo zawždy postępował sobie jako wielki miłośnik dobrej sławy i dobra powszechnego.—

Kiedy jednak Kasztelan tyle był szczęśliwym w obywatelskim zawodzie, los mało mu sprzyjał w domowém pożyciu. Pierwsza jego żona, którą najgoręcej kochał, umarła w rok po szlubie, a na domiar przeciwności, syn pozostały, odziedziczywszy po matce słabe zdrowie, niewielką czynił ojcu nadzieję, azali będzie miał komu zostawić w puśeiznie swoje imię, dostojeństwa i mnogie posiadłości. To źródło trosk, skłoniło nareszcie Kasztelana, jak to mówią już nie w pierwszėj młodości będącego, do pomyślenia o zawarciu powtórnych związków małżeńskich; jakoż wkrótce potém zwiedzając Anglią, poznał osieroconą hrabiankę szkocką, Johannę Rottrick, złożył u jēj stóp swoje imię i bogactwa, i wywiózł ją do Polski, wraz z sędziwą jēj ciotką Sarą Rottrick.

Siedm lat już było upłynęło od czasu przybycia pani Kasztelanowėj na zamek S* w przemyślskiej ziemi; ale gdy i w tym związku Kasztelan niedoczekał się drugiego potomka płci męskiej, zaczął więcej niż kiedykolwiek poświęcać się na usługi krajowe. Jego żona z pojętnością kobietom właściwą, poznawszy język i obyczaje nowėj ojczyzny, godnie utrzymywała powagę świetnego domu męzowskiego; gdy tymczasem ciotka Sara, jedynie tylko dobrym uczynkom i pobożności oddana, pamiętając, jak przy

licznych niedostatkach trudno jęj było niegdys wychowywać ulubioną Johannę, pałała najżywszą wdzięcznością dla Kasztelana, iż los jęj synowicy tak świetnie ustalił, i jedynie tém tylko się cieszyła, że, lubo w czasie częstych podróży do Warszawy, Kasztelanowa wdziękami swojemi zwracała oczy całego dworu Zygmunta Augusta i również wszystkięj młodzieży na Rusi-Czerwonęj, przecież dotąd jęj serce zupełnie głuchém było na hołdy licznych wielbicieli.

Jak się rzekło, siedm lat upłynęło w takim stanie rzeczy, gdy oto od niejakięgo czasu, młody Herbut, syn Wojewody Ruskiego, po ukończeniu nauk niedawno z Włoch przybyły, widocznie zaczął zaprzętać umysł pięknej Johannyy.

Nieco pierwěj, mąż jęj, Kasztelan, wraz z ojcem wojewodzica, wyjechali do Wiśni, na sejmiki ruskie, zwołane przed pamiętnym sejmem lubelskim, na którym Korona z Litwą ostatecznie się połączyły. Kasztelanowa została sama panią na zamku, a jednak w ich domu, zawsze otwartym dla sąsiedztwa, podług zwyczaju, liczni zbierali się goście, a między innymi bawił tam już od dwóch dni i wojewodzie.

Nie uszła przed okiem ciotki szczególniejsza uprzejmość okazywana przez wojewodzica kasztelanowęj, i zadowolenie, z jakim taż przyjmowała jego grzeczności i nadskakiwania; od tęj więc chwili zasępiło się czoło ciotki, a twarz jęj przybrała ponury wyraz.

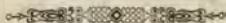
Dnia jednęgo, przed południem, wojewodzie znaj-

dował się w gabinecie Jobanny; siedząc przy niej mówił coś z cicha, a słowa jego widocznie ją wzruszały. Po chwili ujął ją za rękę, ścisnął, i długo wpatrywał się w jej anielskie oblicze. Kasztelanowa ręki nie usunęła; kiedy w tém otworzyły się przyknięte tylko drzwi bocznego pokoju, i jak złe widmo, zjawiła się przed nimi ciotka Sara.

— „Jobanno” rzecze, — mam ci coś ważnego do powiedzenia; chciałabym jednak być sam-na-sam z tobą; zajmie to nieco czasu. Pan wojewodzie znudzi się tu z nami, a goście już i tak oczekują na niego z przejażdżką przedobiedną.”

Wojewodzie wstał, ukłonił się i wyszedł. Ciotka Sara wnet zajęła jego krzesło, i wzięwszy rękę Kasztelanowej, rzekła, wskazując na złocistą zbroję, która była zawieszoną na ścianie komnaty:

— „Johanno! przypatrz się tej zbroi, jest to jedyna pamiątka po twoich przodkach; jest-to wszystko co wniosła w dom Kasztelana. Patrzałaś na to, jako na pamiątkę świetnych czynów i męstwa dziadów i nadziadów, i jabyś chyba na łożu śmierci odkryła tobie tajemnicę twojej dalekiej praprababki, jeśliby dla dobra twojego bez zwłoki wywołać jej nie trzeba było. Teraz więc słuchaj!”



•Przed półtrzecia wieku, Szkocya prowadziła z Anglią wojnę o swą niepodległość; w hrabstwie

Aberdeen wznosiło się znakomite miasto i twierdza Killdrummią zwana; lecz już ono jedno tylko pozostało jeszcze we władaniu króla szkockiego, Roberta Bruce. Z utratą tej twierdzy, sprawa jego na zawsze byłaby straconą; ale też jej położenie i męztwo jej obrońców, zabezpieczały ją przeciw wszelkiemu napadowi. Killdrummią, jak miasto Capri, zbudowane na wysokich skałach, panowało nad całą okolicą, i jeśli niepodobieństwem było wziąć je niespodzianie, niepodobniej jeszcze zdobyć szturmem, gdyż stroma skała, posadę twierdzy stanowiąca, za niedostępne przedmurze jej służyła. Najślabszą stroną tej warowni była od zachodu, ale i tu bronilo ją ogromne jezioro, którego fale o skałę się rozbijały; zrzucając przeto z góry kilka kamieni na oblegających, łatwo było przy pierwszym napadzie strącać ich w bezdenne wody. Wszakże dla Anglików, straszniejszym niż przedmurze, skały i jezioro, było męztwo dwóch dowódców, którym Robert Bruce twierdzę swoją powierzył. Jeden z nich był ów sławny James Douglas; drugi twój daleki naddziad, Kasztelanowo! hrabia Rottrick, dla jego ciemnej płci, czarnym przewany. Długie krucze włosy hrabiego spadały mu na ramiona; miał wtedy lat dwadzieścia dziewięć; był wysoki, kształtnej postaci; jego czarne oczy, jakkolwiek blasku pełne, zmuszały do uszanowania przez samą pogodność swoją: miały bowiem wyraz pokoju, pochodzącego z siły i męztwa. Nie tak jak inni wojownicy ówcześni, jedynie w czasie bitwy

był strasznym; bo skoro tylko nieprzyjaciel został pobitym lub miasto wziętém było, miecz jego wracał do pochwy; nigdy żadne mordy, żadne rabunki, pod jego dowództwem niewydarzyły się, i to wszystko jednało mu wziętość w wojskach szkockich. Powolny w mowie, z wyrazem na twarzy pełnym powagi, może nawet nadto uroczystym, lubo za ledwie doszedł wieku, kiedy się ojcem zostaje, przecież obejście się jego nawet z ludźmi starszemi co do lat, miało w sobie coś ojcowskiego, i ta powaga przy młodym wieku nie bez wdzięku była. Miał on nawet więcej nauki niż inni towarzysze broni, a kiedy podczas wypraw lub wycieczek, trzeba było przepływać ogromne szkockie jeziora, na czółnach, jak to bywało, z wołowej skóry szytych, on zwykle coś czytywał swoim podwładnym, by się dzielić z nimi nabytymi wiadomościami, jak podzierał ich trudy, dobre i złe losy.

«Jednakże i ten człowiek, tyle cnót i zalet posiadający, tak pewny siebie i spokojny w swojej sile, miał także słabość, której ulegał. Razem z Robertem Bruce walczył on wprzód za sprawę króla angielskiego, ale z nim też odstąpił Anglii, by bronić Szkocya. Tymto sposobem, będąc poprzednio na dworze Edwarda, poznał, pokochał i pojął za żonę, dziewicę imieniem Helenę, z familii Ramsay. Właśnie ową-to kobietę ubóstwiał Rottrick z taką mocą, z taką namiętnością i upojeniem, do jakich sposobni są tylko ludzie spokojni; tacy albowiem, bywając najeżęściej

panami samych siebie, i w wielu przypadkach okazując się wyższymi nad człowieka, kiedy nakoniec, niby z nienaeka pojmani, poddadzą się namiętności, wówczas ulegają jęj więćej niż z ludzką słabością. Dla tego też jego małżonka ledy Helena Rottrick, nigdy go nie opuszczała; owszem, czy-to w podróży po górach i jeziorach, czy-to w twierdzach i przy oblężeniach, zawsze mu towarzyszyła, bo on ją wszędzie prowadził z sobą, i zdawało się, iżby umarł z tęsknoty, gdyby jęj niewidział przez czas długi. Raz mu się zdarzyło wydać się na wyprawę całotygodniową, a żonę miał zostawić w zamku swoim; lecz gdy już sprawił swój lufiec na dziedzińcu zamkowym, i zaszedł do ledy Rottrick, jeszcze raz z nią się pożegnać, w chwili rozstania, wziął ją na ręce, dla ostatniego uściśnienia, i okrywszy płaszczem uniosł z sobą.

«Kreśląc obraz ledy Rottrick, trzeba powiedzieć, że ona była tyle pełna żywych uniesień, ile jęj mąż tchnął spokojnością, tyle blondynka, ile on brunet, tyle wągła, ile on silny; a on ją kochał tym więćej, im większe było niepodobieństwo między nimi. Wtakich okolicznościach, nie można się dziwić, że i ona była w Killdrummii. Żołnierze, zwykle na wszystko zważający, dostrzegli, że ilekroć o świcie hrabia Rottrick uczył musztrów wewnątrz twierdzy i zdarzało mu się przechodzić z szeregiem mimo okienka jednęj wieżyczki, tylekroć uchylał klajmor i pozdrawiał kogoś. Sądził, że go nikt nieu-

waża, jak on cześć oddaje żonie, śpiącej za owym okienkiem; jednak, któżby mu miał to za złe; któżby przeczył, że czułość taka nie jest pełna uroku w męźczyźnie, którego postać, siła i wypogodzone czoło, bohatera znamionują?

«Jużem wspomniała, że Killdrumnia była jedynym miastem w posiadaniu Szkotów; ku niemu też cała wojna się skierowała. Szkoci postanowili bronić to miasto do ostatniego, Anglicy zaś, zdobyć je koniecznie; albowiem po wzięciu Killdrummii, Szkoci zostaliby bez przytułku, a Anglicy bez nieprzyjaciół. Od dwóch miesięcy, lordowie: Menteith i Roseby, generałowie Edwarda, oblegali twierdzę w kilka tysięcy ludzi; od dwóch też miesięcy, każdy szturm ich był bezskutecznym, bo Rottrick i Douglas stawili czoło. Znając słabą stronę twierdzy od jeziora, wodzowie szkoccy nieśmieli powierzać tego punktu żadnemu z podwładnych, lecz co-noc z kolei, póki dzień nie zajaśniał, sami byli tam na straży.

«Mimo to wszystko, prawie od dwóch miesięcy, więcej niż raz w każdym tygodniu, jeden z dowódców wojsk angielskich, to jest, młody lord Menteith przedzierał się wewnątrz twierdzy i część nocy w niej przepędzał.

«Uważaj mnie Kasztelanowo!

«Ledy Rottrick, czyli raczej miss Ramsay, była wychowaną na dworze króla angielskiego razem z lordem Menteith. Kochała go jeszcze w młodocianym wieku; tymczasem familia wydała ją za

hrabiego Rottrick, którego okazała postać i bohatyrskie przymioty, niezdolały wygładzić z jej duszy obrazu pierwszego kochanka. Dla tego też, kiedy hrabia Rottrick, w charakterze posła wyprawionym został na dwór króla angielskiego, towarzysząca mężowi lady Rottrick, porozumiała się z lordem Menteith, i, nanieszczęście, była dla niego słabszą niż wtenczas, kiedy ją zwano panną Ramsaj.

«Obecnie, podczas oblężenia Killdrummii, lord Menteith i ona wiedzieli że są tak blisko siebie, a jednak widzieć się niemogą. Miłość ich zmieniła się w gorączkę, podsycana całym niepodobieństwem zbliżenia się. Tylko pięć minut drogi było pomiędzy nimi, a ta przestrzeń była nie do przekroczenia. Ona z okienka wieżyczki swojej, mogła go widzieć, a przynajmniej rozeznąć po zbroi. Strzała z łuku puszczone, w jednej sekundzie dolaływała do jego namiotu, a jednak tak im było daleko do siebie, jak gdyby ocean ich dzielił. Lecz czegoż silna wola pokonać niezdola! Pojęli oni wspólne najgorętsze życzenia, i ujrzeni się takim sposobem: Skala, ów grunt twierdzy, była wprawdzie stromą, ale z północnej strony u jej podnóża, ku środkowi krzewiła się gęstwina drzew, nad którymi naturalna nierówność skały, tworzyła niejaką ścieżkę do wierchołka wału doprowadzającą. Lord Menteith, za Szkota przebrany, nieraz się zbliżał do twierdzy, i upatrzwszy ową ścieżkę, na migach dał poznać samotnie przechadzającej się lady Rottrick, iż

tedy mogłby się dostać do niej, gdyby miał dość czasu do tego. Otóż, pewnego razu, rzucono mu karteczkę z uwiadomieniem, że w dniu 8 Września, od godziny dziesiątej wieczór, hrabia Rottrick zajmie straż na stanowisku od strony jeziora, a Helena, zawsze kochająca Menteitha, otworzy okienko swojej wieżyczki, wznoszącej się na wale z północnej strony. Menteith niewahał się zaprobować szczęścia, azali nie wdrze się na wał, wiadomą ścieżką. W tej nieprzebytej dla innych drodze, rękami i nogami wspinał się po wydatnościach opoki; nie raz życie jego było w niebezpieczeństwie, ale dodawał mu siły, widok białej zasłony, którą powiewała ledy Rottrick, z przestraczem i niecierpliwością z okienka nań wyglądająca. Nareście, przewyciężywszy tysiące trudności i niebezpieczeństw, dopiął celu, i — szczęśliwe czasy dawnej miłości znowu się dla nich rozpoczęły. Wiadomą już drogą łączniój mu było potém wznawiać schadzki z ukochaną, i tak już od kilku tygodni, ilekroć hrabia Rottrick był na czatach, lord Menteith do twierdzy się wkradał.

«Jednej nocy wszczęła się okropna burza. Rottrick z kolei zajmował stanowisko nad jeziorem, a tym czasem, dwoje kochanków, podług swego zwyczaju, spędzali chwile w sali, przeznaczonój na zbrojownią Rottricka. W tém ledy Rottrick jakiś szmer usłyszała.

— «Umilknij» rzecze ona. — «Cóż tam droga He-

leno!" — «Cicho! mówię ci!» Ledy nadstawia ucha i błędnie, poznawszy że się ktoś zbliża. — «To on!» — «Któż taki?» — «Hrabia Rottrick!» — «Hrabia Rottrick, mówisz! cóż więc począć? Oh! dodał Menteith, ja mam oręż z sobą, ale chceć cię bronić, nie jestżeto zgubić? Niełękalbym się o siebie, ale drzę nad tobą; dla ciebie, gotów jestem uciekać!» — «Ucieczka jest niepodobna.» — «Przecież musi bydz jakieś wyjście?» — «Niema żadnego» — «A te drugie drzwi?» — «Zabite» — «To okno?» — «Nad przepaścią» — «To nie nieszkodzi! rzucę się przez nie!» — i już Menteith gotował się do strasznego skoku, — «Stój! uagle zawołała ledy, jest sposób zbawienia nas obojga!»

«Hrabia Rottrick, już był przy samych drzwiach. Ledy niemówiąc ani słowa, nie ruszając się z miejsca, wskazała Menteithowi zupełną zbroję, w głębi sali będącą. Menteith, zrozumiał o co idzie. Zbroja była ogromna, do Rottricka bowiem należała, i Menteith skrył się w niej swobodnie. Rottrick, poraz drugi zastukał do drzwi, i ledy, jego małżonka, mogła już je otworzyć.

«Trudno wyobrazić sobie coś piękniejszego, nad wyraz bohaterkiej twarzy młodego hrabiego w chwili, kiedy ujrzał żonę. Wielkie czarne jego oczy, zwykle pogodne, teraz ogniem pałały; niewypowiedziana czułość malowała się na całej jego twarzy; drżące usta podnosiły mu wąż czarny. Hrabia, śmiał się mimowolnie, śmiechem takiego, co nie-

spodzianie dostał wielkiego szczęścia; przybiegł on do swojej Heleny, uściskał ją, miał coś powiedzieć, i niezdolał wyrzec ani słowa.

«Ledy Rottryck, lękając się, aby nie dostrzegł Menteitha, chciała go wyprowadzić do dalszej komnaty, — «Nie! nie, zawoła hrabia po chwili, — ani z miejsca nie ruszę, póki nie ucałuję twego pięknego czoła.» — Tu usiadł, wziął ją na ręce i kołysał jak małe dziecko; niekiedy wstrzymywał się, patrzył na nią w milczeniu, a potem przytulając ją do swojego męskiego łona, wykrzykiwał «Mój Boże! jak ja ją kocham!» — i mimowolna łza rosła jego powieki.

«W tej chwili Menteith poruszył się przypadkiem w swojej kryjówce, i wnet skrzypnęły zawiasy zbroi. Hrabia Rottrick podniósł głowę. Zimny dreszcz przeszedł występłą żonę.

— «Zdało mi się że słyszałam jakiś szmer, rzekł hrabia, i żywo powstał z siedzenia.

— «Co ci się zdało? ja nic nie słyszałam odpowiedziała przytrzymując go.

— «To prawda! jaki ze mnie dziwak! odpowie hrabia z uśmiechem. Bo widzisz, droga Heleno! moje sumienie niezupełnie czyste; zdawało się mi że diad Wallace, czyli też duch jego, wstąpił do swojej niegdyś zbroi, żeby mi wyrzucić, iż jestem teraz przy tobie. Ty, niewdzięczna, niezapomniałaś mnie nawet: jakim sposobem wróciłem do ciebie, kiedy powinienbym być na drugiej stronie miasta, w wieżycze, nad jeziorem.»

—«To prawda» rzekła ledy, «jak to się stało żeś tu przyszedł?»

—«Wiesz, mówił Rottrick, że o dziewiątej wieczorem, poszedłem na moje stanowisko do wieżyczki; otóż w godzinę później — w godzinę tylko — taka żałość mię ogarnęła, taka tęsknota po tobie, że całą mocą rozumu i woli nie zdołałem oprzeć się tym przykrym uczuciom. Przyznaję, jest to słabość! może nawet głupstwo, ale człowiek od kilkunastu godzin błądzący po spiekłej pustyni, nie więcej pragnąłby wody, ile ja czułem potrzebę widzieć ciebie, lubo cię tylko co przed chwilą opuściłem. Głęboka namiętność, jest to coś dziwnego; pasowałem się z sobą i możebym nie przyszedł tutaj, ale przed północą powstała okropna burza, deszcz, grzmoty, błyskawice; jezioro jak morze się rozkołysało, jedném słowem, byłato burza na ziemi i wodzie. Ha, przekonywałem sam siebie, podczas takiej nocy Anglicy niepomyślą o ataku, niema niebezpieczeństwa; i z tą myślą opuściłem moje stanowisko, i teraz jestem przy tobie. Heleno! ja bardzo źle zrobiłem; pierwszy raz w życiu uchybiłem obowiązkowi żołnierza, a jednak, — dodał z rzewnym rozczuleniem, — patrząc na ciebie, Heleno, niemam siły żałować, że źle zrobiłem!»

«Ledy Rottrick, od czasu przyjscia męża, o tém tylko myślała, jakby go wyprowadzić z tej sali; aż nakoniec to się jej udało. Przeszli do innego pokoju.

Po godzinie czasu hrabia zasnął, a ona przybiegła do zbroi.

«Lorda Menteith już oddawna tam niebyło.

«Zaledwie wróciła do boku męża, rozległ się po twierdzy huk głuchy co ją zimnym oblał potem. Zrazu były to głosy pomieszane, potem tentent bieżących; czasami przeraźliwe odzywały się krzyki, dalej chrzęst ścierających się pancerzy, a wszystkiemu ryk wiatrów i łoskot burzy towarzyszył.

«Hrabia Rottrick przebudził się. — «Heleno, pytał, ty już wstałaś?

«Słyszę straszne zamieszanie, odpowie ona.

«Zaczęli słuchać oboje i wkrótce po całym mieście ozwały się tysiączne wrzaski: «Anglicy! Anglicy!» W samej rzeczy byli to Anglicy; przypuścili oni szturm od jeziora, dostali się na stanowisko przez Rottricka opuszczone, wprowadzili tamtędy kilkuset żołnierzy, i w połowie zostawszy panami twierdzy, przebiegają dziedzińce, korytarze i sale warowni. Przy ich strasznych wykrzykach i burzy słyhać nie było. — Niezszczęśliwy zemnie—zawołał hrabia, i chwyciwszy swój klaymor, wybiegł z pokoju żony. Przy świetle częstej błyskawicy postrzega uciekających Szkotów, a Anglików goniących za nimi z okrzykiem: «Menteith Roseby!» — bo to było ich hasło. Pełen rozpaczy, na wszystko, nawet i na żonę niepomny, rzuca się Rottrick na nieprzyjaciół, jak wściekły tygrys, i oczyszcza szeroki plac przed sobą. Na jego głos, Szkoci odzyskali męztwo. Wszczyła się uparta walka; comoment to

Anglikom, to Szkotom przychodzą świeże posiłki; wre w każdym bój zakęcie twierdzy, nawet w tej sali, gdzie Helena została. Rottrick powraca do zbrojowni, bo szabla jego roztrzaskała się na karku jakiegoś Anglika; powraca i bez zbroi i klaymora; ciśnie się w tłum walczących; jedną i drugą ręką chwytą dwóch angielskich żołnierzy, i przez otwarte okno zrzuca ich w przepaść. Ale nowe zasilki wyparły stamtąd walczących; w zbrojowej sali pozostała tylko raniona wrozmuchu i w pół omdlała Helena. Po niejakiem czasie śród ciszy, która tam nastąpiła, wchodzi człowiek z pochodnią w rękę, widocznie szukając kogós. Był to Menteith! Przybiegł on prędko do Heleny i zawołał radośnie: «Heleno! przecież znalazłem ciebie!»

«Na ten głos, Helena powraca do zmysłów i poznaje go. «Lord Menteith!» wykrzyknie. A potem z uczuciem którego skreślić nie można, z tém boleśnym jęknieniem, jakim ozwałby się ślepy, gdyby nagle blaskiem słońca był rażony: «Rozumiem! wołała, rozumiem teraz!»

— «Cóż ci to Heleno? to ja, twój Menteith!

— «Tak jest, to ty! — rzekła, gwałtownie chwytając go za rękę, — ty lord Menteith, którego z niebezpieczeństwem życia mojego skryłam wówój zbroi; ty, któryś podsłuchał hrabiego Rottrick i korzystając z chwil miłości oddanych, przez nie dokonał bezczelnej zdrady! O jakżeś podły!

— «Heleno! słuchaj mnie.»

— «Dobrze! odpowiedz mi najprzód: czyś ty sprwadził tu Anglików? — «Nieprzeczę to ja! — «A więc milcz! widzę, niedość było, żem ci poświęciła moje sławę, niedość, że dla ciebie zdradziłam najszlachetniejszego człowieka, trzeba ci było jeszcze winę moję w zbrodnię zamienić, zrobić mię podwatkroć występłą. Dla ciebie to znieważiłam Rottricka, jako męża; dla ciebie, on jako żołnierz, zniesławiony!»

— «Bynajmniej» nie sięgnie go niesława. Dwaj Szkoci, co stali na warcie przy stanowisku Rottricka, już nie żyją; nikt więc nie wie, że hrabia Rottrick uchybił swojej powinności.»

— «Dość, że on to wie! rzekła Helena z rozpaczą. Po chwili jednak zbliża się do lorda i pyta go: «Menteith, czy ty mnie kochasz?»

— «Ach więcej nad mój honor! Zdobyłem twierdzę dla ciebie jedynie, żeby cię wydrzeć Rottrickowi.»

— «To dobrze! ozwała się ledy z szyderskim uśmiechem, to dobrze! bo to będzie cię boleć, kiedy powiem, że ja cię nienawidzę, że pogardzam tobą, że już nie jesteś w oczach moich rycerzem, ani nawet najemnym słuźalcem, ale nikczemnym zdrajcą!»

«To rzekłszy, chciała się oddalić z sali, gdy nagle zjawił się i hrabia Rottrick, z garstką Szkotów, za którymi pędzili znowu Anglicy. Rottrick przychodził po Helenę; jego żołnierze zaś zabierali broje i oręż, jaki kto mógł unieść. Ledy Rottrick poskoczyła ku mężowi, a tymczasem śmiertelna walka wszczęła

się znowu jeszcze z większą zażartością. Każda pięćdziesiąta ziemi krwią była okupiona. Helena jest ciągle przy Rottricku; w sercu tej słabej kobiety zaszła wielka przemiana. Dręczona zgryzotą sumienia i potrzebą zmycia podwójnego przestępstwa, względem człowieka, któremu tyle złego zrzuciła, walczy przy nim jak i on, rzecz można za siebie i za niego. Już to nie jest kobieta, ale coś wyższego nad ludzi, bo ją ożywia męztwo lwicy, broniącej swoje dzieci albo raczej zapał męczennika, który zbawienie duszy, widząc w męczeństwie swoim, z rozkoszą pogląda na krew płynącą od zadawaną mu okrutną katuszy. Chwyliła sztylet z zapasa męża, i w prawo i w lewo zadaje nim razy Anglikom. Jeden z nich na Rottricka miecz podniósł; Helena zabiła zuchwalca bez bojaźni i bez żalu. Rozrzucone warkocze twarzy jej zakryły; usunęła je skrwawioną ręką i plamy krwi pozostały na jej czole. Oboje uniesieni, ożywieni; on męztwem Heleny, ona pragnieniem zmycia swojej zbrodni, przeciskają się z niedobitkami Szkotów z sali do sali, z dziedzińca na dziedziniec, z ulicy na ulicę. Cięcia Rottricka są straszne; nieprzyjaciele znosząc trupów nazajutrz, łącznie odgadną, który z nich postradał życie od prawicy hrabiego. Dostali się nakoniec do wieżyczki nad jeziorem, i taż sama ścieżka, którą Anglicy weszli do twierdzy, była drogą ucieczki dla Szkotów.

«Nazajutrz po tej strasnej nocy, niedobitki szkockiego wojska przedzierały się przez góry, dążąc do

obozu Roberta Bruce. Z całej załogi Killdrummii, jedynie Douglas, Rottrick z żoną i dwudziestu kilku żołnierzy, zdołali unieść życie przed wczorajszą rzezią. Cały dzień szli smutni i milczący, a hrabia Rottrick smutniejszym był od innych, bo jego żal ze zgryzotą był połączony. Zresztą, jeżeli Menteith prawdę powiedział, że nikomu niewiadomo jakim sposobem Anglicy twierdzą zdobyli, to też z drugiej strony, Helena prawdę wyrzekła, że dość, iż Rottrick wie o tém. Kiedy gorzka i głęboka boleść pokrywa twarz tak młodą i piękną, jak hrabiego, wyraz jej stokroć jest straszliwszy niż na zgrubiałych rysach starego wojownika. Jabym myślał że rozpacz chyba ze zmarszczkami w parze bydź może. O! zjakiemże spłótcuciem Helena ścigała każde jego poruszenie; ale on ją odpychał z lekka, wprzód nim słowo wymówił. Dostrzegła ona, że ze schyłkiem dnia, coraz więcej martwiały jego rysy i stawały się przerażającymi. Oczy miał smętne i nieporuszone, jak gdyby ślepotą go dotknęła; kątki ust jak u nieboszczyka, w dół się osunęły. Widząc tę boleść bez granic, Helena myślała, że Rottrick wie o wszystkiém, nawet i o jej wiarołomstwie; pokilkakroć chciała mu się rzucić do nóg z błaganiem: «zabij mnie!» Zawsze jednak wstrzymywała się, gdyż powątpiewała jeszcze, czy wie ile jest winną?

«Wieczorem, owa garstka Szkotów przybyła do obozu swojego króla. Rottrick i Douglas stawili się przed Robertem Bruce i opowiedzieli ponie-

sioną klęskę. Uchwalono zwołać nazajutrz wielką radę wojenną, na którą wszyscy dowódcy zostali wezwani.

«Kiedy Rottrick wrócił do swego namiotu, Helena zbliżyła się do niego i w rękę go pocałowała. Tu dopiero poraz pierwszy od piętnastu godzin, wyraz życia zabłysnął na szlachetnych jego rysach; łąza zrosiła mu powieki, ale też i oschła zaraz. Wskazał Helenie zasłane łożo, i prosił, żeby się układała do spoczynku. Ona go usłuchała w milczeniu, bo przestrach prawie niemą ją zrobił; przez noc całą jej oczy zamknąć się nie mogły i ciągle na hrabiego były zwrócone. On zaś, naprzód siedział skrywszy głowę pomiędzy ręce, a potem wziął się do pisania i długo pisał. O świcie, sen niespodzianie skleił powieki Heleny, i Rottrick właśnie tego zdawał się oczekiwać aby wyjść z namiotu.

«Tymczasem i rada wojenna prawie o świcie rozpoczęła swe posiedzenie. Miano mówić o sposobach bronienia jeszcze Szkocyi. Król Robert Bruce, lordowie Liderdale, Douglas i inni dowódcy wojsk szkockich, zajęli już swoje miejsca; hrabia Rottrick przyszedł ostatni; prosił jednak, żeby mu naprzód mówić dozwolono, i tak się ozwał:

—«Mój królu! moi towarzysze! Kraina wielkich jezior już jest pokonaną; ze stratą Killdrummii znikła nasza ostatnia nadzieja, i najdalej za lat trzydzięści, Szkocya już nie będzie tém, czém była. Gdyby którykolwiek z żołnierzy, dla bronienia jej przegna-

ezonych, wahał się przelać za nią ostatnią kroplę krwi swojej, już t \acute{e} m sam \acute{e} m godzien by \acute{u} by najsurowsz \acute{e} j kary, bo jeszcze tylko w Killdrummii bić mog \acute{l} y serca Szkot \acute{o} w. A przecie \acute{z} !—s \acute{l} uchajcie mnie! jest cz \acute{o} wiek nie w t \acute{e} m tylko winny, i \acute{z} j \acute{e} y nie broni \acute{l} , ale w t \acute{e} m, i \acute{z} j \acute{a} zgubi \acute{l} , bo wyda \acute{l} Anglikom... i ja znam winnego!

—«Kt \acute{o} ż on jest!»—zawo \acute{l} ali wszyscy dow \acute{o} dzczy, powstaj \acute{a} c z miejsc swoich, a zbroje ich wyda \acute{l} y chrz \acute{e} st przera \acute{z} aj \acute{a} czy.

—»Tym winnym, jestem ja!—odpowiedzia \acute{l} Rottrick.

—«Jakto! ty hrabio?»

—«Tak jest, ja sam! Anglicy wdarli si \acute{e} do twierdzy przez wie \acute{z} yczk \acute{e} nad jeziorem, gdzie ja powinienem by \acute{l} by \acute{c} na stra $\acute{z$ y. Rozmy \acute{s} lnie opu \acute{s} ci \acute{e} m to stanowisko, bo jest na \acute{s} wiecie istota, kt \acute{o} r \acute{a} kocham, wi \acute{e} c \acute{e} j ni \acute{z} kocha \acute{c} wolno ziemskie stworzenie... i gdy nie mog \acute{l} em pokona \acute{c} ch \acute{e} ci widzenia si \acute{e} z ni \acute{a} , poszed \acute{l} em do ni \acute{e} j.»—Tu Rottrick umilk \acute{l} na chwil \acute{e} , a po niejaki \acute{m} czasie, g \acute{o} losem dono \acute{s} nym, jednak wcale spokojnym, tak m \acute{o} wi \acute{l} :

—«Szkoci nie maj \acute{a} ju \acute{z} miast, ani miejsc obronnych; jedna im tylko pozostaje si \acute{l} a—w ich cnotach! Trzeba da \acute{c} wielki przyk \acute{l} ad; trzeba dowie \acute{s} ć, \acute{z} e Szkot tyle, ile ja, wyst \acute{e} pny, sam \acute{z} yć nie chce! Panowie! ja g \acute{o} losuj \acute{e} za skazaniem mnie na \acute{s} mierć!»

«Rottrick usiadł. Słowa jego i postępek wzbudziły w radzie wojennój podziwienie i rodzaj przerażenia. Poglądano na niego; powoli wszczęło się między dowódcami szeptanie i wtedy dopiero ucichli, kiedy król powstał.

— «Hrabio Rottrick, — rzekł on, — przestępstwo twoje jest wielkie i wymaga surowej kary, Słusznieś postąpił, sam dopominając się śmierci; zasłużyłeś na nią; jednak nie ja jeden mam stanowić karę. Oddal się, będziemy cię sądzić.»

«Helena porwała się ze snu, i niewidząc Rottricka, wybiegła z namiotu — Cóż spotkała?.... Oto nieszono już martwe jego zwłoki!»


Ciotka Sara przerwała swoje opowiadanie, i długo, przenikającym wzrokiem, patrzyła na zmieszaną i zawstydzoną Kasztelanową; a potem dodała jeszcze:

«Ledy Rottrick, zgryzotami dręczona, spełniła kielich goryczy aż do dna, wkrótce zakończywszy życie. Na łożu śmiertelnym opowiedziała swoje nieszczęścia, i były jej ostatnie słowa te: «Niech zbroję Rottricka strzegą starannie do wygaśnięcia jego rodu, a tajemnica moja, jak *familijne podanie*, niech objawiona będzie najstarszej w tymże rodzie;

lecz jeźliby która ze krwi Rottricków, przez młodość i niedoświadczenie, chwiała się na drodze cnoty i powinności, niech ją przyprowadzą przed ową zbroję i przestrzegą.... jaki los ona gotuje sobie!"

E. S. Nie....





NIEBO I ZIEMIA.

WYJĄTEK Z DRAMY LIRYCZNEJ

LORDA BYRONA.

przekładu

ANTONIEGO EDW. ODYNCA.

Treść niniejszego poematu oparta jest na następujących słowach Pisma św., w księgach Genesis, rozdz. VI.

«I stało się, gdy się ludzie poczęli rozmnażać na ziemi, a córki się im zrodziły, że widząc synowie Boży, córki ludzkie, iż były piękne, brali je sobie za żony ze wszystkich, które sobie upodobali.

«Abyli olbrzymowie na ziemi w one dni.

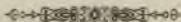
«A widząc Pan że wielka była złość ludzka na ziemi, a wszystko zmyślenie serca ich tylko złe było po wszystkie dni, rzekł Pan: wygładzę człowieka, którego stworzył z oblicza ziemi i t. d.

Poema to, policzone słusznie do najcenniejszych utworów Byrona, odznacza się od wszystkich innych dzieł jego, oprócz

może *Manfreda*, osobnym stylem i tonem, i to właśnie spowodowało znakomitego naszego poetę, P. Odyńca, że je do tłumaczenia wybrał. Z wyjątku tego przekonają się Czytelnicy, jak godnym oryginału jest przekład, który w całości ma wyjść wkrótce najaw.

Do poematu tego wchodzi:

RAFAEL	Archanioł.	IRAD,	przyjaciel Jafeta.
AZAZIEL	} Aniołowie.	ANAH	} Siostry z rodu
SAMIASA.		AHOLIBAMAH	
NOE.			
SEM	} Synowie jego.		
JAFET.			Rzecz dzieje się przed potopem



SCENA I.

Okolica górzysta i leśna, w bliskości góry Araratu.

Północ.

Wchodzą: ANAH i AHOLIBAMAH.

ANAH.

Ojciec nasz usnął; siostró, oto pora,
Gdy kochankowie nasi na obłokach
Zstępują ku nam — patrz! jak dziś ta góra
Nawisła mgłami; jaki szum w opokach!
Serce mi bije!

AHOLIBAMAH.

Kolój dziś na ciebie,
Zacznij wezwanie.

ANAH.

Siostró ja się trwożę.

AHOLIBAMAH.

Ja też, lecz tylko gdy myślę że w Niebie
Moc jaka wyższa zatrzymać ich może.

ANAH.

Aholibamah, siostró moja droga!
Nie wiem dla czego głos się nie ośmiela
Wyjść z piersi moich; niepojęta trwoga
Ziębi mię dreszczem. Wiesz, Azaziela
Jak kocham — siostró! Kocham więcej może
Niż kochać wolno — więcej niż — o Boże!
Cożem rzec chciała? — jaka myśl bezbożna!

AHOLIBAMAH.

W czem jest bezbożność? miałażby być zdrożna
Miłość Aniołów?

ANAH.

Lecz jest głos co woła
W głębi mej duszy: że mniej kocham Boga
Odkąd ujrzałam blask jego Anioła.
Nie, to nie dobrze! nie, Aholibamah!
To nie jest dobrze: — i choć często sama
Nie wiem w czem grzeszę, ten strach źle mi wróży

AHOLIBAMAH.

A więc dla czego masz się dręczyć dłużej
Związkiem z duchami? — raz jedno wybieraj!
Jafet cię kocha, kochał od lat wiele,
Idź zań, prządz, pracuj, rodź proch, i umieraj!

ANAH.

Nie! — jednak czuję, że Azaziela,
Choćby był równie śmiertelnym, ja przecie



Równiebym zawsze kochała: — choć lepiej,
 Lepiej że nie jest: — nie będę na świecie
 Plakała po nim: — jak mię ta myśl krzepi!
 I gdy pomyślę że przyjdzie czas, kiedy
 On nad mym grobem roztoczy swe skrzydła,
 I wiecznie myśleć o mnie będzie: — wtedy
 Śmierć traci dla mnie swą postać straszidła,
 Chciałabym umrzeć, i tylko drzę o to,
 Ze końca jego nie będzie rozpaczy,
 Ze nieśmiertelną, jak on sam, tęsknotą
 Trawić się musi wiecznie!

AHOLIBAMA.

Myśl więc raczej,
 Ze znajdzie drugą, którą, nim też skona,
 Kochać jak ciebie będzie wiarołomnie!

ANA.

Niechby tak było, byleby go ona
 Kochała wzajem: wolę niżby po mnie
 Plakać miał wiecznie.

AHOLIBAMA.

Nie pojmuję ciebie,
 Gdybym tak miała myśleć o kochanku,
 Choćby sto razy był Aniołem w niebie,
 Dziśbym go jeszcze wzgardziła na wieki. —
 Lecz śpiesz się siostró, czuję woń poranku,
 Śpiesz się z wezwaniem, dzień już niedaleki!

ANA.

Serafinie!
 W gwiazd krainie,

Gdzie bądź skrzydło twoje wionie :

Czy wespoły

Z Archanioły

Przy Wiecznego czuwasz tronie

Czy w przestrzeni nieskończonój

Jasných światów miliony

Wiedziesz nynie :

Serafinie !

Ja cię wzywam , usłysz w niebie ,

Pomyśl o mnie — ach przynamnie ,

Zem choć niczém jest dla ciebie ,

Tys Aniele wszystkiém dla mnie !

Ty nie czujesz , ach ! i oby

Nikt ich nie czuł , prócz mnie samój ,

Tych łez trwogi i żałoby ,

Co tu ludzie wylewamy !

Tys syn chwały , co bez końca ,

Twoja piękność : promień słońca ,

Jstność : duch nieskazitelny ,

Nie zrodzony , nieśmiertelny !

Cóż równego znajdziesz we mnie ,

Prócz miłości , co daremnie

Tłumiąc , czuję że zuchwała ,

Jakiéj żadna z córek ziemi ,

Ni doznała , ni oblała

Jak ja łzami rzewniejszemi ?

Tys stróż tronu Tego , który

Tak się równie w blask swój odział ,

Jak pomiędzy swemi twory

Mnie najlichszej lzy dał w podział.

Cierpię jednak i nie winię
 Na me losy, Serafinie!
 Bo ty kochasz mię, pocieszysz,
 Usłyszysz mię i pośpieszysz!
 Pośpiesz, pośpiesz, bo czas płynie,
 Mnie, nie tobie Serafinie!
 Mnie, nie tobie chwila droga,
 W której sercu grzech i trwoga
 W każdej chwili walczyć śmieją,
 Z miłością i nadzieją!
 Lecz przebacz jęk boleści!
 Boleść jest żywioł ludzi,
 Rozkosz u was się mieści,
 Nas tylko sen jęj ludzi.
 Zstąp, zstąp nim czas upłynie
 Luby mój, Serafinie!
 Rzuć gwiazdy, — gwiazdy w niebie
 Swiecić mogą bez ciebie;
 Ja biedna, ja nie mogę
 Żyć nawet — ży i trwożę
 Twój chyba wzrok ukoi:
 Zstąp, zstąp, niech twe przybycie
 Chwilą wieczności twojej
 Moje rozjaśni życie!

AHOLJBAMAH.

Samiaso! gdzie bądź w górze
 Dzierżysz władzę: czy gromami
 Zbroiny, toczysz bój z duchami
 Nieczystymi, co w oporze
 Śmia się mierzyć z Niezrównanym?
 Czy za światem obłąkanym
 Pędzisz w pogoń: co w przestrzeni

Za wskazany tór i krańce
 Wybiegł, i sam i mieszkańce,
 Jak my na śmierć przeznaczeni,
 Lecą w przepaść wiecznej zguby?
 Czy to łącząc głos z Cheruby,
 Których swoją gasisz krasą,
 Spiewasz Panu co na niebie?

Samiaso!

Wołam ciebie, czekam ciebie, kocham ciebie!
 Inni niech ci biją czołem,
 Ja nie będę — lecz jeżeli
 Dość ci na tém, zstąp i społem
 Duch twój z moim los niech dzieli.

Chociam ja córka ziemi,

Ty syn promieni,

Jaśniejszych niż którymi

Wschód się rumieni:

Nie możesz mi nic dać więcej
 Prócz uczucia, ni goręcej
 Czuć jak czuję ja! — bo we mnie
 Jest też promień, choć ukryty,
 Lecz zalony tam, skąd i ty
 Blask swój wzięłeś: — i daremnie
 Śmierć, pierwszego grzechu córa
 Grozi mi: ja się nie trwożę,
 Nie! — czuję w sobie moc, która
 Zwalczy śmierć! — śmierć nas nie może
 Rozłączyć, bośmy oboje
 Nieśmiertelni! — W mojej duszy
 Czuję nieśmiertelność moją,
 Potężniejszą od katuszy
 Wszystkich trosk i cierpień ziemi;
 W sercu mém, jak grom daleki
 Głos brzmi słowy proroczymi:

„Będziesz, musisz żyć na wieki!”
 Lecz czy w szczęściu? — nie wiem tego,
 Ani chcę badać wyroku,
 Co skrył w tajemnic obłoku
 Źródła dobrego i złego.
On wie tylko, *On* co w niebie;
 Lecz *on* sam nawet nie może
 Zniszczyć nas: ni mnie ni ciebie.
 Nie może — bo dał nam z siebie
 To, co wszelką moc przemoże:
 Duch swój! — we mnie skazitelnej,
 Jak w *Nim* samym nieśmiertelny! —
 Z tobą mogę bez bojaźni
 Dzielić nawet wieczność kaźni,
 Tak! boś ty się mógł ośmielić
 Ze śmiertelną życie dzielić.
 I choćby mięż zmije w koło
 Opasały, choćbyś w zmiję
 Ty się zmienił: ja wesoło
 Cierpiałabym, i na szyję
 Twą upadłszy, sama w sobie
 Śród mąk czułabym rozkosze:
 Że je za miłość ku tobie,
 I razem z tobą ponoszę.

Samiaso! wzywam ciebie,
 Czekam cię — lecz jeśli mniemasz
 Więcej szczęścia doznać w niebie,
 Niż tu sprawisz i otrzymasz,
 Zostań! —

ANAH.

Siostro! patrz do góry!
 Co za nagły blask!

AHOLIBAMAH.

To oni!

Pół nieba w zorzach się płoni,
Widzę ich, jak po nad chmury
Jasnemi szybują pióry!

ANAH.

Cóż gdy ojciec blask zobaczy?

AHOLIBAMAH.

Pomyśli że wschód xiężyca,
Co na klątwę zaklinaczy
Wszedł dziś wcześniej i przyświeca.

ANAH.

Patrz, patrz, już są blisko ziemi!

AHOLIBAMAH.

Spieszmy! obym skrzydła miała,
Na powietrzu jeszcze z niemi
Spotkać się!

ANAH.

Co za wspaniała

Jasność! jak łona szkariatu
Nad zachodem gorejąca!
Patrz, nad szczytem Araratu,
Tęcza jakby z gwiazd tysiąca,
Lśni, iskrzy, mieni się, pali,
Rozszerza się jak na fali
Wzruszona z dna morska piana,
Ślad drogi Lewiatana,
Gdy cały wzdłuż roztoczony
Igra sam po wód płaszczyźnie

I w przepaści niezgłębionej
 Tonąc, gwiazdom w oczy bryźnię, —
 Lecz patrz, patrz, już coraz w zmierzchu
 Ślad ich ęmi się i zagasa
 Patrz, już stoją na skał wierzchu!
 Azaziel!

AHOLIBAMA.

Samiasa!

(wybiegają)

SCENA II.

JAFET (sam)

Pokój! — szukałem go gdzie znaleźć mogłem,
 W miłości — sercem co jej warte było;
 Cóż stąd? daremnie siły duszy zmogłem,
 Serce osłabło, w myślach się zaćmiło:
 Dni nieprzebyte, nieuśpione noce,
 Oto są całe mnych starań owoce!
 Pokój! gdzież pokój? w martwości zniszczenia?
 Czy w ciszy lasu, co od dnia stworzenia
 Stopą nietknięty, innego odgłosu
 Nie zna prócz burzy gdy go ta druzgota?
 Bo w nich jest wierny obraz mego losu,
 Gdy mię żal tłoczy albo rozpacz miota.

Świat zabrnął w zbrodnie: głuchy na głos Boga,
 Nie wie o gniewie jego, ni o zmianach
 Strasznych a bliskich; — daremna przestroga
 Groźb i złowieszczych wróżb! — O moja Anah!
 Gdy przyjdzie straszna godzina że morze
 Jak lew ryczący wyprze się z łożyska,

I wpadnie na świat: — jakbyś ty w tej porze
 Ujść mogła zguby, i po nad zwałiska
 Świata, objęciem mojem osłonią, —
 Po świat niszczących bujać oceanach!
 Świat mój byłby w twém sercu, a obrona
 Twoja, w miłości mojej! — Moja Anah!
 Gdybyś ty chciała być moją! — Daremnie!
 Serc snąc i losów nikt zmienić nie może.
 I moje wiecznie krwawić musi we mnie,
 Teraz i wtedy, gdy już ty... — o Boże!
 Nad nią przynajmniej zmiękczyć srogość wyroków,
 Bo ona czysta pomiędzy grzesznemi,
 Czysta jak gwiazda, co choć w mgłę obłoków,
 Nie gaśnie jednak, ni spada ku ziemi.
 O gdybyś była moją! lub przynamnie,
 Gdybym cię wolną od twych ojców winy,
 Jedną przynajmniej zbawić mógł! — nie dla mnie,
 Nie! — byleś żyła, — gdy ocean będzie
 Mogiłą ziemi, i tych co dziś żywi
 Pchną ją do zguby: — a jego jedyny
 Pan i mieszkaniec, niewstrzymany w pędzie,
 Niespotykając ni skał ni mielizny,
 Sam Lewiatan z przestraczem się zdziwi,
 Nieskończonością swych państw i Ojczyzny.

SCENA IV.

Góry, jaskinia, skały Araxatu.

JAFET (sam)

Dzikie pustynie! lochy, co się zdacie
 Bez dna i granic, i wy dumne góry!

Tak niezachwiane w swych skał majestacie,
 I tak wspaniale w swęj krasie ponurój:
 W płaszczach z mgły białej, lub w zielonój szacie
 Drzew, jak wy wiecznych, i jak wy nad chmury
 Czołem wiejących! któżby waszej sile
 Nie ufał, w wieczne nie zawierzył trwanie?
 Przecież za kilka dni, może za chwilę,
 Może w tój chwili — cóż z was pozostanie?
 Gruz — czcze igrzysko wód, co te otchłanie,
 W piekiel aż zda się idące głębiny,
 Po brzeg wypełnią, i gdzie swe posłanie
 Miał lew, skaczące naniosą delfiny.
 A ludzie — ludzie! bliźni, bracia moi!
 Któż z was zostanie, coby nad szerokim,
 Jednym was wszystkich grobem, gdy was w swojej
 Głębi pochłonie morze, z ławem okiem
 Wspomniał przynajmniej o was? Przyjaciele!
 Ziomkowie moi! jestem ja tak wiele
 Lepszy lub gorszy od was, że koniecznie
 Przeżyć was muszę wszystkich, ach! i wiecznie
 Tęsknić i płakać po was? O ty świecie!
 Czyliż cię poznam, gdy po tylu zmianach
 Wyjdiesz znów z grobu? Gdzież wtedy będziecie
 Miejsca rozkoszne gdzieś marzył o Anah,
 Gdym się spodziewał serca jej: lub one,
 Dzikie, lecz niemniej miłe mojej duszy,
 Jaskinie, lasy, gdzieś łąki niedzielone
 Lał na jej srogość, lubując w katuszy?

(patrzac ku górze)

Bydźże to może, aby ten szczyt skały,
 Gdzie chmury niegdyś skrzydła swoje dały,
 Co sam jak gwiazda lśni wśród gwiazd — by wały
 W głąb go zbić mogły, i w swych wirach starły:

Ze jutro może, zadziwione słońce
 Próżno go jasném szukać będzie okiem,
 By jak dziś, naprzód na jego wysokiem
 Czołe, zwyciężać noc i jej mgły śpiące:
 Lub przed zachodem¹, wieniec swych] promieni
 Zawieszać na nim, by nad światem wzbity,
 Jak lampa świata świecił, się wprzestrzeni,
 I zstępującym Aniołom swe szczyty
 Dzierżył za pierwszy stopień, gdy wysłani
 Schodzą na ziemię lub w przepaść otchłani?
 Bydźże to może, ażeby te słowa,
 Straszne, okropne słowa: *już go nie ma!*
 Tyczyć się miały tego skał olbrzyma,
 I wszystkich rzeczy, prócz tych co Jehowa
 Rozkazał w arce zbawić ojcu memu?
 Możeż on zbawić co chce? a jaż czemu
 Nie mógłbym zbawić, jednej, co bez zmazy,
 Co najpiękniejsza z wszystkich córek ziemi?
 Nie miałbym zbawić jej, gdy sprośne płazy,
 I zjadle zmije z towarzyszymi swemi
 Ujść mają zguby, by i przyszlą ziemię
 Tchem swym zarażać, i na ludzkie plemię
 Syczeć i kąsać, i w grząskich bagniskach
 Czołgać się, które na świata zwałiskach
 Długo stać będą i dymić, — aż w końcu
 Z zgnilizny tego, znów jaki świat nowy
 Wyjdzie, i wyschnie, i stwardnie na słońcu,
 Razem mogiła i pomnik grobowy
 Świata przeszłego: gdzie dziś jeszcze tyle
 Miryad żyje, a jutro, za chwilę
 Tyle miryad umrze? O ty świecie,
 Tak piękny i tak młody! w pełnym kwiecie
 Życia i krasy! jak ja kocham ciebie,

Jak mi żal ciebie! gdy co dnia, co nocy,
 Liczę twe kwiaty, twe gwiazdy na niebie,
 I krótkie chwile twoje! Nié mam mocy
 Ratować ciebie, jak i *jój* nie mogę,
Jój, co najbardziej wiąże mię do ciebie:
 Lecz jak syn prochu twego, żal i trwoję
 Czuć tylko muszę, jakich od stworzenia
 Zaden nie doznał i doznać nie może,
 Prócz mnie, co jeden z mojego plemienia,
 Wiem straszną przyszłość, i sam w lada porze,
 Jeden, mam płakać na wszystkich pogrzebie!





RĘBACZ.



Na dworze ostatniego pana hetmana koronnego, żył Jaksza Pliszka, postaci topolowej, wzniosłej, w barkach krępy, szeroki, jak dąb karlikowaty rosochaty: ręce miał dłuższe niż zwykle, bo dłonie za kolana dochodziły. Nad barkami, na cienkiej szyi mała główka by makówka, lica zawsze czerwone, oczki czarne, małe, tatarskiego składu, ale bystre, ogniste.

Kiedy pan hetman potrzebował dla poparcia swoich *racyj* szabli, Jaksza stawał na czele rębaczów, których sam wyuczył, a wtedy, biada przeciwnikom, wszystko pierzchało przed błyskiem ich szabli, a szczególnie Jaksy.

Miał on długą zakrzywioną szablę z sławnego żelaza, którą nazywał *tasakiem*; zawsze ją przy so-

nie nosił, spał z nią nawet, i nieraz mówił, że jej nie odda za wszystkie skarby świata.

Jaksa miał lat dwadzieścia sześć, kiedy pan hetman szukał rębacza dowodnego; stary Pliszka, wiedząc o tém, zawołał syna i rzekł:

— No chłopcze! otwiera się dla waści pole. Jam już stary, ręka mi drży, wzrok niedowidzi — oddaję ci szablę; jest-to klejnot rodzinny, równy herbowi naszemu, pamiętaj na moje nauki, a z głodu nieumrzesz i łaskę pańską a fawor zjednać potrafisz; siadajemną na konia, pojedziem do pana hetmana.

I Jaksa z ojcem stanęli na dworze pana hetmana. Kiedy stary Pliszka *rekomendował* syna na rębacza, hetman kazał przywołać jegomość pana *Borowika*, ażeby rozprawił się z *frycem*, jako nazwał Jakse. Stary Pliszka, ubodzony tym wyrazem, wziął syna na stronę.

— Chłpię moje! pan hetman nie wierzy że umiesz dobrze kordem robić; zaklinam waść, ażebyś dobrze z tej rozprawy wyszedł, bo inaczej, — klnę na moje wasy, — stoboćkowskich bizunów doma wyliczę na kobiercu.

Jaksa, uścisnął pana ojca za kolana, wypił szklanę anyżówki dla *rezonu*, i czekał spokojnie swego przeciwnika.

Przybył wkrótce jegomość pan Borowik, szlachcic łączycycki, — a łączycanie sławni do szabli, wedle przysłowia: *bić się po-łączycycku*, co jedno znaczyło, jakby się bić po-diabelsku.

— Jaśnie panie (rzekł do hetmana z ukłonem) służby moje na rozkazy; słyszałem, że tu smyk jakiś ma chętkę złożyć *examen* rębacza, a który to?

Jaksa wystąpił.

— To waszeć, włóścież na łeb czapkę watową z drutem, łosie rękawice, jać tego niepotrzebuję.

Jaksa z uśmiechem włożył czapkę, wdział rękawice, rzemyk od szabli przywiązawszy sobie do ręki.

Tu pan Borowik zbliżywszy się do pana hetmana zapytał z cicha.

— Jakie rozkazy, Jaśnie pana, czy go mam naznaczyć, czy wyplazować dla uciechy.

— Wyplazuj waszeć, to dosyć, bo to młodzienia-szek.

Dosłyszał tój rozmowy stary Pliszka, przyskoczył do syna i na ucho zawołał: — Jakso, synu mój! wtwoje ręce składam mój i familii całej honor, to chłopisko ma cię za bajbardzo i chce plazować, zwolna mu się odcinaj, ale zaraz natrzój, i rznij przez łeb, nie zabijaj, daj mu jeno *admonicą* żeby z ruski przeleżał miesiąc.

Jaksa zębami ścisnął za przycinki Borowika, przystąpił więc do pana hetmana.

— Jaśnie Panie, czy wiele Jasny pan ceni głowę i żywot tego? i wskazał na Borowika.

— A to czemu? zapyta zdziwiony hetman.

— Bo za przechwałki dumne, ja chcę go zabić jeśli Jasny pan dozwoli.

Borowik roześmiał się głośno, wołając: — odpu-

szczam i śmierć swoją wcześniej, i upraszam łaski pana hetmana, aby temu smykowi tój *satysfakcyi* nieraczył odmawiać.

Ale pan hetman zmierzwszy okiem Jakse, począł go więcej cenić, odrzekł przeto:

— Naznaczyć pozwalam — ale zabijać, nie.

Borowik śmiał się głośno, stojąc z dobytą szablą. Jaksza przygotowywał się na cięcia.

— No zaczynać! zawołał pan hetman.

Borownik pierwszy natarł—za trzecim złożeniem chciał ciąć przeciwnika, ale Jaksza tak szparko raz odbił, że się zmięszał, i przekonał Borowik, że to nie *z frycem* rozprawa. Stary Pliszka, stojąc wprost syna, ręką mu cięcia pokazywał; niewiele z tego syn korzystał, bo ścigał oczymaspojrzenia przeciwnika i już teraz nacierać żwawie począł. Szły cięcia jak błyskawica. Na łysinę i czoło Borowika pot kroplisty wystąpił; wtedy począł żałować, że nie wdział dróćianej czapki; a Jaksza go parł coraz goręcej. Pan hetman zdziwiony klaskał z radości, a wciąż oczy wlepił w Jakse, który zagrzany obecnością pańską, wśród wymierzonego cięcia wspiał się na palce, uskoczył nieco, a potem ciął silnie.

— Jezus! Marya! Józef! krzyknął Borowik; wypuścił szablę z ręku i upadł na ziemię: otrzymałszy dwie rany w łysinę i policzek. Jaksza spojrział dumnie wokoło, chustką otarłszy szablę. Borowika otrzeźwiono zawiązawszy mu rany głębokie. Stary

Pliszka, przyskoczywszy do syna, uściskał go serdecznie, a Pan hetman wyrzekł:

— Wybornie examen odbyty; obciąłeś wasć najlepszego z dworu mego gracza; mianuję wasze pierwszym rębaczem. Borowik niech będzie drugim, że się przecie jako tako bronił.

Jaksa uścisnął kolana pańskie, otrzymawszy w darze kontusz, żupan, pas złotolity słuckiej roboty i dzielnego konia z rzędem. Stary Pliszka dostał wójtostwo na dożywocie, i odjechał uradowany, zostawując syna na dworze hetmana.

II.

Huczna była biesiada u pana hetmana, z Litwy, Wielkopolski i Mazowsza najechało gości; wino węgierskie lało się z beczek, bo tak bywało zawsze u nas, że co z winnic wycisnęli węgryni, to Polacy drogo zapłaciwszy, wypili. Książę Radziwiłł, panie kochanku, miał sławnych rębaczy; rozkazał przeto dla *facecyi* wyzwąć Jaknę. Pan hetman odradzał, zaręczając, że ich obcieszę, a książę rozdasany odrzekł:

— Panie kochanku, jeśli moich Litwaków pokiereszuje, to ja go wyzwę na rękę.

Więc w jadalnej komnacie usunięto stoły. Książę ujrzawszy Jaknę, kazał podać sobie jego szablę, a znalazłszy napis, przeczytał głośno:

«Sam tu starce! sam tu smyki,
Proszę, proszę na zraziki.»

—Daj go katu, to z waszeci, panie kochanku, nie leda kuchmistrz: ale trzeba waści wiedzieć, że znie-dźwiedzi litewskich niesmaczne zraziki! — i spojrzał ukosem na hetmana, wiedząc, że go niektórzy z koroniarzy niedźwiedziem litewskim nazywali.

Jaksa nierozumiejąc przymówki odrzekł:

— Jak się zdarzy, mości książe.

Radził kiwnął na swoich, i wystąpił sławny do korda pan Styrpejko, który zmierzwszy od stóp do głowy Pliszkę, kiwnął głową; skrywił ustami pogardliwie, rozumiejąc przez to, że mu da radę.

Na znak dany żwawie szły cięcia; szable aż iskry sypały; po pacierzu z jękiem upadł Styrpejko. Miał dwa palce przecięte, i na obu policzkach dwie szramy.

— Co! co! — krzyknął książe — mój Styrpejko panie kochanku na ziemi; wyzywam sam waszeci. I od gniewu krew wybiła mu aż siną barwę na lica.

Jaksa przystąpił do hetmana po rozkaz, a hetman na ucho powiedział. — Niechciej się bić, ale jeśli książe koniecznie zażąda, daj mu się ciąć gdzie lekko.

— Mości książe! ja nie śmiem próbować szabli... rzekł Jaksa.

— No! no! panie kochanku; nauczę ja waści robić zraziki; mówiłem waści, że ze starego litewskiego niedźwiedzia nieukroisz nic na zrazy.

I kazał sobie podać szablę. Jaksza odbił cięcia w głowę; miał wiele razy odstonionego księcia, ale niedotknął; wreszcie niby chybił szablą, a otrzymawszy cięcie lekkie po palcach, uskoczył na bok, krzyknąwszy.

— A tuś mi panie kochanku — zawołał uradowany książę — ho! ho! Mazurek! masz panie kochanku nauczkę; na drugi raz łeb ci utnę z kretesem.

Jaksza obwinął chustą ranę, otrzymawszy za nią dwieście dukatów i dwa dzielne konie z ubraniem.

III.

Były zawieruchy w kraju. Stary Pliszka należał do jednej; wezwał więc syna do siebie. Posłuszny, opuściwszy dwór, przybył do ojca. Garstka walecznych zamknęła się w murach Częstochowy.

Stary Pliszka, w pierwszej utarczce zginął: Jaksza zapłakany po świeżym pogrzebie ojca, stał ze zwieszoną głową czatą na murach. Zdala świeciły ognie nieprzyjacielskie. On rozmyślał i gdy boleść tłumił, wspomnienia go dawne weseliły: stał z dobytą szablą którą tyle zyskał sławy, i mówił w przerwach do siebie.

— Mój Boże! na cóż się zda teraz i siła i zręczność! poco szablę dźwigać! mój rodzic tak dzielnie rąbał, a zginął od kuli, niewidziawszy przeciwnika. I ja z tych murów cóż dokażę, kiedy niedosięgnę

ni końcem mojego tasaka. Schować lepiej w poch-
wę oręż nieużyteczny, niż go nosić dobyte, chyba
dla parady.

Włożył szablę w węzową pochew; nacisnął czap-
kę na uszy; począł odmawiać wieczorne godzinki.
O północy odebrał rozkaz być w pogotowiu do wy-
cieczki z fortecy: stał właśnie przy ognisku.

— Z jakąż bronią wyjdziemy? — zapytał.

— Naostrzyć szable, — odrzekł dowódzca — bez
strzału cichaczem napadniem.

— Więc choć raz przed śmiercią sztuka moja na
coś się przyda (zawołał w uniesieniu radośném Ja-
ksa)—rodzicu mój, tąż szablą, com od ciebie wziął,
pomszczę się twój śmierci. Patrz-ta (tu dobył z po-
chwy szablę) ile ma szczerbów, a niedarmo nosi
napis na sobie.

I przeczytał głośno i dobitnie:

«Sam tu starce, sam tu smyki,
Proszę, proszę, na zraziki.»

Roześmieli się na ten dwu-wiersz przy ognisku
towarzysze, a jeden z nich rzekł:

— Masz teraz porę, panie bracie, narobić polskich
zrazików.

— Pomoże mi w tém łaska Boska, i opiekunka
Najświętsza Marya: — odpowiedział Pliszka, przywią-
zując rzemyk od szabli do ręki. — Nigdy nie cier-
piał ognistej strzelby, bo to broń zdradliwa: tam
nauki, ani siły, ani zręczności nie potrzeba: ale tu,

(i machnął szablą)—sam tu na oczy! zagram im sarabandę. —

Przeznaczony oddział wyszedł cichaczem z fortecy, napadł na nieprzyjaciela, i rzeź potężną sprawił. Właśnie w tę dobę, miesiąc wyszedłszy z za chmury rozjaśnił pomrokę nocy. Dowódzca oddziału widział zawsze na przodzie, z błyszczącą szablą rosnącego wzrostu szlachcica, a każde cięcie jęk wyciskało. Jaksa był w swoim żywiole; nie pleśniał na murach jak stara cegła, ale na oczach mając przeciwników, płatał potężne zrazy. On głosem nawoływał do gromady, a po dwugodzinnej walce, ostatni wracał w mury Częstochowy.

Drugiej nocy, stał jak poprzedniej na murach, gdy nieprzyjaciel nadedniem szturm przypuścił. Walka zawrzała krwawa. Jaksa stał nieporuszony z gołą szablą: po drabinach darli się szturmujący on obojętnie patrzył; szli więc śmiało: ale gdy zmiarkował, że ciosu nie chybi, kiedy wychylił który głowy, lub rękoma za mur schwytał, Pliszka ciał, a łeb spadał, lub obcięte ręce zostawały na murze. Kiedy napróżno po tej drabinie usiłowano się wdrzeć, oficer kazał kilku żołnierzom zmierzyć do stojącego. Huknęły wystrzały, upadł Jaksa, ugodzony w piersi.

Odparto szturmujących; a kiedy zakonnicy grzebali ciała poległych, na murach znaleziono, w kontuszu szaraczkowym szlachcica, co krzepko trzyma w ręku szablę, zbroszoną do połowy; jeden z nich, ujrawszy napis wyryty przeczytał;

„Sam tu starce, sam tu smyki,
Proszę, proszę, na zraziki.” (*)

Stary jeden szlachcic usłyszawszy te słowa, wybiegł z gromady swojej:

— Gdzie tu szabla, z tym napisem?

Zakonnik wskazał na trupa. Szlachcic, ukląkłszy nad martwemi zwłoki, w głos zapłakał.

— Niech Bóg twój duszy da święty i wieczysty pokój (zawołał łkając); — żegnam cię, miły bracie (i pocałował w zimne czoło). Umarłeś z tąż samą szablą w rękę, która cię sławą okryła: o! zakopię cię w ziemię wraz z karabelą, niedotknę jej ręką, bom niegodzien.

Na głos rzeczony starca, zbiegła się szlachta, i okoliła wieńcem.

— Patrzcie (mówił dalej) zginął najślawniejszy rębacz w całej Polsce! Oto martwe zwłoki Jaksy Pliszki; w młodości prawie, obciął mnie staro — mnie, na dworze pana hetmana, pierwszego rębacza, Jana Borowika. Z początku sierzdziłem się na ciebie, miły bracie; ale potem kochałem z serca. O! bo, panowie bracia, ze swoim tasakiem, Jaks jak panna do tańca występował; a któż mógł się mu oprzeć!

(*) Pałasz, z tym samym napisem, w r. 1824 znajdował się na Wołyniu, w zbrojowni Księcia Mikołaja Sapichy.

—Nieśmy go bracia; oddajmy zwłoki matce ziemi świętej; pochowajmy z szablą: bo któż ma godne ręcedo jej przyjęcia? kto umie tak rąbać?

—Nikt! nikt! zawołali wszyscy.

—Zagrzebmy go więc z szablą; módlmy się za duszę, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków, Amen.

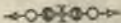
H. Wł. Wojcichi.





DO

EMMY.



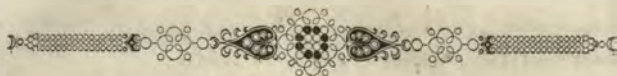
Wiem ja, że przeznaczono odwiecznym wyrokiem,
Że masz piekło i niebo rozdawać twym wzrokiem;
Czemuż się praw porządku serce twe wyrzekło,
Pierwej mi dałaś niebo, a przy końcu piekło.
Onie! przed sądy Boskie pociągnę ja ciebie,
Nie zaczynać, lecz kończyć kazano na niebie.
Płyną łez mych strumienie — lzy te nie przepadną,
Dziś sławę mą zalaly, na głowę twą spadną.

Cóż jest kobieta? — próżność! ach próżność bez końca!
Niedość gdy jej przyświeca blask jednego słońca,
Do najbladszej z gwiazd niebios sięgają jej oczy,
I tęsknią, czemu wszystkich blask jej nie otoczy;
I niechaj która gwiazda, wzrokiem jej ujęta,
Rzuci drogę, co prawem przedwiecznym wytknięta,

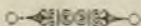
Niech się zbliży — a w tenczas z wyziewów powstały
 Niech zabłyseczy meteor chwilę tylko trwały;
 Nowy ten blask, ziemianki gotów oczy zwrócić,
 Za nim goniąc gotowa wszystkie gwiazdy rzucić.
 — O wróć się biedna gwiazdo; cóż się z tobą stanie,
 Będzież ci przebaczone twoje obłąkanie?
 I niecofny swój wyrok wydając Pan świata,
 Będzież zważał na dawne służby twojej lata.
 — Ach spiesz się gwiazdo, wracaj na niebios błękity,
 Wartożto rzucać niebo, dla oczu kobiety?

Ant: Go....





TESTAMENT STAREJ PANNY.



—**C**óż to jest ta panna Weronika i jej testament, o której tyłem się nasłuchał teraz, będąc na wsi?— Takie zrobił zapytanie młody brunet, rzucając się na sofę, zmęczony przechadzką, i wylewając przy- najmniej zpół flaszki wódki kolońskiej na ręce i na suknie; do swojego przyjaciela równie młodego ale blondyna, co zamyślony, siedział przy oknie i wzdychał. Trzeba zaś wiedzieć że to było w Warszawie roku 1819, w pewnym domu przy ulicy Bielańskiej. —Zacna osoba, odpowiedział Leon (to jest blondyn) wierz mi, dobra i miła, chociaż już w *pewnym wieku*.

—Cóż to chcesz rozumieć przez twój *pewny wiek*.

—Ho! ho! jest to wiek, którego liczbę lat, kobiety starają się tać koniecznie, a którego piętno, pomimo ich usiłowań, czas zostawia na ich twarzy.

—Panna Weronika zatem, była już starą?

—Starą? bynajmniej ale dojrzały wiek miała. A wszak od dojrzałości do starości, jeszcze dość daleko.

—Patrz-no, jakże ją bronisz troskliwie?

—A przecież to moja ciotka, a ja jej prawdziwy i jedyny synowiec; wręście com powiedział, istotną jest prawdą. Ciotka Weronika była piękną aż do samej śmierci, a jej żywe oczy, aż do chwili kiedy je zamknęła nazawsze, błyszczały wdzięcznie z pod długich rzęsów, co nigdy nieprzystały być czarnymi.

—Była więc piękną?

—Niezawodnie, ponieważ wdzięki i po śmierci jeszcze zachowała.

—A jej przymioty, jakie były?

—Pełna talentów.

—Ale ja mówię o przymiotach pieniężnych.

—Była bogatą, i bardzo bogatą.

—Dla czegoż więc nie poszła za mąż?

—Dla czego?— zaraz ci powiem. Oto, bogactwa późno do niej zawitały. Zawód swój na świecie rozpoczęła ubóstwem. Smutna to uwertura dramatu naszego życia! Och! dla ubogiego, życie to, jest prawdziwymi szrankami zapaśników. Ciotka Weronika miała serce czułe, nawet namiętne. Ale w naszych czasach, przymioty serca mało obchodzą ludzi! Coś ważniejszego przypada im tylko do smaku; worki pełne talarów, blaszki złote i to jeszcze z pod

dobrego stępla, a wreszcie grube wiązki bankocetli; to ich tylko zaspokoić może. Ach, biedna ciotka Weronika, ona tego wszystkiego nie miała. Rachując lata swe na palcach, mówiła do siebie: jestem piękną. Przysłuchując się rozmowom innych kobiet, mówiła: jednakże nie mają one więcej odemnie dowcipu. Wszystko to prawda, wielka prawda kochana ciotko, ale niestety! te panie mają włości, pałace i dochody, a ty nie miałaś nic prócz twoich osobistych wdzięków. Biedna ciotka Weronika postrzegła nakoniec, jak od niej młodość uciekać zaczęła. Fatalna to była i okrutna dla niej chwila, w której odkryła pierwszy włos srebrny, między czarnemi splećkami swojego warkocza. Doszła już więc *pewnego wieku*. Słowa kabalistyczne! nagrobek nadziei! Ale wygórowane namiętności stykają się z sobą. Serce do kochania stworzone, nie znajdując nic, co by jego płomień podsycalo, przyjdzie do tego, że albo samo siebie strawi, albo nienawidzić będzie ludzi. Ciotka Weronika znalazła ucieczkę w nienawiści.

— Smutna ucieczka.

— Prawda, ale pomyśl tylko co ona wycierpieć musiała. Jednakże przeznaczenie sprzyjało jej zemście. Piękna sukcesya spadła na nią jak z obłoków, ale już za późno. Kilka lat wcześniej, a to złoto uczyniłoby ciotkę Weronikę najszczęśliwszą z kobiet. Ale w ten czas, nie było już niczem więcej dla niej, jak tylko żółtym i brzęczącym metalem.

— Że ciotka Weronika powzięła niechęć do mężczyzn, pojmuję łatwo; ale że na dźwięk żółtego metalu, ciżba pretendentów nie osiadła koło niej, jak rój pszczoł około ula, to mię zadziwia.

— O! przeciwnie, zbiegli się hurmem do takiej grzanki, ale jak to mówią ludzie po prostu: zjedli mydło. Bo napróżno unosili się nad wdziękami panny Weroniki; napróżno starali się ją przekonać, że *odmłodziła*. Ciotka moja rozumiała o co idzie, i nie dała się ująć w sidła, przewrotnych wielbicieli złotego cielca. Nieporuszona jak opoka, zimna, uśmiechem ironicznej pogardy odpowiadała tym, co ją nazywali okrutną. Co większa, postanowiła oddać wet za wet, oświadczając wyraźnie, że nigdy żaden trzos jej złota, nie zbogaci ani jednego z tych dwónożnych egoistów, którzy nie zdołali jej kochać, dla niej samój.

— Cóż więc zrobiła z swoim majątkiem? Czy nie zagrzebała go razem z sobą do ziemi?

— O wcale nie! ciotunia kochana zanadto miała ostrożności, żeby się takiego głupstwa dopuścić. Lękała się być exhumowaną; bo nieraz przecie zdarzało się na świecie, że za jeden pierścień złoty, na palcu nieboszczyka zostawiony, wygrzebywano ludzi z ziemi; a cóż dopiero gdyby wiadano, że tam są miliony. Ale panna Weronika, inaczej sobie poradziła. Oto, zapisała wszystkie swoje dobra, swoim pięciu siostrzenicom, ale z warunkiem *sine qua non*.

— Cóż to za warunek?

— Oto, żeby zostały pannami jak ich ciotka, pod karą dla przestępnych, utraty udziału w sukcesyji na korzyść tych, które posłusznymi jej woli zostaną.

— A jeżeli wszystkie pięć pójdą za mąż: to co będzie w tenczas z majątkiem?

— W tenczas, cała fortuna przejdzie na najbliższego krewnego, to jest na mnie. Ale ciotka Weronika, nie mogła nawet przewidzieć takiego przypadku. Wręczcie, to przypuszczenie twoje, zważając, że moje kuzynki grosza swego nie mają, jest bez żadnej zasady. Dar ciotki składa cały ich majątek, a my w wieku w którym żyjemy, wcale nie jesteśmy skłonni żenić się z pannami, bez posagu. Co się zaś tycze owych pięciu sukcesorek mojej ciotki: pierwszą jest Zosia, uboga sierota, co zawsze przy niej mieszkała; dalszemi czterema są, owe znane elegantki, któreś może widział kiedykolwiek, Panny Trudnickie. Ale, ach! dla czegoż ta Nielitościwa ciotka, umieściła ów nieszczęsny warunek w swoim testamencie! Gdyby nie on, poślubiłbym sobie moją Zosię, którą kocham najczulej. Teraz, ja biedny aplikant pana Mecenas, sam mało mając, mogęż się odważyć na ożenienie i odarcie Zosi z majątku? Nie, to niepodobna, ... a jednak... ach, co to za bieda!....

Leon nie skończył tej myśli, ale coraz więcej zadumany, ścisnął rękę przyjaciela swego, Karola, który śmiejąc się i z niego i z testamentu ciotki, po-

wstał, i oddalił się nucąc niewyraźnie piosnkę, z ulubionego wodwilu.

Leon zostawszy jeden w pokoju, wyszedł nakoniec z roztargnienia, i usiadł przy swojej gotowalni. Dobre pół godziny upłynąć musiało, nim nasz biędak zakochany, zdołał ułożyć podług fantazyi, jasne kędziory swoich włosów; nim przyzwoicie i zgodnie z modą, zawiązał chustkę na szyi. Wreście skończywszy tę pracę, wyszedł śpiesznie, jakby go kto gonił, i w dwóch susach przebiegłszy schody, znalazł się na trotuarze pod dzisiejszą mennicą.

Zawsze roztargniony, w pośpiechu i zadumaniu, potracił ze cztery osoby na ulicy, a dwie z nich ledwie zdołał przeprosić; wywrócił babie siedzącej za straganem, koszyk z owocami; niewiedzieć czego by jeszcze nie dokazał, gdyby nie wpadł na dorożkę, która go w półtora kwadransa uniosła w Aleje, pod cień Ujazdowskich kasztanów. Świeże powietrze i zapach różnobarwnych kwiatów, rosnących w ogródku, otaczającym mały, ale bardzo czysty domek, orzeźwiły Leona, który właśnie kazał się zatrzymać dorożce, przed drzwiami tego miłego ustroja.

Leon, z zasepioną twarzą i z sercem silniej bijącym, wszedł do pierwszego pokoju, którego większą jeszcze ozdobą była, czystość z większą prostotą połączona, niż wytworność sprzętów. Przy stoliku siedziała oparta, zadumana i niewzruszona jak posąg marmurowy, młoda, śliczna osoba i blondynka jak

Leon. Piękną swą głowę wspierając na małej i bieluchnej rączce, zdawała się odrywać uwagę od książki, co przed nią leżała otwarta; zamyśliła się, i miała już płakać. Ale na odgłos zbliżającego się ku niej Leona, podniosła czoło, a żywy rumieniec okrył jej twarzyczkę.

—Luba moja Zosiu, rzekł Leon, całując rękę pięknej zamyśloniej, —przychodzę cię pożegnać.

—Pożegnać mnie, Leonie? więc nas opuszczasz! to niepodobna....

—A testament twojej ciotki?

—Moje serce wcale się nie zmieniło, mój panie. Miałożby inaczej być z twojém? Ach! wierzę że tak jest niestety! Nie możesz bezwątpienia poślubić kobiety bez majątku. Jestem prawdziwie nieszczęśliwą....

—Czy zastanowiłaś się nad tém, moja droga Zosiu? to ja nie mogę przyjąć twojej ofiary: ty jesteś bogatą, zapomnij o mnie.

—A jeżeli ja wolę zostać ubogą, aby tylko być twoją?

Te ostatnie słowa stanowczo usunęły resztę przeszkód. Piękna Zosia za skończeniem żałoby, została żoną Leona, a panny Trudnickie, podzieliły się tą piątą częścią puścizny po ciotce, która do niej należała.

Trzeba zaś wiedzieć, że te panny Trudnickie, córki poczciwego kupca ze Starego miasta, odebrały z hojności ciotki swój, panny Weroniki, daleko wyż-

sze nad swój stan wychowanie; do tego, były także wcale nieszpetne. Ale jak to najczęściej się zdarza u ludzi, że się nie obejdzie bez klina w głowie; nasze piękne panny, gardziły serdecznie professyą, którą się ojciec, długo, najporządniej, chociaż nienajkorzystniej zajmował. Jednym słowem, wyszły sobie na wielkie panie. Wszystkie więc cztery, przemieśliwszy się *notabene*, ze Starego miasta na Krakowskie przedmieście, siedziały po całych dniach, (ma się rozumieć najmodniej, i najsentymentalniej wystrójone); w jednym z owych to pięknych saloników, co to więcej w nich bywa mebli, firanek, porcelany i bronzów, niżby wypadało na kamienicę, z czterema oknami i fortką od ulicy, i na szczupłość samego salonu. Ale za to, każda z tych panien, była zawsze czemś zatrudnioną; bo zupełne próżnowanie, zaczęło już w ówczas wychodzić z mody, i powoli zamieniło się w próżniackie zatrudnienie. Pojęły to przecie eleganki, że nic nie robić, jest to chcieć sobie mimowolnie nadać niezgrabną postawę, i że panna daleko lepiej się wydaje z robotką przy stoliku, niż wyprostowana z założonemi, choćby najzręczniejszymi rękami.

Zatem nasze piękne panny Trudnickie, były wszystkie cztery zawsze bardzo zajęte. Na ten raz, panna, Flora rozplątywała jedwab' najdelikatniejszymi rączkami na świecie; panna Helena, improwizowała wiersze i wpisywała je do swego sztambucha; Basia, najmłodsza, uczyła gadać swoją papugę, miłuchne białe

Koko ; najstarsza zaś, panna Delfina, szyła heroicznie koszule dla ubogich.

— Czy pan wieśz o nowinach? zapytała Flora, młodego bruneta, który stojąc przed nią, nieco roz-targniony, opierał się o krzesło, i poprawiał sobie pięknie karbowane żaboty. Żaboty albowiem były w roku 1819 w modzie, i wielce pomagały w ówczas, tym, co nieznajdując nic do rozmowy, chcieli jak-kolwiek wyjść z ambarasu, lub pomódz dumaniu; jak dziś wąsy i faworyty.

Zagadniony przez Florę kawaler, był to Karol, ów przystojny brunet, którego łaskawy czytelnik raczy sobie przypomnieć, jeżeli mu się podoba od-wrócić kilka kart w tył, i zajrzeć w początek naszej powieści.

— Och! niegodziwy węzeł! zawołała znowu Flora, jakże ten jedwab' trudny jest do rozplątania!

— Mogęż pani dopomódz? przerwał grzeczny Ka-rol, i zginając przed nią kolano, podał obie ręce do trzymania na nich motka.

— Otóż to, prawdziwy Herkules u nóg Omfali, zawołała sentymentalnie panna Helena; i dalej na potęgę zapisywała wierszami swój sztambuch.

— Bardzo dziękuję, panie Karolu, odezwała się na-koniec Flora; już z resztą sama przyjdę do ładu. Ale czy pan nie wieśz nic nowego?

— A, ja się wcale nie mieszam do żadnych nowin. Możeż bydź w świecie co nudniejszego? Zostawmy

to siwym włosom. A potém, ciekawy jestem, co też być może nowego już teraz pod słońcem?

— Jakaż to duma filozoficzna, odezwała się Del-
fina.

— Nie, ja nie mam wcale żadnej zarozumiałości, ale przecie widzę co się dzieje. Życie ludzkie, jest zupełnie jednostajnym dla wszystkich formularzem. Człowiek się rodzi, żeni, umiera, i kortyna zapada.

— Godziż się nazywać małżeństwo jakimś formularzem? przerwała z uniesieniem Helena. Ach! mój panie, jesteś wielkim materyalistą. Jakto! małżeństwo, to czyste połączenie dusz, zajętych niebieskiem uczuciem miłości! O! niechciałabym iść za człowieka, który tak pojmuje małżeństwo, jak Pan.

— Ale ja nie mówię o nowościach politycznych, przerwała znów Flora: czy pan wieś że nasza kuzynka idzie za mąż?

— Jaka kuzynka?

— Ależ mamy przecie, tylko jedną: Zosię. Jak to! pan jej nie przypomina sobie?

Karol kiwnął głową, jakby o niej nigdy nie sły-
szał, a Flora uśmiechnęła się. Zdarza się bowiem,
że niekiedy z przyjemnością dowiaduje się kobieta,
że o drugiej zapomniano; a radość tém jest większą,
im zapomniana jest piękniejszą.

— Ale przypomnij ją tylko Pan sobie. Blondynka,
zawsze w białej sukni.

— A! tak, zdaje mi się że ją sobie przypominam,
mała blondynka, biała aż do ekliwości.

Flora była żywą brunetką; jej też oczy błyszczały z radości, na tak ostry przez Karola opis jej kuzynki.

— Otóż! ta nasza kuzynka, poszła za męża, bez względu na testament naszej ciotki.

— A cóż to jest za waryat, co się z nią ożenił? — Przerwał nagle i nieuważnie Karol.

— Jakto waryat? zawołała oburzona Flora, rumieniąc się po uszy.

Biedny Karol, chciałby natychmiast wycofać wyrzeczone słowa; ale już zapóźno było. Lecz wręście, od otwarcia fatalnego testamentu ciotki, prawdę mówiąc (między nami) czekał już zręczności, żeby się jakoś przyzwocie od tych pań oddalić. — Ach zapomniałem, zawołał w kłopotcie Karol, spójrząwszy na zegarek, że już siódma, spóźnię się na teatr. Żegnaj Panie — i wyszedł, żeby już niewrócił.

— Potwora! zawołała Flora, skoro się odwrócił Karol. Spazmy, czyli atak nerwowy nastąpił dalej, po tak gwałtowném poruszeniu.

Niestety! nie sam jeden piękny nasz brunet Karol, był potworą. Już przed nim, natychmiast na wiadomość o testamencie ciotki, trzej inni pretendenci pańien Trudnickich, odwrót rozpoczęli. Była to więc grzeszność owszem zbyteczna, dla której, Karol wielbiciel nie tylko pieniędzy, ale i przyzwoitości, przedłużał odwiedziny swoje w ich domu. Bez posagu! Biedne panny! Trzeba jednakże kochać, przez samą nawet ostrożność, żeby te dwa fatalne

słowa, nie ścięły krwi w żyłach, jak owe tajemnicze charaktery na uczcie Baltazara.

Więc iż więc panowie, co potem z tego wszystkiego wypadło?

Naturalnie, cztery siostry zostały pannami!

O! wcale nie! JPan Trudnicki, kochany papa czterech zdradzonych piękności, chociaż niemógł ich wyposażyć, miał jednak handel dosyć rozgałęziony, a do jego kierunku i dozoru kilku przystojnych komissantów, których zabiegi, hołdy i oświadczenia, musiały ciągle wytrzymywać nasze piękne siostrzyczki. Flora i Basia uznały po krótkim namyśleniu się, że niepodobna im było osiąść na panieństwie, kiedy już oddawna, to ich zamąż pójście, nietylko na Starém mieście i Krakowskiém przedmieściu, powszechnie wiadomém było; ale wieść i szept o niem, dosięgły nawet z jednej strony rynku Nowego-miasta, z drugiej zaś, dwóch ulic: Senatorskiej i Miodowej. Nie było czego dalej rozmyślać. Wreście i to jest miło, zemścić się nad przენiewiercami. Flora i Basia niebawnie zamieniły wieniec dziewiczy, na elegancki czépeczek młodych mężatek, uszczęśliwiając dwóch najprzystojniejszych komissantów, oddaniem swéj ręki. Stary Trudnicki, który z początku, mocno się opierał tak skromnemu swoich córek postanowieniu; uległ nakoniec ich stałości, a pocieszał się myślą, że cały majątek ciotki, przejdzie na inne {dwie córki, a tém

samém, w domu jego zostanie. Ale i ta nawet pociecha, niedługo zachwianą została.

Delfina, owa dobroczynna Delfina, cóśmy to ją widzieli szyjącą w pięknym salonie, koszule dla ubogich, miała umysł wzniosły, lubiła *lekturę*. Lecz jaką *lekturę*? Może kto posądzi ją o czytanie romansów, poezyi, sztuk teatralnych? A pfe. Delfina powtarzamy wyraźnie, (proszę sobie zanotować) miała umysł wzniosły, dodamy głęboki i zapalony do rozmyślania: jedném słowem Delfina lubiła *Filozofią*. Tak! Filozofia zajmowała jej godziny, podzielone z dobroczynnością. Wiedział i świat już o tém, bo Delfina, brała lekcya filozofii, od pewnego uczonego profesora; nie dla tego jednakże, żeby się to rozgłosiło za domem. Bynajmniej, ale wiadomo jak to ludzie uczeni, jeżeli nie są zupełnie milczący, to też przez drugą ostateczność, zwykli być bardzo gadatliwi. Oteż świat łatwo się o tej prywatnej lekcyi, i o passyi panny Delfiny, od samego pana profesora dowiedział. Co większa, niebawnie obok tak mądrej namiętności do filozofii, wzrosła pod jej opiekuńczym cieniem inna, weselsza i mniej zawila, lecz niemniej żywa namiętność, zwana miłością. Dla kogóż to przecie? Dla samego profesora. Urosła z szacunku, z wdzięczności, nakoniec jak to bywa z litości. Zaczny pedagog, pomimo uroczystą powagą nastrzępionej miny, miał jeszcze lat 28, dość sobie czerstwo i hożo wyglądał, a do tego był professorem wyższej szkoły w kraju. To wszystko

razem wzięte, dostatecznym było do przekonania, i zdecydowania skromnej w swoich chęciach Delfiny. Ot, i trzecie małżeństwo stąd wypadło. Poczciwy Trudnicki, najmężniej się przeciw niemu stawiał; ale napróżno. Delfina, zwyczajnie jako filozofka, twardszą się okazała od granitowej opoki. Nie było rady z uczonemi; ale nasz kupiec zostawiony tylko z czwartą swą córką, postanowił najmocniej, jak mężny kanonier za ostatnim już szansem, bronić jej od strzał kupidyna, i odwracać smutne złąd dla niego skutki, testamentu ciotki.

Bo też piękna i poetyczna Helena, bujając ciągle w wyższych sferach rymotwórczego natchnienia, nie tak skorą była do oddania swęj ręki lada komu. Jej duże niebieskie i omdlewające oczy, jej wdzięczny chociaż melancholiczny uśmiech, jej kibić wysmukła: nęciły do niej mnóstwo, nawet dość powabnych wielbicieli. Lecz dla pięknej Heleny trudniej było wybór uczynić, niż innym siostrom. Muzy gust jej uczyniły wykwiłniejszym. Ideał Byrona, ach! tego czarownego Byrona, utkwiał silnie w głowie, jeśli nie w sercu Heleny. Takiego-to męża marzyła sobie nasza zwolennica Apollina. Jakoż z razu, zdawało się jej, że pewny hrabia którego niedługi, ale nader expensowny pobyt w Paryżu, odarł nieszczęśliwie z majątku, najmocniej zbliżał się do tego ulubionego ideału. Wzdychał do niej, lecz nie tym prostym rozkochanych młokosów, ani tém ciężkiem rozmiłowanych wdowców westchnieniem: lecz wzdy-

chał jak nieszczęśliwy, jak Korsarz, jak Lara, jak sam Byron, kiedy mu stara guwernantka żonę zbałamuciła; wzdychał wręście, jak nieśmiały kochanek, co ubóstwia przedmiot swęj miłości, a nie śmie spodziewać się bydz nawzajem kochanym! Helena wytrzymywała tak niebezpieczne westchnienia, jak przystoi na heroinę i przyjaciółkę muz. Już nawet miała się przestać drożyć, i połączyć dwie dusze palające jednym ogniem: kiedy fatalny testament ciotki, nagle zniszczył nadzieje, zerwał maskę, i tak przeraził pana hrabiego, że nawet przed innemi, uszedł co tchu w nogi z domu pana Trudnickiego. Helena okazała w tym razie mężką duszę, ufala więcćj osobistym swoim wdziękom, zdobyła się na cierpliwość i czekała czy się na miejscu zbiega, nie zjawi inny jaki hrabia, lub przynajmniej baron? Ani hrabia, ani baron nie zjawili się, aż do dnia ślubu trzecięj siostry. Aż dreszcz przejął wskrós, rozmyślającą nad przyszłością Helenę. Zostać nazawsze starą panną. A to okropnie! I to samotnie, wtenczas kiedy inne siostry nie wahały się pójść za skłonnością serca? Cóż świat o nięj powie? Zapewne, że przekłada bogactwo nad najśłodsze uczucia, nad miłość. Jestże to poezya, [taki egoizm? Helena bardzo była wzruszona i posepna tego dnia. Był to jednak dzień balowy, trzeba się było ubrać i pojechać, ażeby się koniecznie bawić. Helena pomimo całej romantyczności i poezyi, nietylko piękną naturę, ale i piękną sztukę umiała cenić i u-

wielbiac. Zachwycające ogniem i wielkością brylanty Xiężnej ***, tak uderzyły Helenę na tym balu, że długo nie mogła od nich oderwać oczu. Wiadomo zaś, że te oczy bardzo były powabne, i jeśli brylanty Xiężnej jej się podobały, oczy które na nie tak wdzięcznie patrzyły, ujęły za serce grubego i czerwonego szlachcica, co prosto wczoraj z pod Sandomierza do Warszawy, a dziś przybył na salę balową. Podstarzały wdowiec, pan Edward Niebacznicki, nie ociągał się z zalecaniem do naszej piękności. Przedstawiony jej zaraz od przyjaciela na balu, jako bogaty właściciel, pomimo szaraczkowych swych włosów, nie zdziałał przecie żadnego nieprzyjemnego wrażenia na pannie Helenie. Owszem, zdawało się jej, że widzi w nim charakter jeżeli nie z poezyi Byrona wzięty, to przynajmniej podobny do owych szorstkich ale energicznych górali, na jakich nieraz w romansach Walter-Skota, natrafić jej się zdarzało. Jednym słowem pan Edward, otrzymał pozwolenie złożyć hołd u stóp rymotwórczyni, w jej własnym salonie.

—Pani jakem uważał, lubi dyamenty? odezwał się Edward, po chwili rozmowy o pogodzie i o wczorajszym balu.—Jakże więc pani znajdujesz wodę w tym oto soliterze? I położył go z najzręczniejszém ujęciem, na rączce panny Heleny, odzianej w cieniuchną rękawiczkę.

—Znajduję ten brylant prześlicznym, odpowie-

działa Helena, nieco zmieszana że nowy adorator, zdołał odgadnąć jej myśli.

— Otóż, pani dobrodziko! inoja nieboszczka żona, miała cały garnitur do ubrania z tak pysznych brylantów złożony. Przeznaczam go dla tej, która zechce pocieszyć mój stan wdowi.

Takie oświadczenie, chociaż niby to nie zupełnie prosto do niej skierowane, było jednak i nagle trochę i łatwe do zrozumienia. Helena sama niewiedziała co na to odpowiedzieć, ale nasz bogacz potrafił tego samego nawet wieczora przekonać ją, że jeśli podstarzałe lata i siwe włosy wdowca, nie przeraziły jej: od samej tylko Heleny zależeć będzie możliwość zgaszenia brylantowego ubioru Xiężny ***, który widziała na balu.

Wtenczas jakiś gieniusz opiekuńczy, szepnął w porę do ucha Helenie, żeby na ten raz zapomniała o Bajronie, poezyi i modnych hrabiach; i Helena zdobywszy się odważnie na pewne już postanowienie, przyjęła oświadczenia wdowca, i pojechała w Sandomierskie unosić się wiérsem, nad pięknnością złotokłosej pszenicy.

Tak więc wszystkie siostrzenice ciotki Weroniki, przestały być pannami. A jednak warunki jej testamentu, nie zostały bynajmniej naruszone. Siądźmy z tym panem, co się tak śpieszy, do doróżki, i jedźmy z nim w aleje. Otóż stajemy znów przed owym skromnym domkiem. Mieszka w nim Zosia, nasza znajoma, ale już nie sierota jak pierwój, ale

małżonka od roku, a matka od miesiąca. Młody człowiek z którymeśmy przyjechali, prosi nas spocząć w swoim pokoju. W tém słychać szelest i głosy pomieszane. Leon wzruszony, (bo to on był z nami), bieży do pokojów żony — a młoda matka w uniesieniu szczęścia, pokazuje mu dziecię, mówiąc ze łzami radości: — « Patrz mój drogi! jakże to słiczny ten mały nasz synek? »

— A jak bogaty, moja najmiłsza? Bogaty, bo twoje kuzynki wszystkie już za mąż wyszły. Odziedziczamy więc cały majątek ciotki Weroniki, podług brzmienia jej testamentu.

Amuz.





SONET.



Sam jeden zamyślony pomiędzy parowy ,
Idę pomiędzy głuche lasy i opoki.
Na każdy ślad człowieka uciekać gotowy,
Coraz w dziksze pustynie niosę moje kroki.

Ach uciekam od ludzi, bo każdy z mej twarzy
Wyczyta, jakie w sercu ponoszę boleści ;
W każdym mojem spojrzeniu ten ogień się żarzy,
Który mię codzień trawi i strawi nareście.

O wy! lasy ponure, w waszych cieniach smętnych,
Ukrywam tajemnicę sercu memu drogę.
Wy mnie od oczu świata dzielicie natrętnych,


Lecz czemuż od miłości schować się nie mogę.
Znajdzie mnie choć w najdalszą skryję się zaciszę
Wszędzie do mnie przemawia, wszędzie głos jej słyszę.

Ant... Go....



PODRÓŻ DO WÓD.

POWIEŚĆ.

—  ach! mówił do Katarzyny, żony swojej, ex-mentor Dukwicki siedząc w dużym krześle, do którego przykuła go bolesna choroba, podagra; — ach, gdybym choć raz mógł pojechać do wód, — ale to niepodobna: droga daleka, koszt wielki. Nasz pan hrabia, co tam naprzeciwno we wspaniałym mieszka pałacu, łatwoby wprowadzić mógł biednemu nauczycielowi niegdyś swemu, darować jaką sumkę na odbycie tej podróży: dla niego byłaby to bagatela; ale gdzież tam. . . . Nie, ta nadzieja jest płonna, i podróż do wód pozostanie tylko marzeniem.

Od lat kilku już biedny ex-mentor rozwodził podobne tym żale, gdy mówiono o jedynym środku, co mógłby mu być przywrócić zdrowie. Dobry sta-

ruszek! na cóż mu się zdało wewnętrzne przekonanie, że wszystkie swoje obowiązki pełnił najrzetelniej; na cóż się zdały nabyty szacunek i miłość u wszystkich znajomych i grono kwitnące potomstwa, którem go niebo obdarzyło, i ślicznie rozwite w ogrodzie kwiaty, które tak namiętnie lubił! Bolescią dręczony, leżał oparty w krześle, a na dworze tymczasem słowik śpiewał, lipy rozlewały miłe wonie, sześćioletni synek jego Paweł musztrował drewniane pulki, a mała Helenka przypatrywała się tej zabawie. W cienistych zaś alejach hrabiowskiego parku, przechadzała się najstarsza córka, Teodora, i wkoło niej skakał braciszek, złotowłosy, żwawy, pięcioletni Staś.

Zaiste, szczęsnym możnaby było zwać starca w gronie tych dzieci, nadobnych i enotliwych. Lecz okropna choroba zgnębiła go, jeśli nie na duszy, to przynajmniej na ciele. A nadto, był bardzo niedostatnim, i to z własnej winy, bo cokolwiek tylko kiedy posiadał, podzielił się z biedniejszymi.

Inny jeszcze smutek dręczył staruszkę; obawa o najukochańsze dziecko, o ośmnastoletnią Teodorę. Niegdyś tak zdrowa i wesoła, od niejakiego czasu straciła zupełnie humor; chętna dawniej w podzieleniu starań około chorego ojca, dziś zostawiała takowe matce i siostrze; a sama, odosobniona w swojej izdebce czas przepędzała. Uderzało to bardzo rodziców, niemogących odgadnąć przyczyny; pytania ich bowiem zbywała zwykłą odpowiedzią, że jej

nic nie jest. Matka z początku przypisywała to cierpieniom z powodu słabości ojca, lecz kiedy nareszcie i róże z lica młodej dziewicy nikać poczęły, oboje rodzice postanowili użyć wszelkich sposobów, ażeby ją zmusić do wyznania prawdy. A dziś właśnie miało to nastąpić.

Teodora, niewiadoma tego zamiaru rodziców, błędziła po rozkosznych zakrętach ogrodu, i serce jej mocniej biło niż zwykle; — dziś — dziś miał bydz najszczęśliwszy wieczór w jej życiu.

— Zasypiaj w złotej kolebce, lube słońce, zawołała. Gdy uśniesz, dla mnie zejdzie długo oczekiwany dzień świąteczny; dla mnie, i dla ciebie, o mój ojczu, i dla nas wszystkich.

Tak rozmawiała sama z sobą, by ulżyć przepelnionemu radością sercu, i ani domyśliła się, co jej gotowało w domu przywiązanie rodziców. Pograżona w błogiem dumaniu, przebiegając ogród, zatrzymała się na zakręcie drogi przy krzaku róż, kiedy nagle spostrzega przed sobą pięknego i hożej postaci młodzieńca, bacznie na nią spoglądającego. Jeżeli jej zadziwienie było wielkie z tak niespodziewanego spotkania, niemniej i on był zdziwiony widokiem nadobnej dziewicy; stał jak wryty i ledwo zdołał ją przywitać. Teodorze wypadła chustka z drżającej ręki, — niepostrzegła tego. Nieznajomy stał ciągle, pojąc się cudownym widokiem jej wdzięków i pomieszania; nakoniec wymogła tyle na sobie, że go lekkim krokiem wymi-

nęła. Wtenczas postrzegł dopiero chustkę, schwycił ją i przyniósł Teodorze, wymównie błogosławiąc szczęście, które mu dozwoliło wyświadczyć jej tę małą przysługę. Mówił płynnie, ale z mocnym cudzoziemskim akcentem. Co mówił—któż to zgadnie? wszakby on sam nie zdołał o tém zdać sprawy. Ale co znaczyły błyskawice jego oczu, co znaczyło drżenie i żywość słów, któremi Teodorę usiłował zatrzymywać, gdy ta do domu śpieszyła? każdy łatwo zgadnie. Purpurowym rumieńcem pałało jej lice, i lekko, jak spłoszona sarna, pobiegła z bratem przez cieniste aleje, drżąca, z bijącym sercem, i rychlej niż zamierzała, znalazła się znowu pod gankiem ojcowskiego domku.

Po wieczery, kiedy ojciec jeszcze palił ostatnią fajkę, a dziatki wkoło niego igrały, ujrawszy wchodzącą Teodorę, zapytał:—cóż to przynosisz? cóż to dźwigasz w tej chustce? dla czego te łzy, jak perły, spadają ci z oczu?

—Drogi ojcze, rzekła ze łkaniem: tu niosę ci pieniądze na podróż—tysiąc złotych, które dla ciebie zapracowałam. Niewielka summa, ale wystarczy; teraz jedź do wód i odzyskaj zdrowie!

I rzuciła się starcowi na szyję.

Jak dzieci tłumnie otoczyły rodziców i siostrę, jak ojciec, niemogąc dać wiary temu, co słyszy, waży w ręku pieniądze,—jak wśród pocałowań i uściśnień cała się tajemnica wyjawia,—żeby to odmalować, bieglejszego nad moje trzeba pióra.

Przez dwa prawie lata, Teodora w pokoiku swoim pracowała igłą, w późne nocy, kiedy wszyscy spali, kilka tylko godzin dozwalając sobie spoczynku. Zbladły wprawdzie jęj lica, ściągnęła nawet na się podejrzenia tych, co jęj w świecie najmilszemi byli, ale mimo to wszystko dopięła celu, ku któremu z cnotliwą dążyła wytrwałością.

—Na ramię broń! krzyknął uradowany Paweł na swoich drewnianych żołnierzy. Czy nie widzicie chłopcy, kogo macie przed sobą?

—Tak jest, czuwałaś, cierpiałaś, rzekł stary ojciec, kładąc drżącą rękę na kornie spuszczonej głowie dziewczycy, — dla mnie, dla nas wszystkich, obyś była szczęśliwą i długo żyła na świecie.

Piękniejsze jeszcze niż niebo wieczorne na dworze, zajaśniało w domu ex-mentora niebo radości, roztlone tysiącami gwiazd nadziei. — Będiesz zdrów ojcze! wołały dzieci; będziesz znowu skakać z nami. —Tak jest, ozdrowię, odpowiadał ojciec; ozdrowię i z wami biegać będę! O Kasiu, pojedę do wód, pojedę, — ktoby się tego spodziewał!

Późno w noc ciągnęła się rada, jak wszystko urządzić; co wziąć z sobą; kędy drogę obrócić? Lecz przedewszystkiem i za powszechną zgodą, stanęło na tém, że Teodora ojcu towarzyszyć będzie. Na podobnych rozmowach zeszedł i dzień następny. Chłód wieczorny i wieczorne cienie, znowu Teodorę do ogrodu zamkowego wabily. Idąc tam, wspomnienie wczorajszego spotkania, gwałtownie wstrząsnęło

j^{ej} serce, doświadczała dziwnego przestachu, obawy, jakiej nigdy nie uczuła. Lękała się znowu spotkać nieznanego; lękała się, iż znowu przed nią stanie, znowu z nią mówić będzie; a jednak nie mogła oprzeć się pociągowi, co ją gwałtem wiódł do niebezpiecznego miejsca.

Długo była sama. Braciszek j^{ej} biegał po trawnikach; ona siadła na ławce zadumana. Wtém, o nieba! nieznanomy ukazał się, i powiedział j^{ej}, że tylko nadzieja, iż ją dziś tu spotka, zatrzymała go w zamierzonej podróży. Powiedział j^{ej}, — co młodzieniec ośmnastoletni, czystego i płomiennego serca, powiedzieć może pięknej i czulej dziewczynie.

Chwile upływały. — Pawełek dawno już do domu pobiegł; ona ciągle jeszcze siedziała z nieznanym. Lecz kiedy zegar zamkowy powolnym uderzeniem wybił dziewiątą, i obudził ją z czarownego odmętu myśli, uczuć, w którym pogrążona, zapomniała była o świecie, wtenczas, z drżącym pośpiechem uciekła i skryła się w swojej izdebce. Co j^{ej} mówił, tego niepamiętała; lecz znaczenie jego słów głęboko utkwilo w j^{ej} sercu. Tyle tylko wiedziała, że przysiągł, iż ją kocha i nigdy kochać nie przestanie, że odjeżdża do wód, za granicę, ale wróci znowu; że mu Karol na imię. Wtém wśród mroku wieczornego błysnął kosztowny pierścień, który j^{ej} dał na zakład wierności, i teraz dopiero postrzegła, że niema we włosach róży, którą w zamian od niej dostał. Łza spadła na dyament.

Podniosła go ku niebu, ponawiając dane przyrzeczenie, a potem schowała go starannie, aż do chwili kiedy się spełnią nadzieje, — może tylko marzenia — przyszłego szczęścia.

Dni następne zeszły na przygotowaniach do podróży, i kiedy nareście już się pożegnano, kiedy Teodora już siadła z ojcem do bryczki, kiedy już przejechali wioskę, wtenczas zdało się jej, że opuszcza wszystko, co ma drogiego na świecie, że otwiera się przed nią przyszłość ponura i groźna. — Czy wróci Karol? — a gdy wróci, i ciebie nieznajdzie, czy się wszystko nie skończy? — tak mówiła smutna, sama do siebie, i boleść swą, tęsknotę, i obawę głęboko ukrywała w sercu, przy którym spoczywał pierścień: drogi zakład jego miłości. Komu by też mogła wyjawić swe uczucie? Czyż chwilowe z nieznajomym spotkanie, nie było rzeczą codzienną, pospolitą? Czy chorego ojca, jadącego dla odzyskania zdrowia, mogła niepokoić, czyniąc go powiernikiem swoich udręczeń? Nie miejcie więc za złe miłej dziewczycy, że tajemnicę swą niewyjawioną przywiozła do Karlsbadu.

Piękny był wieczór, gdy wjechali do tego miasta. Wesole domki ciągnęły się daleko wśród kwiecistych ogrodów, zbliska i zdala uśmiechały się uma jone góry, pagórki, świetne snuły się pojazdy; muzyka brzmiała, ochoce tłumy napelniały błyszczące salony, słowem, podróżni nasi znaleźli się w świecie

zupełnie nowym, o którym jeszcze nie mieli wyobrażenia.

Wkrótce obrali sobie przyzwoite, skromne mieszkanie, i już nazajutrz rano, ojciec poszedł doświadczać skutku wód, gdy tymczasem Teodora, pilnie szyła w ogródku, będącym pod domem. Dużo osób przechodziło tą stroną; drogie stroje, kosztowne szale, pyszne pojazdy, ukazywały się jak na popis; eleganci i stare fircyki lornetowali do ogródka. Teodora, ledwie raczyła spojrzeć niekiedy na te gwiazdy modnego świata; szyła pilnie; a gdy ojciec wracał, przyjmowała go z uściskiem serdecznym, zastawiając mu przepisaną potrawę którą sama ugotowała. Rzadko towarzyszyła ojcu na przechadzce, zawsze unikała zgromadzeń licznych, i tak im schodził jeden dzień, jak drugi.

Lecz gdy raz siedziała samotnie w ogródku, ktoś pędzi na pysznym, spienionym rumaku? —któż to jest? Karol!

Teodora przelęknięta, upuściła robotę; ale, więcej jeszcze zdziwiony młodzieniec, osadził konia na miejscu, zaczepił cugle o sztachety i wpadł do ogrodu z radośnym wykrzyknieniem; Teodoro! moja Teodoro! tyżeś tu?

Teodora ochłonawszy nieco z pomieszania, ledwo mogła wyjąkać zapytanie: zkądby tu przybył? — Właśnie te wody, — odpowiedział, — były celem podróży nieszczęśliwego ojca mojego.

— Więc jeden i ten sam powód tutaj nas sprowadza. Ojciec pana, chory?

— Omilczmy o tém, westchnął Karol; godzien jestem politowania. Lecz mam nadzieję w Bogu, że tu koniec méj niedoli, ponieważ ciebie znalazłem; ciebie, co urzeczywistniłaś wszystkie marzenia mego serca. Może mię nazwiesz próżnym; ale czuję, że i ja pani nie jestem obojętny o tém mię przekonało pierwsze twe spojrzenie, owe dwa szczęśliwe wieczory w zamkowym ogrodzie, i ta błoga chwila. Ja panią znam, — i pani mnie poznasz, i nie znajdziesz niegodnym swéj miłości; a wtenczas, rozstrzygnięcie naszego losu złoży w ręce twego ojca, wtenczas, i mój ojciec... Ach czemuż dziś nie mogę cię przed nim stawić, czemu nie mogę mu powiedzieć: patrz ojcze! oto, całe szczęście twego jedy-naka! — dotąd bowiem cięży jeszcze nademną ręka przeciwnego losu.

Tajemnicze słowa kochanka, budziły w Teodorze smutek i przerażenie. Codziennie odtąd Karol przychodził. Póki był przy niej, oświadczenia miłości koily jej troski, tłumily obawę; lecz gdy się oddalił, smutek brał górę, i lzy gorzkie świadczyły o jej cierpieniu.

Ojciec tego nie widział; cały uszczęśliwiony skutkami wód, od których w ciągu dwóch tygodni cudownej już doświadczył pomocy. Nowe życie i nowa radość wstąpiły w staruszka, i właśnie wtym dniu

kiedy Teodora już postanowiła, zwierzyć mu się we wszystkiem, wracając od źródła w tym dniu weselszy, niż zazwyczaj, przywitał ją z rozczuleniem, przycisnął do piersi, i rzekł: dziecko moje! Bóg pobłogosławił naszej podróży; patrz tylko jak władam ręką, jak gdybym nigdy nie był chory; jeszcze tydzień, a będę z wami pisał na wyścigi. Po niejakiem wszakże namyśleniu, mówił dalej: ale co też tu jest biednych, córko moja! jak wiele i rozlicznęj nędzy! wierz mi, niejeden spotyka mię cierpiący, wzywający ratunku, któremu pomódz nie można; niejednego też widzę nieszczęśliwego, tającego swe boleści. O gdybym był bogaty, ileżbym tu lez osuszył. Jednemu nadewszystko chciałbym pomódz—jednemu, Teodoro! Ciche, wstydlive cierpienie dręczącego ubóstwa, patrzy mu z wychudłej twarzy i zapadłych oczu. Widuję go codziem, jak, w płowym starym surducie, obojętny, śród radośnego tłumu, wlecze krok słaby. Nikogo nie prosi o wsparcie, ale też mu nikt nie daje, i tak, bez posilku, bez przyjaciela, szuka najsamotniejszych miejsc, i stroni w cienie okolicznych gajów. Ach, gdybym był bogaty! musiałbyś mi rozweselić się, ty biedaku, i wyzdrowieć, jeżeli choroba cię dręczy. Wszakże Bóg ulitował się nademną, czemuż miałbyś i ty równie doświadczyć łaski? — bo ty, ty właściwie jesteś najnieszczęśliwszym ze wszystkich, których tu widzę.

Tak mówił poczciwy starzec, lecz w zapale swoim nie postrzegł, że na Teodorze słowa jego bardzo

małe zrobiły wrażenie, bo ich z widocznym słuchała roztargnieniem.

Nie na słowach tylko poprzestać zamierzał Dukwicki, lecz i czynem umyślił je potwierdzić.

Ledwie nazajutrz odszedł od źródła, aliści z podwójną skwapliwością pośpieszył do ogrodu publicznego. Znamca kwiatów i namiętny ich miłośnik, widział przed sobą rozkwitłe najpiękniejsze skarby Flory. Przypatrując się temu wszystkiemu, pobożny entuzyasta, zdéjmując czapkę, zawołał z wniesionem ku niebu okiem: — Wielkie są dzieła twe, o Panie! a kto je rozważa, najczystszej używa rozkoszy. — Wreście, nasycony długim oglądaniem tych cudów natury, wrócił do wielkiej alei, gdy wtém, ujrzał przed sobą owego biédaka w płowym surducie, który jak zawsze, szedł z wlepionem w ziemię okiem, z założonemi na plecach rękami. Idąc z tyłu za starcem, wzruszony widokiem nędzy, niewiedząc prawie co czynił, sięgnął do kieszeni, niepostrzeżenie wsunął mu w ręce swą kieszę, i uradowany znikł między tłumem. Posilisz się, biédaku! będziesz miał kilka dni wesołych! może nawet wyzdrowiejesz! — zawołał w uniesieniu dobroczynnego serca.

Wkrótce jednak gorycz wmięszala się do słodczy tych uczuć. Poczciwy ex-mentor, na ołtarzu miłości bliźniego złożył dwadzieścia talarów, to jest, połowę całej gotowizny, jaką jeszcze posiadał; reszta ledwie wystarczała na powrót do domu.

— Teodoro! rzecze, wchodząc do mieszkania, — trze-

ba się pakować. Zrobiłem głupstwo, usłuchałem głosu serca, niezważając na głos rozumu. Dwadzieścia talarów, które miałem w woreczku, darowałem, i woreczek z niemi. Najwięcej jeszcze ze dwa dni zabawić tu możemy; chyba żebyśmy o żebraniu wrócić chcieli.

—Tak jest, ojcze! zawołała Teodora, rzucając mu się na szyję, gorzkimi łzami zalana, oddalmy się stąd choćby dziś jeszcze!

—Jakto, Teodoro! co ci jest, moje dziecię? zapytał starzec, przelękniony tym płaczem, tą burzliwą boleścią, której niewiedział powodu, i która go przerażała jak piorun uderzający z czystego nieba. Teodoro, czy jakie nieszczęście nas spotkało? — co ci jest? — co się zdarzyło?

Bolesne czekało go odkrycie. W owej chwili, kiedy on w ogrodzie publicznym dziwował się piękności kwiatów, własny jego kwiat, cudniejszy i droższy niż tamte wszystkie, najulubieńsza córka jego Teodora płynęła we łzach, bo zdrada przeszła jej serce.

I tego ranku, jak zawsze siedziała z robotą w małym ogródku gospodarza. Wy, co znacie tęsknotę miłości, nie trzeba wam mówić, jaki był powód jej zadumania i dlaczego krótkimi tylko słowy odpowiedziała właścicielce domu, stojącej przed nią i chwalać jej robotę. Właśnie o tej godzinie wczora ją odwiedził Karol. Czyliż dziś nie przyjdzie? Roztargniona, patrzyła na ulicę, czy go nie postrzeże wśród przechodzących, lecz daremnie. Udręczenie jej zwiększyło

się jeszcze, kiedy gospodyni, pozbawiając ją nawet pociechy smucenia się na osobności, przyzwała kilka przyjaciółek, by je z piękną cudzoziemką zaznajomić. Już się były powitały, już się na długą rozmowę zanosiło; gdy nadszedł kocz otwarty, z pięknym zaprzęgiem; z koźła powoził elegant w okularach; w pojeździe siedziały dwie damy wystrojone, a między niemi Karol.

Mijając ogród, kobiety i mężczyźni obejrzeni się na zebranych tam, i wrzaskliwy śmiech rozochoconych, brzmiał głośniej niż huk kół i tentent koni.

Teodora niemogła ukryć swojego pomieszania.

— Zdaje mi się, odezwała się gospodyni, że ten pan, siedzący w powozie, był dnia wczorajszego tutaj, w ogrodzie u pani; miałaby ją teraz niepoznać?

Teodora niewiedziała, co na to odpowiedzieć.

— Jakto, ten pan! rzekła z podziwieniem jedna z obecnych kobiet, — ach, to jest człowiek najrozwiąźlejszy z całej zebranej tu młodzieży; gra w karty całém jest jego zatrudnieniem, bo to gracz z profesyj.

Zaledwo już dosłyszała tych słów Teodora. Śmiertelna bladość pokryła jej lica; zebrawszy siły powstała i składając się nagłym bolem głowy, odeszła do swego pokoiku. Długo siedziała tam blada, nieporuszona, aż nakoniec wściekła burza, miotająca jej sercem, zwolniła nieco, i z czarnych obłoków smutku, spadł gorący deszcz łez gorzkich.

— Tak, tak! ruszajmy stąd, drogi ojczy! uciekajmy

z tej jaskini zgrozy! zawołała, — opowiedziawszy to wszystko jednemu swemu przyjacielowi. Wszakżeś już zdrow, Bogu dzięki!

—I twoje serce wyzdrowieje, pocieszał ją starzec. Zapomnij nędznika! Lepszej miłości jesteś godna. Ale czy cię pozór nie zwodzi? Czy istotnie Karola widziałaś w tym powozie?

Istotnie, mój ojciec! odpowiedziała Teodora, nie myślę się. A ten pierścień, — dał mi go w naszej wiosce, na zakład wiernej miłości; odbierz go odemnie, bo ten kamień duszę mi pali.

Ojciec zląkł się, widząc kosztowność tego klejnotu.

—Prawdę mówisz, córko! Taką rzecz może tylko darować człowiek, dla którego tysiące są niczem: gracz! Prawdę mówisz, powtarzam: bo tajemnicze jego wykręty, potępiają go zupełnie. Czemu ci nie powiedział otwarcie i uczciwie, jaki jego stan, jak się ma rzecz z jego ojcem, czemu się nie stawił przedemną? Wielki Boże! gracz! Teodoro, ty nie wiesz wcale, co-to jest gracz! Raz jeden tylko poszedłem do sali gdzie się ci rabusie zbierają. Na zielonym stole leżały kupy złota. Bankier, jak trup zimny, kładł karty na prawo i na lewo. Naprzeciw niego, zgarbiony jak obrzydła ropucha, siedział pomocnik, i śledezem okiem wodził po stawkach. Niezrozumiały szmer rzadko przerywał milczenie, panujące wśród liczego zgromadzenia. Ze wszech stron lało się złoto w przepaść banku, jak

w piekło. Tu, nierozważny młodzieniec, pięścią uderzał w czoło, przegrawszy grosz ostatni; tam, inny zgrzytał zębami, i rozpacz szkaradnie wykrzywiła mu rysy twarzy. Tuż przy nim stał wysoki, chudy mężczyzna, jak śmierć blady; prawą rękę trzymał w zanadrzu, lewą spokojnie sunął do banku przegrane pieniądze, i mimo ogromnych strat, ani jeden muskuł jego lica nie drgnął. Lecz gdy nie mogłem już wytrzymać dłużej, gdym go uprzejmie zapytał: dla Boga! panie, jak możesz być tak spokojnym? Wówczas bolesny uśmiech zaigrał mu na ustach; dobył rękę z zanadrza, i pokazując mi ją, rzekł: spokojność tutaj, rzecz najważniejsza. Poszarpał sobie piersi i ręka była krwi pełna. Przerażony, uciekłem z tej jaskini. O Teodoro! błogosław razem ze mną Opatrzność, co cię ze szponów gracza wybawiła. Gracz nie zna miłości, brzydzi się swoim domem, i tylko w zamkniętej atmosferze sali, gdzie zielony stolik się znajduje, tylko wśród dymu cygarów i blasku świec, tylko wśród najwyższego wytężenia duszy i namiętności, tylko tam mu dobrze. Pieszczotami przyjmują go dziatki; żona wyciąga ku niemu ręce... nadaremnie! w jego sercu żyje tylko dama czerwieni lub dzwonkowa. Rodzina czeka go z wieczera; ojciec nieprzychodzi. Świece dopalają się; po kątach siedzą: tu, zapłakana matka, tam, dzieci senne i głodne; ojciec nie przychodzi. Dopiero z jutrenką wraca, blady, znużony; wpada w sen letargiczny; tarza się dręczony cierpieniem duszy, i

marzy, póki znowu piekło mu się nie otworzy. Czy śnieg grudniowy ziemię okrywa, czy ciepło czerwcowe ją ubrało w zieloność i kwiaty, cóż mu z tego? Obojętnym jest na rozpacz niedoświadczonego młodzika, którego pozbawił wszelkiego sposobu do życia; obojętny na cnotę, na ludzkość, na przyszłość. O Teodorze! dziękuj Bogu, że cię wybawił ze szponów grabczy. Upakuj rzeczy. Dziś jeszcze i jutro urządzim wszystko, i wrócimy do cichego naszego zakątka, gdzie ci niebo da odzyskać pokój i wesołość, tak jak mnie pozwoliło odzyskać zdrowie.

Długo jeszcze i serdecznie ojciec mówił do Teodory, i pocieszającymi słowy stłumił przynajmniej boleść córki, która też chętnie, gdy chłód wieczorny nastał, towarzyszyła ojcu do jego świątyni, do ogrodu publicznego.

Uderzył ją widok cudowny tysiąca prześlicznych kwiatów, unosiła się nad niemi, bo umiała czuć całą piękność natury; bo nadto, chciała jeszcze zagładzić w sercu ojca, choć na chwilę, przykre wspomnienie wyznania, które mu dziś uczyniła. Obejrzawszy i inne ozdoby ogrodu, przeszła z ojcem do cienistej alei.

Nie jeden zatrzymał się, widząc po raz pierwszy nadobną dziewicę, która w skromnej sukience, z różą w ciemnych włosach, gasiła wszystkie ubrane tam kobiety. Lecz ona nie zważała na to wcale. On tu nie był, i nigdy go już obaczyć nie miała.

—To ten, ten sam, szepnął ojciec Teodorze, i

usiłował skryć się z córką w gęstym tłumie przed obdarzonym. Lecz człowiek w płowym surducie, dawno go już postrzegł, i przystępując bliżej, rzekł: — proszę o słów kilka na osobności.

— Zaczekaj na mnie na tej ławce, Teodoro, rzekł ojciec, i odszedł na bok z nieznanym.

— To córka wasza! powiedział starzec, którego po mowie natychmiast poznał za Anglika. Nie wiele może warta, ale ładna, niech mię Bóg skarże! Co się was samych tycze, byłoby niegrzecznie, gdybym was poprostu zapytał: Braciszku! czy jesteś głupiec, czy filut? Uśmierzę więc swą ciekawość i tylko wiedzieć pragnę, skąd mnie znacie?

— Ja pana nie znam wcale.

— Nie wypierajcie się, proszę, mówił dalej Anglik. Czyż to nie wy wetknęliście mi wczora kieskę w rękę?

— Muszę wyznać, rzekł Dukwicki, że ja to byłem. Lecz czyliż mi potrzeba znać stan i imię człowieka, aby względem niego wypełnić mą powinność?

— Powinność zaś? spytał Anglik z szyderskim śmiechem. Może chcesz mówić o powinności względem siebie samego, bo to was zapewne powodowało, aby ziarno swęj jałmużny rzucić na plenną niwę? Bywają na świecie dziwaki, co jak ja chodzą obszarpani, a pod tą powierzchowną nędzą ukrywa się bogactwo, i nie zła to czasem grzanka, udając poczciwego głupca, łowić takie ryby na wędkę.

— Za pozwoleniem, przerwał Dukwicki spokojnie i z godnością, — w jakimżeto świetle pan uważasz ludzi?

— W najgorszem! odpowiedział anglik; wszyscy nic nie warci, a jam nielepszy od reszty. Lecz jeśli nie taki był wasz zamiar, jeśli istotnie wzięliście mnie za charłaka, jakim jestem wrzeczy samej, tedy bezpotrzebnie wyrzuciliście te pieniądze, które podobno wam samym dosyć są potrzebne.

— Nie wyrzuciłem ich, rzecze Dukwicki, nie, bynajmniej. Jesteś chory, przyjacielu!...

— Nie jestem waszym przyjacielem, przerwał mu anglik surowo. Nie jestem niczym przyjacielem i nie mam przyjaciela.

— Biedny, biedny człowieku, zawołał Dukwicki, co, sam nie czujesz przyjaźni i jej u drugich nie znajdujesz! Cóż masz na świecie? Wybacz mi, panie; jesteś istotnie bardzo chory; ciebie gnębią cierpienia ciała i duszy. Co mogłem uczynić, aby pierwszym ulżyć to uczyniłem, wierz mi, z czystych powodów ludzkości, i o tém mówić nie warto. Co się tycze cierpienia duszy, jakiegokolwiek one są, wylej je przed tkliwem sercem brata. Jestem wprawdzie ubogi lecz mogę ci nieść pociechę współczucia, pociechę religii. Jestem *ex-mentor* Dukwicki z Cichaczewa.

— Co, wy jesteście Dukwicki, krzyknął anglik, — a ta śliczna dziewczyna, to wasza córka?

— Tak jest! odpowiedział Dukwicki. Pan nas znać nie możesz; ale daj się nam poznać, abym ci

mógł usłużyć radą i uczynkiem. To mówiąc, zaprowadził starca ku ławce z darniny, usiadł z nim, mówił długo, wylewał przed nim uczucia duszy przepełnionej wdzięcznością dla Stwórcy, za doznaną ulgę po długoletniej chorobie, a serdeczne słowa jego, zrobiły nakoniec wrażenie na nieszczęśliwym Angliku.

—Przysięgam, zawołał, — ze wszystkich ludzi, ty jesteś najznośniejszy i dziesięć razy lepszy odemnie. Czy podobna, abym jeszcze znalazł przyjaciela?

—Nietylko podobna, ale pewna, — odpowiedział Dukwicki. Ja będę twoim przyjacielem.

—Lecz ja nic nie mam, rzekł znowu anglik, — jestem ubogi, niech mię Bóg skarże! straciłem majątek, doznałem w kraju rodzinnym podstępny, i to mię pozbawiło nawet rozumu; niczem nie mogę ci nagrodzić; nie, nie mogę ci dać w zamian za twą dobroć, tylko moją nędzę. A jednak pomimo to wszystko, chcesz być moim przyjacielem?

—Pomimo wszystko, — powtórzył uroczyście Dukwicki, i uscisnął zwiędłą rękę starca. Przybądź do mnie, do Cichaczewa! I jam ubogi, ale będziem pielegnować twe ciało i duszę. Moja Teodorka umie się obchodzić z chorymi.

—O, zawołajcie ją, prosił anglik, — i dziewczica zbliżyła się skromnie.

Wyjaśniało się ponure lice starego biedaka, im dłużej mówił z ojcem i córką. Nagle jednak prze-

rwał rozmowę, i pożegnał ich, obiecując, że jutro na tém samém miejscu ich spotka.

Ojciec i córka, dziwnie wzruszeni, do domu wrócili; myśleli tylko, mówili tylko o biednym dziwaku. Kto i czém on był, to dla nich zostało tajemnicą: lecz szczególne jego zdania, surowe i nienawistne ku całemu rodzajowi ludzkiemu, tkliwe w nich obudziły spólczenie dla jego cierpien; a przytém niezwykłość całego zdarzenia, nowość znajomości, zatarły wspomnienie o Karolu, w ojcu całkiem, w córce, choć na krótką chwilę. Dzień następny zeszedł na przygotowaniach do podróży.

— Odesłaliśmy go z niczém, powiedziała gospodyni, gdy Teodora o jedenastej wróciła z ojcem; i wczoraj dwa razy już tu był, bardzo zmieszany; ale dobrze mu tak.

— Kto taki? zapytał Dukwicki.

— Któż inny, jeżeli nie ów gracz, odpowiedziała gospodyni, — a Teodora, drżąca skryła się w najciemniejszy kąt pokoju.

— Teraz mu natychmiast oddamy pierścień, odezwał się ojciec, po chwili namysłu; spytał gospodynię o nazwisko gracza, i pierścień opieczętowany oddał jej, z następującym listem, prosząc aby jedno i drugie bez zwłoki odesłała, gdzie należy.

List był treści takiej :

Mój Panie!

«Spełniając życzenie córki mojej Teodory, z którym się zupełnie i wola moja zgadza, zwracam «panu pierścień, który dla nas żadnego nie może «mieć nadal użytku, ani znaczenia: gdyż żadne od- «tąd stosunki między nim a domem moim miejsca «mieć nie mogą.»

Ostatniego wieczora, ojciec z córką raz jeszcze na pożegnanie wyszli do ogrodu, spodziewając się, że tam starca znajdą. Lecz, napróżno! nie ujrzeli go nigdzie. Nikt go nie znał, i gospodyni nieumiała im nic o nim powiedzieć. Z całego serca żałował pocziwy Dukwicki, że go już więcej nie miał oglądać.

Gdy następnego ranku, skromna bryczka znowu przed dom zajechała; gdy ojciec z córką wśród rzeźwiącego chłodu wyjeżdżali, ojciec zdjął axamitną czapkę, i żegnając nią tę piękną okolicę, zawołał:— Bądź mi zdrowe, miłe miasteczko; żegnam cię, dobroczynny zdroju! A Teodora, kryjąc chustką łzy płynące strumieniem, szepnęła: Żegnam was miłości, szczęście całego życia! żegnam was na zawsze!

Wtém ktoś krzyknął za bryczką: — Stój! na miłość Boską, stój!

— Co-to jest? zawołali, przestraszeni razem, ojciec i córka.

— Karol! wyjąkała Teodora.

— Gracz! zawołał ojciec. Zatnij konie, Jakubie! ruszaj! ruszaj!

Lekka bryczka poleciała jak strzała, a w oddaleniu zniknął głos wołającego za podróżnymi. Lecz gdy zbliżając się do kresu miasta, ostatecznie mijali domy, — o nieba! wszakże-to pędzi naprzeciw nich ów pojazd świetny — przyczyna łez Teodory; na koźle siedzi elegant, woźnica, w okularach, a w pojeździe pośrodku, między dwiema wystrojonemi damami, — Karol!

Jak błyskawica rozprasza pomrokę nocną, tak promień prawdy przeszył duszę Teodory.

— Ach, Karolu! zawołała, jesteś niewinny! Wyjaśniło się okropne złudzenie. Ten, co pieszo za bryczką upędzał się, póki mu sił stało, nie mógł być tym samym, który teraz, z przeciwnej strony, spotykał ich w pojeździe, wracając zapewne z zabawy, na której całą noc strawił. Podobieństwo było mamiące, bo zdołało omamić oko kochanki; lecz złudzenie też było dowiedzionem.

— O! ja biedna!.... Karolu! jęknęła nieszczęśliwa dziewczica. Ach, mój pierścionek!

— Wpadł w szpony szatana, przerwał ojciec; wpadł, jak w otchłań morską, z kąd go nikt nie wydobędzie. Lecz.... niech się dzieje wola Boska! Uspokój się, moje dziecię! Kto wie, na co się i to jeszcze przyda. Niezbadane są koleje Opatrzności, ale nakoniec prowadzą ku lepszemu.

— Nakoniec? tak jest! nakoniec! powtórzyła Teo-

dora. Kiedy lampa się dopala, raz jeszcze błyska żywszém światłem, a potém gaśnie. Takie to jest *nakoniec*. Wszystko teraz straciłam, nawet ostatnią pociechę w nieszczęściu, bom ja sama wszystkiemu winna.

Przed trzema tygodniami, gdy jechali do wód, jakież wesołe serca unosiła ta bryczka; jakież smutne teraz! Lecz szóstego dnia drogi, gdy znowu usłyszeli mowę rodzinną, gdy ujrzeli ładne chłopki w stroju krajowym, wtenczas ojcemu i córce mocniej biło serce od radości i tęsknoty, i nie myśleli o niczém, tylko o rokoszy złączenia się znowu ze swymi.

Już mijali lasek który im dotąd zakrywał wioskę; już byli we wsi, i niecierpliwość ich wzrastała. Lecz gdy powóz mijał kościół, wdzięczny za doznaną Najwyższego łaskę, Dukwicki zdjął czapkę, złożył pobożnie ręce, i modlił się. I woźnica także zdjął czapkę i jechał stępo. Gdy już złożono Panu Niebios dziękczynną ofiarę, gdy na zakręcie drogi ukazał się biały domek, osadzony drzewami, gdy dzieci w ogrodzie, spostrzegłszy bryczkę, zakrzyczyły radośnie: Tata jedzie! — gdy matka i dzieci wybiegły z domu, i jęły się pomagać podróżnym wysiąść z bryczki, jakież-to łyzy wesela płynęły ze wszystkich oczu! w jakich-to uściskaniach wyjawiała się miłość tej skromnej i cnotliwej rodziny!

Lecz i ten dzień zeszedł, i drugi; spadł chłód

wieczorny, a w cienistych alejach zamkowego ogrodu, Teodora chodziła, gromadząc w sercu tęskne wspomnienia: wprawdzie już teraz nie ciążyła jej tajemnica, ojciec i matka wiedzieli o wszystkim; pocieszającymi słowy koili jej cierpienie, jednakże, to nie zmniejszało jej smutku po straconych nadziejach, pierwszej i najtkliwszej miłości. Co wieczór siadywała na owej ławce, pogrążona w bolesnej i rokosznej pamięci chwil spędzonych z Karolem, w tym ogrodzie i u wód Karlsbadzkich, chwil drogich, niepowrotnych.

Już szósty dzień miał się ku schyłkowi, gdy z poczty przyniesiono list pod adresem Teodory. Śmiertelna bladeść powlekła jej lice, zaledwie zdołała podać ojcu to pismo. Dukwicki nasamprzód spojrział na podpis, i rzekł: — To od Karola. Przebiegłszy okiem kilka pierwszych wierszy, zaczął w głos czytać:

Pani!

«Zalem przepelnione, zbolale serce moje, potrzebuje ulgi! zdaje się, że ją znajdzie poniekąd, gdy choć na piśmie wytłumaczy swoich udręczeń powody. Największego zbrodniarza nie karzą, póki mu dowiedzionem nie będzie jego przestępstwo, a pani potępiłaś mię nie wysłuchawszy, nie dawszy czasu do wytłómaczenia się, oddaliłaś mię z przed oczu swoich. Każdy cios łatwiej się znosi, kiedyśmy doń przygotowani: lecz ten co we mnie ugo-

dził, był tak nagły, tak niespodziany, tak niezasłużony, że w pierwszej chwili, możeby rozpacz była znalazła sposób położenia końca moim strapieniom, gdyby nie trafunek rozwiązał tę okropną dla mnie zagadkę.

Opiszę go pani!

Nazajutrz po twoim odjeździe z Karlsbadu, znękanym tym wszystkiem co mię spotkało, chodziłem po ogrodzie publicznym, kiedy w jednej z alei, widzę stojącego mężczyznę, o którego rażącym podobieństwie do mnie, słyszałem mówiących. Inie twe pani, wymówione, przez niego i głośny śmiech jego towarzyszy, obily się o uszy moje. Zbliżam się do owego grona; w tym blask pierścienia uderza me oczy. Tak, nie mylę się, poznaję pierścień, zakład wiecznej miłości mojej i najczystszych uczuć, dany tobie, pani! na rękę człowieka potępionego od społeczności, człowieka, którym ludzkość się brzydzi. Postanowiłem natychmiast odkryć, jakim sposobem go dostał, i zarazem wyjaśnić tajemnicę, będącą powodem moich męczarni. Nie tracę czasu; śledzę odchodzącego, i w kilka chwil gdy wrócił do domu, wchodzę za nim

Zmieszany, zapytał mię: czemu winien przypisać te miłe odwiedziny.

—Potrzebie, odpowiedziałem zimno, dowiedzenia się: skąd paś masz ten pierścień, który nosisz na palcu.

—*En verité*, zawołał z uśmiechem; to przedzi-

wnie! Lecz teraz nie jestem w humorze żartowania, lub znoszenia żartów. Czego pan chcesz odemnie?

—Odebrać pierścień, rzekłem, i dowiedzieć się jakim sposobem go dostałeś.

Szyderski uśmiech był całą jego odpowiedzią.

Nietracąc mego tonu, mówiłem dalej ze spokojnością: pierścień ten zapewne przez jakiś obłąd wpadł w jego ręce; a że był moją własnością, śmiało się więc dopominam o niego. Otóż tedy: pierścień i wyzwanie, albo pistolety! wybieraj, natychmiast!

Nie dał sobie drugi raz tego powtórzyć; znikł mu ów uśmiech szyderski, i drżąc, zdjawszy pierścień z palca, podał mi go wraz z listem od ojca pani!

Tu się wyświeciła cała tajemnica; o Teodoro! usprawiedliwiło cię serce moje. Uszczęśliwiony pobiegłem do ojca mego. Już mi nie było tajemnym, i tylko boleść, jaką to złudzenie musiało napełnić serce twoje, dręczyło mi duszę. Nie pani, nie jestem niegodny ciebie! powiedz wszystko co wiesz ojcu twojemu; niechaj i on mnie kocha. Chętniebym dziś do niego napisał — lecz mi nie wolno. Niewolno ci? zapytasz. Ciągle więc jeszcze tajemnice? — Tak jest! — jeszcze mi jej niepozwolono wyjawić; ciąży mi ona, lecz nie robi już tyle nieszczęśliwym co dawniej. O gdybym ci mógł wszystko opisać, gdybym mógł wszystko powiedzieć, któżby był szczęśliwszy nademnie! lecz jeszcze chwila nie nadeszła i sama milczenie moje

pochwalisz. Wierz mojej miłości stałej, jak ja twojej wierzę.”

O szlachetny człowieku! zawołała Teodora z iskrzącym wśród łez spojrzeniem, i rumieniąc się, przenikniona miłością i weselem. Ojciec zaś, milczący i zamysłony, złożył list i oddał go córce.

— Jakto? zapytała z żywością uszczęśliwiona, i ty drogi ojczye na to nic nie mówisz?

— Cóż mam mówić? odpowiedział Dukwicki. Szlachetnie postąpił, a że ciebie kocha, i temu nie przeczę; lecz z resztą cóż wiem o nim więcej? I czyliż obowiązek nie każe mi powtarzać ci bezustannie: Córko! miej się na baczności! Czas tylko i rozsądna ostrożność, zdołają nas zapewnić o jego charakterze.

Teodora odtąd nowym odetchnęła życiem. List, jak skarb najdroższy, ciągle nosiła przy sercu, i wkrótce umiała go na pamięć. Tło wszystkich jej nadziei, wszystkich marzeń przyszłości, było jedno tylko: powrót rychły kochanka i wieczne z nim złączenie.

Tak mijały tygodnie. Już nadchodziła jesień, już płowiały drzewa, już z pól sprzątnięto; w tym znowu nadszedł list, ale pod adresem Dukwickiego.

— Od mojego kochanego kolegi uniwersyteckiego, doktora, któregośmy spotkali w Karlsbadzie! rzekł ojciec, — i wyszedł do swojego pokoju. Tam przeczytał co następuje:

Zacny przyjacielu!

«Dawnobym już powinien był do ciebie napisać; lecz ani chwili nie miałem czasu. Wiesz dobrze, iż jakkolwiek szczęśliwy byłem w Karlsbadzie, widząc cię stary družbo, raz jeszcze w życiu, nie mogłem się jednak tobą dość nacieszyć. Byłeś świadkiem natłoku chorych. Każdy spodziewa się cudów po wodach, a gdy los dał mi assygnacją na tę nadzieję, toć trzeba korzystać z tego. Lecz teraz, kiedy pora minęła i moi chorzy rozpierzchli się na wszystkie strony świata, nieomieszkuje pisania do ciebie długo i szeroco. Dziwnych się rzeczy dowiesz, stary mój przyjacielu! Zapal więc sobie dobrze fajkę, aby ci od wielkiego zadziwienia nie zgasała.

Ze twoje zdrowie odtąd więcej szwankować nie będzie — jestem najpewniejszy. Któżby też bardziej godnym był szczęścia tego nad ciebie, zbawco życia arcy szlachetnego męża; sprawco szczęśliwej przyszłości dwóch przynajmniej osób! Dwadzieścia talarów które starcowi tajemnie wsunąłeś wrękę, te przyniosły hojną lichwę, i te właśnie są powodem że cię tym długim listem nawiedzam; wprawdzie zabroniono mi wszystko ci wyjawić: lecz ty, czyliż nie jesteś bliższym serca mego, niż on? czyliż to komu szkodzić może, iż ten list sam jeden przeczytasz, i nikomukolwiek bynajmniej o treści jego domyślić się nie dozwolisz? Przyrzeknij mi to na naszą przyjaźń, a potem czytaj co następuje:

Na początku lata, kiedy już chorzy u wód zbierać się zaczęli, młody, śliczny mężczyzna, zastąpił mi drogę na ulicy, prosząc o posłuchanie, gdyż, jak mówił, już cztery razy był u mnie w domu i nie zastał. Łatwo temu uwierzyłem. Niemając czasu do stracenia, nagliłem go, aby mi krótko opowiedział o co rzecz idzie; i dowiedziałem się, że dręczony splinem nieuleczonym ojciec jego, bogaty bankier Londyński, który od kilku miesięcy błąka się po Europie, umyślił nakoniec doświadczyć skutku wód mineralnych; że mnie więc błaga, abym ojcu nie odmawiał mej pomocy i natychmiast chciał go odwiedzić. Niespokojnością młodzieńca i usilnemi prozbami jego skłoniony, natychmiast za nim poszedłem. Po drodze zapewniał mię o dozgonnej wdzięczności i hojnej zapłacie za moje trudy, lecz błagał razem, abym szlachetnemu jego ojcu nie miał za złe, jeśli mię niedobrze przyjmie, i to położył na karb choroby, nie zaś poczytał za rozmyślane uchybienie. Musiałem się wdrapać na trzecie piętro; taki wstęp do kuracyi niewielkie kazał mi mieć wyobrażenie o brzęczących skutkach kuracyi. Wszedłem do małego, ubogiego pokoiku; tam zastałem znajomego ci dobrze starca, w płowym surducie, który w głębokim zamyśleniu pogrążony, mając oczy w ziemię wlepione, najmniejszej na mnie nie zwrócił uwagi. U drzwi, na skórzanej poduszce, leżał jakiś człowiek, w ubiorze majtka, i przeżuwał tytuń. Okropną miał twarz, czarną, zarosłą, włosy pokrętne jak u murzyna, wargi sze-

rokie i nabrzmiałe. Ten także nie raczył na mnie spojrzeć i leniwo przewalał się na swojej poduszce.

— Zółwiu! zawołał starzec.

— Słucham, panie! odpowiedział leżący na poduszce.

— Cóż tu czuć apteką, mówił dalej starzec; doktor przyszedł, dawaj baczność na kieszenie.

Zdziwiony i prawie osłupiały, patrzyłem na mego przewodnika, lecz ten zbliżając się do starca, uprzejmie i ulegle tłumaczyć mu zaczął, że dałem się uprosić nieść mu pomoc w jego chorobie.

— To bardzo pięknie z waszej strony, panie doktorze, rzekł starzec, i bardzo nawet szlachetnie, bo jestem ubogi i zapłacić ci niemogę.

Młodzieniec z uśmiechem potrząsając głową, dał mi znak, abym temu nie wierzył.

— Przynęm jeszcze, mówił dalej starzec, próżno nabawiasz się kłopotu, bo mnie niema co leczyć. Jeżeli zaś istotnie myślisz żeś chory, to mylisz się niezmiernie. Jestem zdrowszy od ciebie, brak mi tylko.... Paddy! czego mi brak?

Postać u drzwi odpowiedziała z zimną krwią i donośnym głosem: — Rozumu.

— Dobrze mówisz, mój chłopcze, mruknął starzec: rozumu. Brak rozumu jest prawdziwą cechą człowieka; wszystko inne, tylko udanie albo pozór. Wy zaś, doktorze, wy jesteście lekarzem urzędowym u wód mineralnych. Przedajecie wodę na wagę złota, i przysięgacie na zabój, że wasze źródło jest nieprze-

braną studnią zdrowia. Żółwiu! daj doktorowi kilka groszy, i wypraw go z Bogiem.

— Panie, odezwał się majtek, pozwól wziąć się za puls, choćby dla żartu.

— Czy tak myślisz, Paddy? zapytał starzec. Dobrze więc, doktorze! oto masz rękę. Co mówi natura? Zrobiłeś minę poważną i milczysz. Już to wasz zwyczaj taki. Teraz chciałbyś, żebym wierzył, że jutro już na tamten świat pójdę, ale mylisz się. Właśnie dla tego, że to życie ludzkie tak jest mizerne, właśnie dlatego chcę jeszcze popatrzeć na nie czas jakiś, i dłużej żyć będę, niż ty ze swoim rubinowym nosem, i niż tu ten mój syn, choć kwitnie jak róża. Wprawdzie, na jednem tylko miejscu można żyć, jak należy, gdyby takie życie było udziałem człowieka, to jest w Londynie; lecz i tutejsze powietrze dość mi się podoba; szkoda tylko, że tyle niegodziwców niem oddycha. Ale czy tu jestem, czy gdziekolwiek indziej, czyliż cokrok nie stąпам po grobach? Czyliż ta przepaść nie pochłonie mnie prędzej czy później, jak pochłoneła młodość moją, żonę i dzieci, i sześćdziesiąt długich lat życia? O, doktorze, widzę jak zniszczenie, ten wąż okropny, rozwiera na mnie paszczę i iskrzącem okiem mnie ściga. Wiję się i jęcze jak ptaszyna biedna, a jednak przewiduję chwilę, kiedy się w tę przepaść rzucę. Cóż ty temu poradzisz? Co tu woda twoja pomoże?

—Prawdę mówisz, panie, odpowiedziałem, że woda nie dla wszystkich i nie na wszystkie choroby

służy. Ale téż codziennie widuję i tego przykłady na wielu, że częścią trafne jéj zastosowanie do rodzaju choroby, albo umiejętne przez lekarza obudzenie w chorym przekonania, że mu użycie wody będzie pomocnym, tak cudowny wpływ na jego systemat nerwowy wywiéra, iż często przychodzi do zdrowia ten, o którego wyleczeniu zrazu sam lekarz zwątpił. A skoro pacjent wyzdrowieje, czyż nie wszystko jest jedno, kto go wyleczył, czy ja, czy on sam siebie? Starzec i sługa jego widząc, iż nie tak bardzo różniłem się od nich w zdaniu o skuteczności mojego rzemiosła, chętniejsze już dali mi ucho. Mówilem więc dalej:

— Lecz i dla tych, co w nie nie wierzą, wody mineralne stają się źródłem życia. Ten, siedział w domu od rana do późnej nocy, nad spleśniałemi księgami, albo ślęczył nieustannie nad plikami akt, albo męczył się w kantorze nad rachunkami: wyschła mu dusza od ciągłego natężenia myśli na jeden przedmiot, gdy wtém zajaśniał długo oczekiwany dzień wyjazdu do wód. Zrzuca z siebie jarzmo trudów, pracy, trosk, kłopotów, i jak motyl, co się wydobył z gąsienicy, leci napawać się rozkoszą świeżego powietrza, użyć widoku pięknych okolic, cieszyć się bezczynnością swoją. Pije zbawienne źródło, nurza się w orzeźwiającej kąpieli. Cóż dziwnego, że wraca do domu z nowém życiem, znową siłą do pracy? A czyliż, to jest jedynie skutkiem wody? zapytasz. Nie, zapewne. Lecz ja na-

wzajem spytam: czyliż się i wody do tego nie przyczyniły? Takich cudów i ty od nich doznasz. Słyszne twoje zdanie, że ludzie nie wiele są warci, i że gdzie się znajdują, tam i cierpienie mieszka. Lecz właśnie dla tego stroniąc od nich, uciekaj się na łono natury; pij czyste powietrze gór naszych, orzeźw oko widokiem zielonych łąk i gajów. Patrz! i ja, i wszyscy znikniemy z tej ziemi, jak zniknęli poprzednicy nasi; lecz jak przed tysiącem lat, tak i dziś, te góry stoją i jaśnieją w blasku słońca; te źródła szemrzą, a każda wracająca wiosna, ubiera gaj w świeżą zieloność, i kobierce jego krasi fijołkiem i różą. Dla tego, kochany panie, rzuć zadytmione mieszkania ludzi; ciesz się widokiem natury; ona jedna ma jakąś wartość na tej ziemi. Napawaj się nią, nasycaj, a rososz jakiej stąd doświadczysz, będzie balsamem, w którym znajdziesz odnowione życie, i zapomnienie dawnych cierpień!

Łza rozczulenia przyćmiła oko starca; wziął mnie za rękę, a zwracając się do sługi, zapytał niepewnym głosem: Czy może jeszcze na ziemi zakwitnąć dla mnie jaka przyjemność? Czy nie zapóźno teraz ocucić się, by wnet umrzeć?

A Paddy, spójrział na mnie i rzekł poważnie:

Ty widzisz cel — tyś mąż jest świadom drogi,

Co jedno serce z drugim sercem łączy.

Nie mieszkać więc, i swą prawicą dzielną,

Do portu steruj skolataną nawę.

Zdziwiłem się, przeraziłem się nawet, słysząc przytoczonego Szekspira z ust człowieka, ledwie do człowieka podobnego. Pragnąłem wyrwać się z tej duszliwej atmosfery; rad byłem, że mniej więcej dopiąłem zamiaru, skłonić chorego do używania ruchu na świeżem powietrzu; przyrzekłem byź na zajutrz i wyszedłem.

Paddy pośpieszył za mną, i zatrzymując mnie na ulicy, rzekł: Jesteś prawdziwym lekarzem, bo przez duszę działasz na ciało. Zlituj się nad moim panem! — To mówiąc, wścibił mi papier w rękę, i odbiegł. Spójrzałem, i ledwie wierzyłem oczom moim, widząc bilet bankowy na pięćdziesiąt funtów szterlingów. W tej chwili i młodzieniec wybiegł za mną. Radość najwyższa malowała się na jego twarzy. O Panie! zawołał; jesteś aniołem z nieba zesłanym! Mój ojciec powiedział, że jesteś poczciwy dziwak, a to już niezmiernie wiele. Ma zaufanie w tobie; odwiedź przeto nas co rychlej i jak możesz najczęściej: lecz przedewszystkiem nie mów o nas nikomu. Bo jeśli prócz ciebie ktokolwiek odwiedzi mego ojca, to nie go tu zatrzymać nie zdoła, i w godzinę później wyjedziemy. Do widzenia! muszę śpieszyć do ojca, bo żółw woła.

Mocno zajęło mnie to całe zdarzenie, a bilet bankowy przydawał mu niepospolitej wagi. Zamyślony jadłem wieczerzę w restauracyi, niezważając na otaczających mię gości. Dosyć późno dopiero łoskot odkorkowanych butelek szampana, zwrócił mą uwagę,

i postrzegłem, że sąsiadem moim przy stole, jest bogaty fabrykant z Saxonii. Zapytałem go najziejblej, niby chcąc zawiązać rozmowę: czy kiedy słyszał o jakim kupcu Londyńskim, zwanym C**.

— Kupiec C** z Londynu! powtórzył zdziwiony, i rękę którą niósł kielich do ust, znowu spuścił na stół;— pan chcesz mówić, bankier? Skąd wpadłeś na to pytanie? William C** jest bogacz milionowy; zna go świat cały!

Bardziej jeszcze zajęty tém odkryciem, ledwie mogłem doczekać się następnego ranku, by znowu mego pacyenta odwiedzić. Lecz w chwili gdy miałem wyjść, syn jego wszedł do mnie.

—Przepraszam, rzekł, iż tak rano się naprzykrzam. Ale bo jestem zmuszony dłużej nieco nadużyć pańskiej cierpliwości, i do tego najprzyjaźniejsza teraz pora, kiedy ojciec mój usypia i Paddy go pilnuje.

— Jakto? zawołałem; teraz, o dziesiątej, śpi?

— Tak jest, odpowiedział młodzieniec, i tą jedną tylko godziną rozporządzać mogę. Całe nocy ojciec mój przepędza dręcząc sam siebie rozmyślaniami, i dopiero przed rankiem, zmęczone ciało zmusza go do spoczynku.

— Musi się to zmienić, rzekłem. Jednakże przedewszystkiem, chciój mi odpowiedzieć na jedno pytanie, które nie z próżnej ciekawości pochodzi, lecz z widoków lekarskich: czy ojciec pana jest ów znajomy bankier C**, ów milionowy?

— Ojciec mój, odezwał się młodzieniec, ze smutnym uśmiechem, jest — istotnie owym bankierem, i majątek milionowy, którego posiadanie mu przypisują, jest także prawdą. Lecz, że go to nie uszczęśliwia, o tém się sam przekonałeś. Z czworga dzieci, ja jeden mu pozostałem. Matka moja umarła przed sześcią laty, i spólcześnie prawie ostatnia z sióstr moich, hrabina J. Ojciec, który wprzód jeszcze zapadał na zdrowiu, nie mógł wytrzymać tak srogich ciosów. Wyrzekł się wszelkich czynności, wnet obmierzło mu towarzystwo ludzi; nawet najprzywiązańszych unikał przyjaciół. Codzień czarniejsza ogarniała go melancholia; gdzie spojrzał, widział tylko zniszczenie, czyhające pod kwiatami, wszędzie upatrywał zepsucie, złość i zdradę. Dawniej przystępny, ludzki, miły w towarzystwie, szlachetny przyjaciel, dobroczyńca cierpiących, stał się nieużytym, skąpym. Lecz co mówię skąpym? Czyż godzi się tak nazwać to urojenie, według którego zdaje mu się, iż każda summa, wielka czy mała, obrócona na ulgę istot, któremi gardzi, jest marnie wyrzuconą? Od owój chwili, gdyby najmniejszą ofiarą mógł był komu życie ocalić, nie byłby jęj poświęcił, albowiem, mawiał: umrzeć musi, a czy prędzej, czy później, to różnicy nie stanowi; odstręczył od siebie przyjaciół i znajomych, nawet wierne sługi swoje poodpędział; prowadził życie żebraka; wszelkim blaskiem, samą nawet wygodą pomiatał. Zaniechał interesów; dzień i noc trawił na dumaniu; znieawidził nawet mnie, jedyne

syna, i dawno już skończyłby na samobójstwie, gdyby nad nim nie czuwał stróż wierny, Jack Paddy, którego zwykle Żółwiem zowie. Człowiek ten był przyjacielem jego młodości; razem z nim się kształcił, dlatego też jest pełen oświaty i gruntownych wiadomości. Mógłby był świetny los sobie zrobić, lecz w dorosłych latach, chęć zobaczenia świata, skłoniła go do obrania zawodu marynarza. Dwakroć odbył podróż naokoło ziemi; w rozlicznych znajdował się przypadkach, i dopiero przed ośmiu laty wrócił, zebrawszy dzieśnięć tysięcy funtów. Mimo to jednak, osiadł znowu przy nas, aby być sługą ojca mego jak dawniej. Ojciec chciał go odegnać, podobnie jak innych, lecz niemógł tego dokazać. Obchodził się z nim najgorzej; nic to nie pomogło. Nakoniec znudzony wytrwałością tej poezwiwej duszy, zezwolił na zatrzymanie go przy sobie. Jak oko własne, cnotliwy Paddy, strzeże nieszczęśliwego pana, któremu nikt ani radzić, ani powiedzieć nic nie śmie, tylko on. Jemu winienem, że dotąd nie jestem wydziedziczony, bo sto razy już ojciec był w chęci zapisania majątku na szpital waryatów, utrzymując, iż lepiej go użyć nie może. Lecz przysiągł mi, iż jeżeli kiedykolwiek bym się ożenił, szpital będzie niezawodnie jego dziedzicem. Bo swój byt i mój także, uważa za plagę, i drży na samą myśl, iż mógłbym stać się rodzicem istot równie nieszczęśliwych. O panie, nie wiesz jak mię to dręczy! Kocham, ubóstwiam, piękną szlachetną dziewicę, lecz samo napomknienie o tём,

już przywodzi ojca mego do największego gniewu. A jednak, czuję to, że żyć bez niej niemogę.

Uśmiechasz się doktorze, ale to prawda niezawodna. W Londynie, na wielkim świecie, wiele kwiatów wabiło mię chwilowo. Ale niedawno dopiero, w podróży, w małej wiosce Polskiej, znalazłem to, czegom szukał, więcej nawet niż kiedykolwiek marzyłem. Wymogłem na sobie dosyć odwagi, aby się ojcu zwierzyć z mych uczuć, lecz za całą odpowiedź ponowił groźbę zapisu majątku na dom waryatów. Czuję w sobie dosyć mocy, aby i bez ojcowskiego majątku, zapracować na uczciwe żony utrzymanie; ale czyż mogę ściągać na siebie przekleństwo ojcowskie? czy mogę opuścić ojca? Czy mogę kochance ofiarować przyszłość niepewną? A nadewszystko, doktorze, jedna myśl przywodzi mnie do rozpacz. Choroba ojca mego, czy nie jest organiczną, dziedziczną? O! wtenczas, na co mi się zdadzą wszystkie skarby? Musiałbym na wieki unikać kochanki, bo miłość moja byłaby zbrodnią; albowiem prędzej czy później, zrobiłbym ją nieszczęśliwą. O tém, wyroku twego czekam; powiedz, czy ojciec mój może bydź, czy będzie uzdrowiony? Jeśli nie masz nadziei, wyrzekę się miłości, i na wynagrodzenie złudzenia, którem serce kochanki zraniłem, uczynię ją dziedziczką mego majątku.

Młodzieniec wzruszony nie mógł więcej mówić, i łzawe oko spuścił na ziemię. Przypatrzyłem mu się bliżej. Cały skład ciała, zapowiadał zdrowie i

siłę; każdy rys twarzy, znamionował żywość, dowcip, rozsądek, dobroć. Ani śladu jakiego usposobienia do pomieszania lub melancholii. W ojcu znalazłem toż samo, i pewny byłem, że on, jak wielu innych, stał się tylko ofiarą ciężkiego londyńskiego powietrza.

— Nie trać nadziei, rzekłem; słabość ojca może być uleczoną, jeśli przepisy moje będą ściśle spełnione.

Wyłożyłem mu cały plan kuracyi, i razem z młodzieńcem udałem się do starca. Już mię przyjął lepiej niż poraz pierwszy; wymogłem na nim zachowanie stósownej dyety i przechadzkę wieczorem. Następnego dnia, już dłużej bawił w ogrodzie i weselszy wrócił, ale upornie odrzucał wszelkie towarzystwa, i Paddy, albo syn, zdala tylko chodzili w ślad za nim. Odednia do dnia szło coraz lepiej i nareście dał się namówić do picia wód. Nakoniec, stanowcze przełamanie choroby tyś sprawił. Twój postępek dobroczynny, bez względu na wdzięczność i nagrodę, twoje słowa serdeczne i pocieszające; twoje przyrzeczenie, iż chcesz być przyjacielem biedaka, chorego, ofiarowanie mu przytułku w swoim domu, mimo własnego ubóstwa—imię twoje nakoniec, które znał, gdyż mu Karol powiedział, czyją córkę kocha,—to wszystko wzruszyło go niewypowiedzianie, a wdzięk twojej córki, oczarował go zupełnie. Tak gwałtowna zmiana uczuć, nie została bez wpływu na ciało. Zachorował ciężko. Lecz ta choroba nowym go zrobiła człowiekiem,

i gdy z niej wychodził, z każdą godziną umysł jego stawał się coraz więcej swobodny, spokojny i wesoły. Krótko mówiąc, po czterech tygodniach, pacjent mój wyzdrowiał na duszy i na ciele, a syn jego i sługa Paddy nie posiadali się z radości. Mogę ci powiedzieć w sekrecie, że wszyscy chcieli natychmiast do ciebie polecieć, ale temu ja przeszkodziłem. Aby być pewnym skutku kuracyi, kazałem im odbyć podróż po południowych Niemczech. Stary nieraz chciał do ciebie pisać, lecz nigdy nie znajdował słów, na oddanie swych uczuć. Napisz ty doktorze, mówił mi nieraz; napisz, bo ja nie mogę; ale nie wyjawiaj mu szczęśliwej zmiany co tu zaszła; powiedz, że biedny staruszek o żebranie dostanie się do jego domu, i spełnienia danego słowa żądać będzie. I Karol, ten szlachetny człowiek, którego z duszy kocham, chciałby był napisać, ale niemoże przenieść na sobie, aby co przed wami ukrywał, a ojca nie chce pozbawić przyjemności, jakiej ten sobie po ziszczeniu planu swojego obiecuje.

Owóż ja, mimo takiego zakazu, wypaplałem ci wszystko; lecz tajemnica ciążyła mi kamieniem na sercu, dusiła mię, musiałem się jej pozbyć. Wściekam się ze złości, że nie mogę być u was, kiedy staruszek w płowym surducie przyjdzie prosić cię o jałmużnę, a potem wszystko na jaw wyjdzie. Co się okaże, tego niewiem, dla tego i ty milczyć winienes i czekać, co Bóg sam zesłać raczy.

I mnie ten wypadek uszczęśliwił z wielu wzglę-

dów, raz, że mi się kuracya udała, powtóre: że się waszą cieszę pomysłnością; nakoniec też, że mię po książęcemu wynagrodzono. A że was wszystkich, to jest, ciebie, mój stary, z twoją rodziną, do której liczę bankiera C** z synem, na przyszły rok w moim miłym Karlsbadzie oglądać będę, jeśli nam tylko Bóg życia dozwoli, tego jestem tak pewny, jak, że dwa a dwa są cztery.

Teraz dosyć! Masz do woli materiału do rozmyślenia. Bywaj mi zdrów, a o tém, co się zdarzy, niezapomnij donieść staremu przyjacielowi!"

Dawno już zgasła była fajka pocziwemu Dukwickiemu, nim do końca doczytał; a gdy ostatnie słowa okiem przebiegł, opuścił ręce, niepewny, czy go sen mami, czy też na jawie to się dzieje. Najtrudniej mu było zamknąć swą radość w sobie, i przed towarzyszką życia, Katarzyną, zachować tajemnicę, póki się rzecz cała nie rozwiąże. Wymógł jednak tyle na sobie, że jej nic nie powiedział.

Tak minęła jesień; nadeszła zima; śnieg już zapruszył pola, a o bankierze i synu jego, żadna nie przychodziła wiadomość. Dukwicki codziennie więcej bywał zamyślony, Teodora codziennie tęskniejszym spojrzeniem śledziła, czy na drodze nie ujrzy oczekiwanego gościa. Lecz daremnie: dowiedziano się tylko, że bawiący w stolicy hrabia, sprzedał dobra, i że na Boże-Narodzenie nowy dziedzic z synem i małżonką, przybędą dla ich objęcia.

Wsam dzień tego święta, już nad wieczorem, kucharka oznajmiła Dukwickiemu, że jakiś człowiek w ubogiej odzieży chce się z nim widzieć. Mocniej zakołatało serce w poczciwym ex-mentorze, wyszedł, i ujrzał przed sobą starca z Karlsbadu.

— Otóż jestem, rzekł ten stłumionym głosem i ze spuszczoną głową. O żebraném chlebie tu się dostałem. Ale chory jestem i znużony, i nie mam człowieka na świecie, coby się nademną zlitował. Czy chcesz dotrzymać danego słowa? Czy mogę osiąść u ciebie?..... Jakto? nieodpowiadasz? milczysz?

Dukwicki rozezulony do głębi serca, niezdolny był dobyć głosu, tylko gęste łzy spadały mu z oczu. Przychodzień, widząc to, sam się od łez wstrzymać nie mógł, wyciągnął ku niemu ręce, wołając: — Precz z obłudą i udawaniem! O mój dobroczyńco! jestem.....

— Stój, przerwał mu Dukwicki; i odemnie wszelka obłuda niech będzie daleką. Williamie C** znam cię, lecz dopiero od chwili, w której mi doktor wszystko napisał.

— Więc prowadź mnie co rychlej do żony i dzieci, abym się więcej z wami nie rozstał.

— Ostrzegam cię, że nikt tu jeszcze nie wie prawdziwego stanu twojego. Chodźmy!

Weszli do pokoju. Ojciec przedstawił Katarzynie gościa, mówiąc iż to jest ów anglik, z którym u wód znajomość zabrał, i który czas dłuższy w domu ich

zabawi. Katarzyna powitała go uprzejmie i serdecznie; dziatki zebrały się w koło niego; Teodora z radością i rozczuleniem odnowiła chwilową znajomość.

— Teraz zaś, rzekł Dukwicki dobywając z kryjówki wbiórku list doktora, siadajcie wszyscy i słuchajcie uważnie. Katarzyno! przebacz mi, iż tak długo przed tobą ukrywałem tajemnicę, którą mi kazano zachować. Lecz, co wiem, i wy wiedzieć będziecie, a gość nasz powie; czy to prawda, czy nie?

I po tym wstępie, odczytał list doktora od początku do końca.

Któż wypowiedzieć może uczucia rozmaite, jakie kolejno słuchaczów przenikały? zadziwienie matki, przechodzące aż do najgłębszego uszanowania, gdy mowa była o milionach — rozczulenie gościa — śmiertelną bladość i pałający rumieniec, które naprzemian okrywały lica Teodory. A gdy skończyło się czytanie, gdy anglik przyciskając rękę Dukwickiego do serca rzekł: Zostaję u was na zawsze, na całe życie, otworzyły się drzwi i wpadł Karol!

— Karolu! drogi Karolu! zawołała Teodora i wyciągnęła ku niemu rękę.

— Czy wolno mi teraz, zapytał młodzieniec, prosić o twoją rękę, prosić, aby mię rodzice twoi do grona dzieci swoich przyjęli.

— I czy wolno mi powiedzieć, przerwał mu ojciec, że jestem nabywcą tych dóbr i że je tobie,

Teodoro, droga towarzyszeko mojego Karola, oddaję jako podarek ślubny?

— Wielki Boże! zawołał Dukwicki, czém zasłużyłem na tak wielkie łaski Twoje?

— Czém zasłużyłeś? powtórzył anglik. Patrzaj, oto woreczek coś mi go dał z dwudziestą talarami! świadek szlachetnego poświęcenia córki dla ciebie, świadek szlachetnego postępku twego względem mnie. Jako skarb najdroższy będzie zachowany w naszej rodzinie, a ten złoty napis, który na nim wyszyć kazałem, niechaj późnym jeszcze pokoleniom zapowiada, że

Dobroczynność szczodry plon przynosi.

Em: Sezary.





MARZENIE

O SZCZĘŚCIU.



WŁAMEK NIE Z POEMATU.

.
O gdyby się też dostać do siedlisk rodzinnych!
Do miejsc, gdzie słodko zbiegły chwile lat dziecinnych;
Tam będąc, prędkójbym się mógł zobaczyć przecie,
Z tymi, których nad wszystko ukochałem w świecie.
Ukoiłbym żal matki i siostry, co może
Nad mniemanem nieszczęściem lży leją w tój porze;
Uściskałbym mych braci, pokrewnych, sąsiady;
W każdym kącie znalazłbym lat dziecinnych ślady:

Pobieglbym na grób ojca, tam w niemój tęsknocie,
 Cnoty jego wspomniawszy, utwierdził się w cnocie.
 Albobym poszedł na wieś, pomiędzy te kmiotki,
 Których głos jego niegdyś cieszył uczył słodki:
 Możeby i na moje wybiegły spotkanie
 Dzieci, czy które jabłka gruszki niedostanie;
 A niejedna z upadku dźwigniona rodzina
 Z płaczem wyszłaby widzieć swego pana syna;
 Starzec zaś na kamieniu siedząc koło chaty
 Odkryłby czoło trudem zorane i laty,
 I wspominając sprawy jego dobroczynne,
 Na mnie błogosławieństwo zlałby jemu winne!

Siostró ma, droga siostró, cnot anielskich zbiorze!
 Czemuż, choć kocham braci ile serce może,
 Jednak, czego niepojmę, wyznać się niewstydzę,
 Że ciebie bardziej kocham, tam to nieraz widzę.
 Czy dla tego, żeś jedna? czy częste rozstania,
 I lzy pożegnań ogień wznieciły kochania?
 Gdy z braćmi spółnikami zabawek niewinnych,
 I nauk i swawoli i cierpień dziecinnych,
 Nasyciło me serce ciągle obcowanie,
 I nawyk mniej gwałtownym uczynił kochanie?
 Czy temu, żeś cię nieraz bał się już utracić,
 Gdy dług matki naturze musiałaś wypłacić,
 Dodając rozwitemi, w łonie twojem kwiatki,
 Do imion córki, żony, słodsze imię matki?
 Czy, że cię związki wiodą w kraj od nas daleki,
 Skąd już może twój ziemi nieujrzysz na wieki!
 Czy jednozgodność w chęciach, uczuciach, sądzeniu,
 Pomyslach nawet samych, chociaż w oddaleniu?

Pomnę, gdy mi brat doniósł nieba wyrok srogi,
 Że już Bóg nasz domowy ziemskie rzucił progi,
 A za dobrych uczynków i cnot długie lata,
 Godniejsze zajął miejsce u stóp Twórcy świata,
 Żaląc się na przeznaczeń mych wołą okrutną,
 Że mi nawet tę roskosz odebrały smutną,
 Bym choć jedną mógł ulgę przynieść mu w cierpieniu,
 Przyjął błogosławieństwo w ostatniem ściśnieniu,
 Synowską ręką zamknął stygnące powieki,
 I martwe jego zwłoki pożegnał na wieki:
 Pragnąłem w smutku doznać osłody choć tyle
 Żebym ostatnich jego dni mógł widzieć chwile;
 I tyś na me żądanie rys mi ich przysłała.
 Pisząc: — „U stop przez duszę rzuconego ciała,
 Z dłonią w niebo wzniesioną ugięłam kolana,
 Z bozkim w sercu natchnieniem i łzami zalana,
 Przysięgłam, w jego czynów postępując ślady,
 Jakie mam, wszystkie z serca wyrugować wady,
 Przysięgłam, z cnoty nigdy niemijać się torem,
 I jak on, stać się kiedyś dla mych dziełek wzorem.
 Od tej chwili, zda mi się, żem godniejsza ciebie,
 Zda mi się, że bez przerwy czuję koło siebie
 Duszy jego obecność, że ona mię chroni
 Od błędów, i modłę się nie za nią, lecz do niej.”—

Ach! niezdołam ci wydać siostró moja miła,
 Jak mię ta zgodność myśli słodko zachwyciła!
 Też samę jam przysięgę wykonał w tej chwili,
 Gdy ta wieść do mnie doszła, żeśmy go stracili!
 Tak! rzekłem, życie moje będzie pasmem cnoty,
 Jego duch mię ustrzeże od przyczyny zgryzoty;

Gdy mi dla prawdy przyjdzie cios ponieść niemiły,
 Westchnę doń, on potrzebnej użyczy mi siły.
 Żaloba, co obluda w zwyczaj ją zmieniła,
 Nie ciało me, lecz duszę będzie moję kryła.
 Dla rzetelnego żalu niepotrzeba świadków.
 Od zbyt nich nad potrzebę wstrzymam się wydatków,
 A na mych przyjemnościach oszczędzoną kwotą,
 W jego się imię z biedną podzielę sierotą.

Na usługi bliźniego dni moje poświęcę,
 A tobie, na pociechę, coś serce dziecięce
 Uczyła pierwszych uczuć słodkimi pieszczoty,
 Wraz z macierzyńskim mlekiem lejąc zaród cnoty,
 O matko! com cię razy oplakał już tyle,
 Gdy długa niemoc drogie twego życia chwile
 Silila się nam wydrzeć!— Lecz pocóż stęskniony
 Wzdycham tylko daremnie, z dalekiej was strony?
 Kiedybym może, łożąc wsze starania moje,
 Uprzyjemnić choć nieco dni potrafił twoje.
 Ale chęć twoja dla mnie zawsze jest wyrokiem,
 Niemasz miejsca zatrudnień pod niebem szerokiem,
 Gdziebym ją chętnie pełniąc niemógł być szczęśliwy,
 Pókim wart być twym synem, dopókim cnotliwy!

Lecz dopóki mną zdala swoich los pomiata,
 Jako ptak, co w kraj obcy gdy w jesień odlata,
 Unosi w cudze strefy pamięć pól ojczystych,
 I chęć powrotu nazad, gdy zaspów śnieżystych
 Spędziwszy smutny całun lubej wiosny tchnienie,
 Pola w kwiaty ustroi, gajom odda cienie,

Tak ja wszędzie poniosę chęć wrócić w te strony,
Gdziem się rodził, gdzie twojem łonem wykarmiony!

A gdy czasem uniesion w marzeń oceanie,
W bezdennéj się przeszłości zapuszczam otchłanie,
Nie nęci mię znaczenie, lub obszerna władza,
Co na swych ulubieńców roje trosk sprowadza.
Mały domek lecz własny, od dłużników wolny,
Dokądby wleźć z zapozwem pieniacz nie był zdolny;
Spółniczka moich trudów, zabaw i pieszczoty,
Równa wam, matko, siostró, przez dobroć i cnoty.
Mały sadek, mą własną ręką zaszczipiony,
Stadko owiec, pasieka, stawek zarybiony,
Stajenka z kilku koni, z kilku krów obora;
Mała biblioteczka, wyżeł, gończych sfora;
Mała wioska, lecz z ludzi pocziwych zebrana,
Coby cenić umieli dobre chęci pana;
Ze mną matka ma droga, rodzona; niewdali
Sąsiedzi, coby duszą nie słowy witali:
Gdzie niebojąc się zdrady, pod maską przyjaźni,
Mógłbym myśleć, — co myślę, mówić bez bojaźni.

To sen méj wyobraźni, to mój raj na ziemi,
Przystrojony wdziękami niebu skradzionemi!
Zamki to są na lodzie, bańki dęte z mydła!
Lecz na cóżby ustrzygać lotnym myślom skrzydła?
Po-cóż siebie pozbawiać chwil słodkich uroku,
Zamykać bramę nieba i duszy i oku?

Nadpłynie z czasem chwila, zbyt prędko nadpłynie,
Gdy myśl błędzić przestanie po marzeń dziedziinie,

A zleniwiła dusza z zmysły stępieniem,
 Z rozczarowanych niebios powróci do ziemi;
 Zimna rachuba zgasi zapał uniesienia,
 Miejsce złudzeń, nadziei, zastąpią wspomnienia.

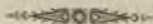
Lecz nim rajską uroków chwila nieprzemienie,
 Swobodni, w wyobraźni bujajmy krainie,
 Tęm się ciesząc, póki czas nadejdzie żałobny,
 Ze plód marzeń do prawdy nie jest niepodobny.

M...





PAN JAN I PAN MICHAŁ.



I.

Z było dwóch braci w Mazowieckiej ziemi: pan Jan i pan Michał; rodzeni i bliźniaki, wielce też byli i z twarzy do siebie podobni. Pan Jan, dwiema godzinami starszy, był wyższy; pan Michał za to lepszej tuszy. Pięćdziesiąt dwa lata przeżyli z sobą w zgodzie i przyjaźni — żaden gniew, ani kłótnia, spór nawet mały nieporóżnił ich z sobą. Spólną mieli kassę, tak jak spólny majątek: mieszkali w obszernym murywanym dworze, gdzie się rodzili, co się wznosił nad brzegami Narwi: część gruntów, łąk, i większe puł lasów z drugiej strony rzeki leżały. Niebyło na

dworze panów braci żadnego żonatego; stara tylko gospodyni, na odległym folwarku, zajmowała się czeladnią, kuchnią, drobiem i nabiałem.

Długie były zapusty tej zimy. Już dwa kuliki najechały *braci-kawalerów*, jak ich nazywano w okolicy: na ostatnim uważał pan Michał, że pan Jan palił koperczaki do panny podczaszanki, a pani matka nie była od tego — nie wybiegał i pan ojciec od tego — bo zaprawdę, na cały powiat *bracia-kawalerowie* byli najlepszą *partya*.

Siedzieli obaj bracia w dużej izbie i, jak zwykle, grali w warcaby — a pan Zaręba i pan Janusz, obaj rezydenci, spoglądali ciekawie na grę panów braci — gdy wszedł w białej szlafmycy, w białym fartuchu, z nożem za pasem i warzęchą w rękę, Mateusz, kucharz, a kłaniając panom, dziękował za służbę

—Cóż ci tu wadzi mój Mateuszu? — zapytał pan Jan.

—Nic Jasny Panie, ale ja chcę się żenić!

—Co! czyś oszalał Mateuszu! (krzyknął pan Michał w gniewie); a zapewne twa narzeczona ma diabła naturę, coto niechciał być kucharzem, furmanem i mamką, ale chciał być młynarskim wieprzem, urzędniczym koniem, i dworską kucharką. Możebyś swoje panię chciał mieć dworską kucharką?

—Zdałaćby się, Jasny Panie, do tego! (odrzekł wystraszony Mateusz, patrząc na rozindyczonego pana Michała.) Ale cóż czynić, choć dobrze u panów, by w raj, aleć człek w lata zachodzi: co zapracuje,

co oszczędzi, i komuż zostawi? Na klasztor nie ma co, kościoła nie zbuduje, lepiej więc swojej działwie zostawić! A potem dziewczęta ze wsi nie będą mi już ani jaj pustych, ani klocków przypinać na popielec. Łońskiego roku, taki kloc przyczepiły mi dziewczki gospodyni, że od kapoty całą wyrwały odnowę lisią przy kieszeni.

—Głupiś Mateuszu! (zawołał gniewny nań Michał) dawna przypowieść: «Nie gryź z diabłem orzechów!» a ty z nim już leszczyny naginasz, Żeń się! żeń, ale mi fora z dwora!

Pan Jan uśmiechał się na zapół brata, gdy wszedł za kucharzem, strzelec ulubiony pana Michała, i z nieśmiałości począł obracać czapkę w rękę, i skrobać się po głowie.

—A ty czego chcesz Jura? zapytał pan Michał.

—Jasny panie! przyszedłem prosić o pozwolenie...

—Czego! czego?

—Bo i ja chcę się żenić!

Jakby padalca nastąpił, uskoczył pan Michał, plunął i zawołał:

—Tfu na marę! czy poszaleli? A tobie na co żona?

—Jasny panie, już mi się wszystko sprzykrzyło; człek pójdzie na łowy, ni komu w chacie umieść, ni zgotować jadła! A jak się wrócę doma, jeno psy, a kot — cztery puste kąty i piec piąty!

—A to pan Jura, (mówił pan Michał z szyderskim uśmiechem) z lenistwa się żeni? niechce mu się izby

zamieść, zgotować jadła, więc żony potrzeba; a wówczas jak ci żonka powie «Leniu, naści jaje! to ty zapytasz: A czy obłupione?»—Idź do djabła, żeń się, ale mi ani na oczy!

—Szkoda! dobrzy ludzie, rzekł pan Jan, i pierwszy raz przymówił bratu. Ale pan Michał miał zawsze szacunek dla starszego o dwie godziny brata, i żałował już swój popędlivości, gdy wchodzi Grzela, stary z ogromnemi wąsami forys, i z ukłonem prosi o pozwolenie żenienia się, bo już dał na zapowiedzi.

To było nadto. Pan Michał w gniewie rozrzucił warcaby, porwał się od stołu, i wyszedł prędko do przyległej ciemnej alkowy. Tu począł szerokim krokiem chodzić, chłonąc powoli z gniewu. Wkrótce krzyknął na chłopca, żeby rozpalil na kominie, a gdy buchnął jasny płomień, wchodzi pan Jan i rzecze:

—Panie Michale, ludzie czekają na ciebie!

—Jacy ludzie?

—A, oprócz forysia, jest kredencierz i karbowy; wszyscy chcą się żenić.

Z podziwu i gniewu aż za czuprynę garścią się schwytał pan Michał: przeleciał w milczeniu dwa razy po alkowie; poczem, jakby zmęczony, upadł na krzesło, i rzekł drżącym głosem: «Ci ludzie sprzyśleli się na mnie! panie bracie, zastąp mnie tam!

—Jakże to można? Cała służba dworska jest pod zarządem pana brata, odpowiedział zachmurzony pan Jan.

Pan Michał, otarł pot z czoła, i z bratem wyszedł do izby: tu ujrzawszy tylu zwolenników małżeństwa, stanął przed nimi, i rzekł przerywany gło-
sem.

—Wiécie, coto jest baba? Jedna baba kamień do studni wwali, a dziesięć go chłopów nie wyciągnie! To jest, jak baba figla robi, to lepszego niż dziesięciu męzczyzn. Jak baba, co lecąc ze wschodów wołała «co dalej, to gorzej!» tak każdy zwas po ożenieniu, im dłużej tym więcej będzie narzekać! ale to już późno! mądry polak po szkodzie! Chceta się żenić, po co?

—Jasny Panie! (rzekł przerywając kredencarz, urażony że jego narzeczoną pan babą nazywa) ani ja, ani drudzy z babami się nie żenim! bierzem sobie dziewczki młode, gładkie, i hoże!

—Tym gorzej, mój panie Bartoszu, odrzekł pan Michał chłonąc z zapalu; jak *Urbanowe żytko-na kata wszystko*, tak dla starego młoda żona.

—Cóż robić, przemówił śmiało karbowy, wszakto śmierć i żona, od Boga przeznaczona: a wszyscyśmy ludzie....

—Tak, dodał śmiejąc się Zaręba, wszyscyśmy ludzie, jeno ksiądz pleban człowiek, —i spojrzął na pana Michała, który zniecierpliwiony zawołał w końcu.

—Wleż że pod ławę a rzeknij «mądry ja» rzuciwszy oczyma na Zarębę, który zmieszany pokręcił wąsa. Obróciwszy się zaś do zalotników:

—Żeńcie się z babą, z panną, z wdową, z djabłem ; to mi wszystko jedno.

Kredencierz wystąpił na przód, i z rozrzewnieniem wyrzekł :

—A, Jasny panie! bez żalu, wypędzasz swoje stare i wierne sługi ; ani jednego dobrego słowa! panie, toć się niegodzi ; my cię jak ojca kochali!... niemógł dokończyć, w głos się rozbeczał, zapłakali wszyscy.

Pan Michał, mając serce jaknajlepsze, niemógł bez wzruszenia patrzeć, przyskoczył do Bartosza, porwał go w swoje objęcia, pocałował i ze łzami zawolał: — Stary! nie rób mi tak gorzkiej przymówki, ja was wszystkich kocham, i na weselu każdego będę. Niech wróca do służby Mateusz i Jura!

Uradowani domownicy w głos płaczą, ściskają za kolana, a pan Jan w rozrzewnieniu, ścisnął za rękę serdecznie brata.

Wesołość brzmiała na dworze *braci-kawalerów*, a z ambony aż cztery od razu zapowiedziano wesela!

II.

Na dwie niedziele przed popielcem, pożenili się wszyscy dworscy, a cztery niewiast pierwszy raz od lat trzydziestu zamieszkało obszerne oficyny. Pan Jan chwalił, jak to dobrze, bo się już domownicy nie bałamuca, nie piją, siedzą doma, do gospody nie wy-

biegają, jak im zazdrości szczęścia i tak wesołego oblicza, z jakim zawsze do służby stawają.

— Na dwoje babka wróżyła o ich szczęściu; odrzekł zachmurzony pan Michał, niechno dalej, jak miną miodowe miesiące.

— Czy pan brat, nic dobrego nieuważasz w świętym stanie małżeńskim? zapytał pan Jan.

— Nic dobrego, wszystko złe!

— Szkoda! pomruknął pan Jan.

— A to czemu?

— Ha! przyznam się panu bratu, że i ja zaczął myśleć o żonie: panna Podczaszanka zakręciła mi we łbie. Widziałem ją nawet we śnie; myślałem na jawie; ale kiedym pomyślał, że pan brat niemieszkałbyś już zemną pod jednym dachem—luboć z ciężkością, już nie marzę o niej, i chcę całkiem zapomnieć tej gładkiej panny.

Pan Michał wytrzeszczył oczy na brata, widział go bladym, zmienionym; kiedy mówił, westchnienie przerywało słowa, a rękę trzymał ciągle na sercu, jakby czuł tam ból srogi. Nawet kilka łez spłynęło, które prędko otarł.

Pan Michał zawołał do sypialni swojej, rezydentów obu; długo z nimi w cichości rozmawiał: nie spał całej nocy, a skoro świt, wytoczono piękny pojazd, przybrano w krakowskie chomąta pięć młodych kasztanów. Dla rezydentów stały konie osiodłane.

Przy śniadaniu, pan Jan osowiaty, zpodziwieniem ujrzał wystrojonego pana Michała, w suty kontusz atlasowy, karmazynowy żupan, pas złotolity, i karabełę z drogiemi kamieniami. Zaręba i Janusz wystąpili w świątecznym ubiorze.

— Gdzież-to panowie? zapyta.

— Jedziem, panie bracie, do starego Cześnika, gdzie odebrałem zaprosiny: pana brata zostawuję doma, ażebyś wydobrzył nieco. To powiedziawszy, pan Michał uściskał brata, wsiadł do powozu, a Zaręba i Janusz wierzchem puścili galopem, prosto w las brzozowy drogą.

Janusz, wjeżdżając na podwórze podczaszego, dał ostrogę bułankowi, i w skokach przypadł przed ganek. Wybiegł podczaszy na spotkanie gościa, a gdy zapraszał go z sobą, Janusz trzymając za wędzidło, odrzekł poważnie:

— Jaśnie Wielmożny Podczaszy pozwoli, że poczekam na Pana Michała; właśnie zajeżdza, z ważną prozbą, a przed jej objawieniem, ani ja odejdę mego arabczyka, ani niewyprzęgną koni z pojazdu.

Podczaszy zmiarkował o co gra idzie; uśmiechnął się radośny; pobiegł do żony, a dawszy jej niespodzianą nowinę, wrócił na ganek, aby przyjąć u-przejmie pana Michała.

Pan Michał wysiadłszy, pozdrowił gospodarza, pocałował w rękę podczaszynę, i nim usiadł, upraszał

ażeby panna Katarzyna podczaszanka, raczyła przybyć, gdyż w jej obecności dopiero wyjawi powód swego przybycia. Stał za nim Zaremba z szkatułą w ręku. Drżącym krokiem wyszła z alkowy piękna Katarzyna; na jej widok zapomniał pan Michał *perory*, którą sobie ułożył w drodze okrągłemi słowy, i rzekł po prostu:

— Baba z wozu, koniom lżej: owoż i ja, mościwa panno podczaszanko, jak wypowiem, co czuję — lżej na sercu. Brat mój starszy, pan Jan, rozmiłował się serdecznie; ciągle myśli o niej. Biedny schudł, i zbladł wielce. Ja, niemogąc patrzeć na to, przybyłem prosić, ażeby rękę panny podczaszanki, za zgodą jej szanownych rodziców otrzymać. Co ma — a nie jest *Comes de Watory*: gdzie jeden kmieć, a dwa dwory: wszystko u nóg mościwej panny składa, z sercem pełnem afektów i uszanowania.

Podczaszy, rozrzewniony, ocierał oczy, pokręcając wąs siwy; małżonka, w głos zapłakała — a panna Katarzyna, drżąc z wzruszenia, oblana rumieńcem wstydu, stała ze spuszczone mi w ziemię oczyma.

Gdy wszyscy milczeli, pan Michał kiwnął na Zarembę, a gdy ten się przybliżył, roztworzył szkatułę w której zajaśniały brylanty, perły i drogie kamienie.

— Te, po świętej i błogosławionej naszej pani matce klejnoty, składam u nóg waszych, mościwa panno Katarzyno, w tej nadziei, że brata kochanego nieraczysz zasmucić.

I sam rozrzewniony chciał przyklęknąć, gdy podczaszy z żoną, niedozwolili mu tego.

— Miła waszej miłości ofiara, (rzekł wręście podczaszy), a my znając afekt naszej Kasi, przyrzekamy jej rękę dla pana Jana.

Uradowany pan Michał, uściskał kolana rodziców, pannę w rękę pocałował jako przyszłą bratową; zaproszony na obiad dopiero dozwolił wyprządz konie, a Janusz wierzchowca swego odprowadzić do stajni. Nad wieczorem wrócili weseli do domu, gdzie zasnuwani nagle zostali, że pan Jan mocno rozchorzał.

III.

Jeszcze trzeci dzień nie minął od czasu oświadczyn pana Michała, pan Jan zdrów i wesół powstał z łoża, bo mu brat doradzał, ażeby używał świeżego powietrza, i zapowiedział spólny wyjazd do podczaszych dworu. Uważał pan Michał że zaraz rumieniec wybił mu na blade policzki, roziskrzyły się oczy radością, i zdrowie go krzepiło. Na czwarty dzień ruszyli. Przyjęci uprzejmie od Podczaszych, ale ni rodzice, ani panna nie wyrzekli nic o prośbie brata i danym mu przyrzeczeniu: wypadło zawsze jednak, że pan Jan z panną Katarzyną najczęściej zostawiani siedzieli z sobą samotnie. Podczaszy z panem Michałem, Zarębą i Januszem, spijając wino, radzi bawili.

Pan Jan patrzył w oczy ukochanej Kasi, z początku milcząc, później rozwiązał język, na kolanach oświadczając miłość gorącą. Widać, że się zrozumieli, bo wyszli oboje radośni do wieczerzy; a gdy pan Michał prosił o nocleg, przepraszając za natręctwo, pan Jan słodko się nań spójrzył, i w milczeniu ścisnął mu rękę.

Trzy dni bawili bracia; na czwarty trzeba było odjechać: pan Jan osowiał; pan Michał przyrzekał podczaszym, że wkrótce ich nawiedzą. W tydzień później, pod wieczorną dobę, rzekł pan Michał do brata:

—Panie Janie! jutro wybieramy się do podczaszch; wyprawiają tam wesele....

Pan Jan zbladł jak chusta: Michał więc dodał co-prędzej:

—Wyprawiają tam wesele, jednej z panien służebnych; państwo prosiło nas, żebyśmy z naszymi rezydentami w drużby byli: kazałem przeto postarać się naszemu ogrodnikowi o równianki kwiatów(*).

Pan Jan odetchnąwszy, westchnął swobodniej, gdy ogrodnik z ukłonem wniósł dwa pęki ślicznych kwieci i zielonych gałązek. Panu Michałowi łzy się pokręciły, kiedy brat Jan z uśmiechem radości próbował do żupana przypinać równianki: ale prędko odwróciwszy oblicze, łzy otarł, a żegnając brata, odszedł do swej sypialni.

(* Bukiety.

Ńazajutrz, dwór cały od świtu był w ruchu: sprostowana tajemnie kosztowna karetka z Warszawy, wyruszyła w pięć dzielnych kasztanów, w nowe chomonta krakowskie przystrojonych; pojechał w nią Zaręba. Janusz konno z kalwakatorem i dwoma strzelcami, w cichości się wymknęli. Gdy pan Jan spał smaczno, a pan Michał dumiał, wzdychał, kręcił wąsy, bąkając niekiedy słowa.

— Tak Bóg widać przeznaczył! ha cóż robić! będzie szczęśliwy! Jak Bóg da, na dwoje babka wróżyła! wydatek większy! Stroi baba fuleje, kiedy wczubek naleje! ale to dziewczę, pocziwego gniazda, nie urodzi sowa sokoła, jeno takie jak i sama. Ha, cóż robić, wlaższy w błoto, brnijmy do rzeki.

A po tych słowach powstał z łoża, odmówił modlitwę poranną, i ubrany bogato, stanął w sypialni brata, kiedy ten drzymał jeszcze, zaspawszy więcej niż zwykle.

— A to srom, panie bracie, spać tak długo, a nas u podczaszych czekają, a panna Katarzyna prosila żeby rano przybyć.

Zerwał się na nogi co rycblój pan Jan, ubrał się z pośpiechem, i po zwykłym śniadaniu, wsiadłszy do kolasy, już blisko południa ruszyli obaj bracia.

IV.

W kaplicy dworskiej, rzęsisto oświeconej jarzącymi świecami, stał poważny kapelan domowy, w bogatym ornacie. Przy stopniach ołtarza stała panna Katarzyna obok swych rodziców; z drugiej strony miejsce było próżne; przyległą komnatę, zapełniało grono sproszonych sąsiadów i krewniaków.

Pan Jan, zajęchawszy z bratem, wielce zdziwionym został, nie ujrawszy nikogo, coby wybiegł na powitanie i przyjął na ganku. Osowiały, spojrzął na brata, ale i u tego oblicze zasepione: pomięszany wchodzi, i staje jak piorunem rażony, ujrawszy przy stopniach ołtarza pannę Katarzynę. Pan Michał pochwycił go wtedy silnie za rękę, i wyrzekł drżącym z rozrzewnienia głosem:

—Panie bracie! oto twoja żona; prosiłem o rękę panny Katarzyny, owoż czekają wszyscy!

Podczaszy, radosny woła: — «Panie młody, już czekamy długo!»

Pan Jan, z początku blady, drżący, teraz w uniesieniu szczęścia, jednym skokiem staje u stopni ołtarza.

Pan Michał usunął się za próg komnaty, zakrył oczy dłonią, aby utaić łzy rzewne. Kiedy Janusz zbliżył się do niego, już pokręcał wąsy zwilżone łzami, a gdy ten pokazywał uszczęśliwionego brata,

jak prowadził piękną małżonkę od ołtarza, rzekł z cicha:

—Rad i wesoł, boć jeszcze nie wie, jak wielka tarapata, dziurawa w deszcz chata!

I wyszedł śpiesznie do ogrodu, aby odetchnąć swobodnie. Chodził zadumany całą godzinę, a rzucawszy troskę o ziemię, wrócił z wesołym obliczem pomiędzy radośną drużynę.

Grzmiała już kapela. Chorąży, najstarszy wiekiem, wiódł w pierwszą parę pannę młodą w polonezie, gdy, ujrzawszy pana Michała, stanął przed nim, skłonił głowę, a oddając mu rękę bratowej, usunął się na bok, i podany wznosząc puhar, zawołał donośnym głosem, kiedy na znak kapela nagle ucichła.

—Piję zdrowie szlachetnego i kochanego pana Michała, który dla afektu braterskiego, poświęcił własne przekonanie, i on, wróg małżeństwa, sam za swego pana brata zaloty odprawił, by go uszczęśliwić nazawsze: Niech żyje! kochajmy się!

W tej chwili wybiega pan młody, a klękając przed bratem, ściska jego kolana, ze łzami go całując.

Pan Michał, na znak takiego uszanowania od chorążego i brata, którego tyle kochał, rzucił się naprzód w objęcia pana Jana, ściska go płacząc, panu chorążemu dziękuje ukłonem, a rozrzewniony klęka przed młodą bratową, wychyla puhar pełny, za zdrowie nowożeńców, i przerywanym rzecze głosem:

—Mówią, że dla tego się bracia dzielą, iż jeden

rad słodko jada, a drugi gorzko, jeden słono, a drugi kwaśno; ja z wami już się nie rozdzielę i będę jadł społem słodko i gorzko, słono i kwaśno.

Podczaszy wznosi toast: «Afektu braterskiego!» kapela brzmi, krążą częste a pełne pułhary. Suta uczta zakończyła ten dzień pamiętny w życiu *braci kawalerów*.

Kiedy po kilku dniach zabaw, nowożeńcy z gośćmi do dworu tych braci na przesiedlony przybyli, pan Jan, wyglądając rano oknem, ujrzał z podziwieniem z drugiej strony Narwi, bielejący dwór nowo zbudowany. Pan Michał stojąc przy nim, uściskawszy mu dłoń szczerze, wyrzekł: — To domostwo, zmiarkowawszy waszeci amory, zbudowałem dla siebie, ażeby wam niebyć ciężarem. Myślałem, że pani bratowa, jak to zwykle niewiasta, znajdzie nasz dwór zaciasny; że trzeba się będzie nam rozdzielić choć w pomieszkanu: ale kiedy baczę cnoty tej białogłowy, odbieram codziennie nowe dowody jej afektu i poszanowania dla siebie, już się nierozjeżdżiem: w domostwo nowe osadziłem strzelca swego; tu mi z wami miło; Boże daj rychło wam syna kołysać, coby przechował nasze imię i herb starodawny!

Doczekał się tej miłej dla siebie pociechy; po dziesięciu leciech pięcioro krzepkich pacholąt biegło w komnacie pana Michała, a on im strugał drewniane szabelki, sadzał na drewniane konie, z łuków uczył

do celu strzelać, a kiedy rozchorzał mocno, otoczony synowcami; rzekł do brata i bratowej:

—Gdybym wiedział, że jest niewiasta druga podobna pani bratowej, byłbym się zaraz ożenił po waszym ślubie, bo żal człeku umierać nieprzekazawszy nikomu swego imienia i pamięci. Ale kiedy pan brat masz pięciu dziarskich chłopaków, idę przed sąd Boski, spokojny, nie zostawię wdowy i sierot, tak lepiej, lżej na sercu!

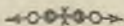
Pobłogosławił dziatwę płaczącą, brata i bratową, a przyjąwszy bogobojnie ostatnie pomazanie, zamknął oczy snem wiecznym, przeznaczając całe swoje mienie dla ukochanych synowców.

H. Wł. Wójcichi.





Powrót z Odpustu.



— „**W**itajże mi witaj z odpustu Jaśieńku!
Jakże mi się miéwasz?” — „Ot tak pomaleńku”
— „I cóżeś mi przywiózł.” — „Pacioreczki złote.”
— „Co mi za paciorki, w paluszkach je zgniotę.”
— „Przywiózłem ci przywiózł pierścioneczek z oczkiem,
Tylko już dziewczeczko niepatrz na mnie boczkciem.

Pierścionek niedrogi

Bo Janek ubogi.

Kupiłem ci krzyżyk, niech ci serca broni,
Niech cię przed nieszczęściem i smutkiem osłoni!

I krzyżyk niedrogi

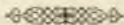
Bo Janek ubogi.

Kupiłem ofiarkę, z wosku odlewana,
Zmówiłem paciorek za Rózię kochaną,
Oddałem ją Bogu, Duchowi świętemu
Zeby była wierna Jankowi swojemu.”

Stanisław z Dzihowa.



LISTEK Z CMENTARZA.



Widziałem ją szczęśliwą w taneczników kole,
W całym blasku odzienia, wdzięków i młodości,
Z pogodą jaśniejącą na śnieżystém czole,
Co go jeszcze nie chmurzył, żaden cień miłości.
Jak oparła dłoń białą z uśmiechem słodczy:
A on śmiałym ramieniem ujął pas dziewiczy.

Widziałem, zalotników kołem otoczona;
Dla każdego tak słodką, ujmującą była,
Ten, prosił o podarek, dostał kwiatek z łona,
I choć serca nie wzięli, nadzieja cieszyła: —
A ja, com w duszy karmił tak czyste marzenia
Niemogłem i jednego pozyskać spójrzienia.

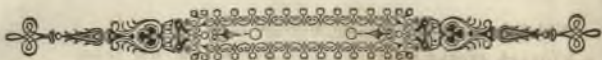
Widziałem, jak te młode ubiegały lata,
 Których troska nie trwoży, i przyszłość nie lęka.
 Widziałem, jak po żywych uściśnieniach świata,
 Scisnęła młode serce zimna śmierci ręka.
 Jak kwiecie opadały, i te sny młodości
 Zamarły snem niepomyślnym w krainie wieczności.

Widziałem, jak po hucznym gwarze salonowym,
 Nastąpiło żalobne, spokojne milczenie,
 Widziałem, jak pod zimnym kamieniem grobowym.
 Wszystko nikło na wieki, i tylko wspomnienie
 Niby echo samotnej, oddalonej pieśni,
 Przebrzmiało głuchym dźwiękiem w pogrobowej cieśni.

I już nic, nic nie było — trochę piasku, kwiatek,
 Wmiejsce gwarów weselnych, cisza śmierci w koło.
 O! wtenczas, i ja śmieliej sięgnąłem po datek,
 I tęskny, gorzki uśmiech wybieżał na czoło,
 Że dłoń wczoraj nieśmiała zerwać się odważy,
 Ubogi listek Cmentarza.

S. Filleborn.





KAMIEN POWOŁANIA.

(HISTORYCZNE.)



(z Rycina.)

I.

Przy końcu Lutego 1659 roku, pyszna karetka sutemi ozdobiona herbami, zajechała przed klasztor Karmelitanek w Tours. Wsiadły z niej dwie damy, w czarném ubraniu; w mgnieniu oka otworzyła się forta klasztorna: jedna bowiem z tych dam była siostrą, a druga siostrzenicą tamecznej przełożonej.

Gdy fórtyanka wprowadzała je do rozmawialni, a towarzysząca nowicyuszka poszła zawiadomić przeo-

rysę o przybyciu jęj kuzynek, woźnica skierował pojazd ku poblizkiej oberży, ściągając nań po drodze ciekawość wszystkich mieszkańców. Dziś, kobieta najwytrzymalsza, nie ławoby zniosła trzęsienie w tym powozie nie na pasach, zastoniętym tylko firankami z sukna grubego, z podszewką adamaszkową; ale w owym czasie był to wielki przedmiot zbytku i wygody, którego sobie zaledwie pozwalali możni i prawie wyłącznie ludzie wysokiego urodzenia.

Wprowadzone damy do klasztoru Karmelitanek, usiadły na dębowej ławce, zimnej, woskowanej, będącej jedynym sprzętem tej wielkiej, ponurej komnaty. Starsza z nich, mogła mieć około lat pięćdziesiąt. Była wysokiego wzrostu; wejrzzenie miała surowe, łagodzone jednak jakimś odcieniem dobroci, albo raczej poddania się wyrokom wyższym. Łatwo ją pojąć było można: nieszczęścia i doświadczenia losu, znękały duszę mocną z natury, i skruszyły serce pełne mocy charakteru. Nim się ukorzyła przed ręką, co ją dotknęła, potrzeba było więcej niż jednego ciosu, i teraz nawet, pomimo pokory chrześcijańskiej, powstawały w niej myśli pełne dumy, pochodzące z jęj energicznego umysłu.

W jęj towarzyszce, przeciwnie, wszystko tchnęło słodyczą i tkliwością. Nie można było patrzeć bez wzruszenia, a nawet bez zajęcia, w jęj oczy jasno-niebieskie, i na piękne blond włosy, które zda-

wały się otaczać jej głowę jakby niebiańską jasnością. Kibić miała kształtną; a chociaż była małego wzrostu, podziwiać jednak trzeba było jej wysmukłość. Chód jej zdawał się być niepewnym i powolnym; stąpała z niejakiemś wahaniem się, które jednak cudnie przystawało do prześlicznego askromnego ogółu tej czarującej osoby. . . . W tym drzwi rozmawialni otworzyły się i przeorysza weszła.

Fizyognomia tej sędziwej matrony malowała się w rysach jej twarzy, wycieńczonych ostrością zakonną i umartwieniami ciała; ale razem w tej twarzy dostrzedz można było jakąś mistyczność i pogardę świata, gdyż ledwo przebijało się cokolwiek uczucia towarzyskości w sposobie, jakim powitała swoje dwie krewne i w odezwanii się:

«*Ave Maria!* moje siostry.»

«*Gratiæ plena:*» śpiesznie odpowiedziały przybyłe.

Dopiero przeorysza, zbliżywszy się do starszej z gości, powiedziała:

— «Widząc was w tém ubraniu żałobném, czuję się mimowolnie wzruszoną. Ubior ten, każe mi się domyślać o śmierci czyjejs, z tych osób, które były mojémi krewnémi, póki nie zerwałam wszelkich związków ziemskich z ludźmi. Może być, przywdziałyście je po zgonie ojca mojego, lub matki; lecz ja nie mogę... nie chcę nic wiedzieć...»

dodała ze stałością i wzmacniając swój głos drżący: «przepisy mojego zakonu zabraniają mi wszelkich pamiątek, wszelkich uczuć światowych. Odmówię *De profundis* za niewiadomego mi nieboszczyka. Boże, bądź miłościw duszy jego!»

Uklękła i zaczęła modlitwę za umarłych. Dwie damy połączyły swe westchnienia i łązy z jej modłami, gdyż ta, po której nosiły żalobę, dla jednej była matką, a dla drugiej, babką.

Przeorysza domyśliła się bez wątpienia za kogo się modli, łązy bowiem także widać było na jej błędych policzkach, kiedy skończyła.

—«Moja siostró!» zapytała starsza z dwóch dam: «czy niedasz teraz swojego błogosławieństwa Ludwice, mojej córce, a twojej siostrzenicy?»

—«Niémam żadnej siostry, ani siostrzenicy; moje serce powinno być.... moje serce umarło dla światła, powiadam ci, umarło, jak zimne popioły, za któreśmy się modliły; lecz wzniosę me dłonie, nad głową tej dziewicy, bez żadnych powodów światowych!.... będę błagała Boga, aby otworzył jej oczy na światło, aby ją natchnął pobożnością, aby ją uchwował od wszelakiej zaguby, i aby zesłał na nią raczej śmierć, aniżeli dopuścił splamić się jakim grzechem. Tak, tak, moje dziecię!.... tak Ludwiko! nieprawdaż? Ludwiką cię nazywają? raczej śmierć, aniżeli grzech. O! gdyby Bóg raczył wysłuchać tej prośby, którą zanosi najniegodniejsza i najpokorniejsza

z Jego służebnic! gdyby nieudolne me wyrazy przekonąć cię mogły, nieopuściłabyś odtąd tego schronienia, niedostępnego złym aniołom! poświęciłabyś się od dzisiaj służbie Wszechmocnego! obwarowałabyś się pokutą od grzechu, i przygotowałabyś sobie do nieba drogę. Cóż, dziecię moje, czy nie czujesz ochoty poświęcenia się nazawsze Bogu, przyobleczenia na się włosiennicy, jęcia się pokuty, odrzucenia tych włosów, próżnego i zgubnego mamiła; by błagać i uwielbiać Najwyższego Pana nazawsze, by rozpocząć hymn dziękczynny, który będzie przerwany raz tylko, w dniu twojéj śmierci... twojego zbawienia! chciałam powiedzieć — a potem przetrwa wieki wieków Amen.

Dziewica, klęcząc przed zakonnica, uczuła dreszcz, kiedy ta dotknęła jej głowy suchą i zimną ręką.

Wzruszenie to nie uszło baczości zakownicy. — «Widzę, że twoja godzina jeszcze nie nadeszła, rzecze. «Bóg nie chce dziś wysłuchać moich najgorętszych błagań; karze mię bezwątpienia, bo mimowolnie goręcej go błagam za córką siostry mojej, aniżeli za każdym innym chrześcijaninem. Niech się wola Boska spełni! Chodźcie, moje siostry! zaprowadzę was do celi, którą zajmować będziecie, dopóki tu zechcecie przemieszkiwać, i w której zamierzacie przygotować się do pokuty, przez czas Wielkiego-postu.»

Zapaliła latarkę u lampy, gorejącej pod wielkim

krzyżem drewnianym, zawieszonym w środku rozmawialni. Poczem poprowadzając siostrę i siostrzenicę, przeprowadziła je przez długie korytarze, zupełnie ciemne, do innego skrzydła zabudowania. Ludwika niema i blada postępowała za osobliwszą ich przewodniczką, nie bez drżenia, na odgłos sandałów Karmelitanki, i na blask światła niepewnego, czerwonego, rzucanego z latarni, na mury bez żadnej ozdoby, poczerniałe od czasu i wilgoci. Po kilku chwilach iścia, przełożona zatrzymała się przed dwoma drzwiami sąsiednimi, zamkniętymi na dwa rygle, zupełnie podobne do rygli więziennych.

— «Oto wasze mieszkania,» powiedziała: «nie znajdziecie tu żadnego zbytku światowego, który pozostawiłyście za sobą, wchodząc do klasztoru; aczkolwiek wielkie tu jest ubóstwo, niczem to jeszcze jest w porównaniu ubóstwa Karmelitanki, my bowiem w celi swej nie mamy nic więcej, do ozdoby i do spoczynku, jak trunę, w której zamkną kiedyś nasze szczątki śmiertelne. Kazałam znieść do tych dwóch izb, wszystkie wasze rzeczy z powozu. Dobra noc! Niech Bóg i Matka Przenajświętsza mają dusze wasze w swej opiece!»

Przyklękła, odmówiła pacierz, a powstawszy bez przemówienia słowa jednego, udała się napowrót tamtędy, którądy prowadziła swych gości, i znikła w ciemności zakątów korytarzy klasztornych.

Ludwika znalazłszy się sama w swojej celi, zaczęła wolniej oddychać; uczuła jakąś ulgę po oddaleniu się osoby surowej, która zdawała się rozpościerać dokoła siebie jakoweś zimno, lodowacące jęj serce. Przystąpiła do kominka na którym wielki pałał ogień, i pomimo napomnień czynionych przez matkę, oddalającą się do celi sąsiedniej, aby niezwłocznie udała się do spoczynku, nie mogła się oprzeć ciekawości, obejrzenia miejsca gdzie była. Łóżko, szafa, zwierciadło dawnością przyćmione, i dwa krzesła z wysokimi poręczami, cały sprzęt składały. Ale niezapomniano niczego z przedmiotów, które z sobą zabrała ze starożytnego zamku rodzicielskiego, nic, nawet papugi i mandoliny. Pozwoliła sobie zagrać cokolwiek na tym instrumencie, —przyjemności zabronionej w tém miejscu, —potém poczęła się bawić i drażnić piękniemi swemi paluszkami papugę, która już była się zabrała do snu, na wysokim poręczu krzesła; nakoniec, prawie machinalnie otworzyła wielką księgę, leżącą na stole; przerzucała w roztargnieniu karty; bawiła się wizerunkami znajdującemi się prawie na każdej stronicy, zaczęła nawet próbować wyczytywać niektóre słowa tego pisma, nieprzedstawiającego z resztą wielkich trudności czytelnikowi. Miejsce na które natrafiła, było historią jednej przeoryszy, zmarłej w tym klasztorze, przyjętej w poczet błogosławionych.



Painted by W. Scott.

Engraved by J. C. Edwards.

*..... już w dwudziestym roku życia
wyrzekła się świata!*

<http://rcin.org.pl>

«Siostra Marya od Miłosierdzia, — czytała Ludwika — pochodziła ze znakomitego greckiego rodu, i nazwę światową nosiła księżny Lenais Polixenes. «Podróżując po Francyi, lubo wychowana w zasadach innego wyznania, powzięła chęć zwiedzenia klasztoru w Tours, i trafem stała na *Kamień Powołania* leżący u wejścia do chóru! We trzy lata później, utraciwszy męża, przybyła do Tours, by przez «wstąpienie do zakonu Karmelitanek, poświęcić życie «swoje na modlitwę i pokutę, pod imieniem siostry «Maryi od Miłosierdzia, i piętnastego roku powołania swego, wyniesioną została na przeoryszkę. Trudne te obowiązki spełniała przez lat cztery, nakoniec w trzydziestym dziewiątym roku życia, przeniosła się do wieczności, z cnotami, czyniącemi ją «godną kanonizowania.»

—«W trzydziestym dziewiątym roku!» zawołała Ludwika, «więc już w dwudziestym roku życia wyrzekła się świata?» I myśl ta tkwiła w jej głowie noc całą, niedając długo zasnąć, a nawet odzywała się w marzeniach. Widziała siostrę Maryą od Miłosierdzia, wzywającą ją do siebie, ukazującą niebo, słyszała mówiącą o swém życiu zakonném, i zachęcającą do wyrzeczenia się świata i zgubnych jego mamideł, naśladowując jej powołanie. Gdy się obudziła, serce jej biło gwałtownie, zimny pot okrywał czoło, a ręce drgały i przejmowały dreszczem cia-

10. W tej chwili zadzwoniono na jutrznią i matka Ludwika weszła, aby się razem udały do chóru.

Ludwika ubrała się cpo prędziej i poszła za matką do kościoła, gdzie już zakonnice klęcząc rozpoczęły były modlitwy poranne i psalmy. Po skończonej jutrzni, wszystkie powstały, a przeorysza dała znak dwom nienależącym do zakonu, aby wyszły. Ludwika ze spuszczonei oczyma idąc za matką, zatrzymała się na okrzyk nagły wszystkich zakonnice: «Ona będzie naszą, należecć będzie do Boga! Święta Marya od Miłosierdzia wzywa ją do siebie!»

Na to święte imie, które ją całą noc zajmowało, Ludwika zadrżała i obejrzała się z niespokojnością, jakby chcąc się dowiedziecć, coby to znaczyło.

—«Moja siostró! » rzekła przeorysza, «stąpiłaś na *Kamień Powołania*, a to jest nieomylnym znakiem, że przyobleczesz zasłonę.

—«*Kamień Powołania!* » zawołała Ludwika z trwożą, która pobudziła do uśmiechu zakonnice, «*Kamień Powołania?* gdzież on się znajduje?»

—«Pod twemi stopy: bo stoisz na nim.»

Na te słowa, Ludwika rzuciła się w objęcia swej matki.

—«Już jest zapóźno moje dziecie,» odezwie się zakonnica;—«do nas już należysz. Napróžno opierać się będziesz powołaniu, które cię wzywa! napróžno oddasz się złudzeniom światowym! napróžno zam-

kniesz uszy swoje na głos z góry! Musisz przywdziać habit, jak to uczyniła nasza święta siostra; będziesz siostrą Ludwiką od Miłosierdzia. — Siostry, padnijmy na kolana i wnieśmy hymn dziękczynny do Boga, za jego nad tём dziecięciem miłosierdzie!

Wszystkie uklęły, i zaczęły śpiewać chorem hymnu: *Ciebie Boże chwalimy!* a Ludwika blada i drżąca, słuchała go z pokorą.

W kilka dni jednak przestała się trapić: uśmiech zjawił się na jej ustach, i na wspomnienie o kamieniu powołania, wzruszała tylko ramionami. Powodem tego był goniec z Paryża, z listem do jej matki, która z radością przeczytała go córce i doręczyła dyplom, z podpisem Księcia Gastona Orleańskiego, mianujący damą pokojową Henryety Angielskiej, *Ludwikę de la Vallière*.

II.

Roku 1675, w szesnaście lat po owém zdarzeniu, dzień czerwcowy pogodnie świecił nad pięknymi okolicami miasta Tours, gdy innego rodzaju uroczystość, ściągnęła do kościoła Karmelitanek, pobożnych mieszkańców. Mnóstwo ludu napęłniało świątynią, jaśniejącą tysiącami świateł, przyświecającej i wszystkie wnijścia. Uroczysta jednak ci-

chość panowała w tym tłumie, i tylko kiedy-niekie-
dy słyhać było stłumione modlących się westchnie-
nia. Wszystkich oczy i uwaga, zwrócone były ku
wielkiemu ołtarzowi, zawieszonemu wieńcami i ko-
sztownemi opony. Na odgłos organów, jęśliwe pie-
nia za kratą wielkiego choru zakonnice ozwały się,
i podwoiły gorącość modlitwy zgromadzonych po-
bożnych.

Ku końcowi mszy świętej stanął przed ołtarzem,
słynący w całej Francyi cnotami i mądrością chrze-
ściańską arcykapłan. Umilkły pienia, otwały się bo-
czne drzwi od choru zakonnice, i wyszła niewiasta,
cudnej kibici, w białą suknię przybrana, i okryta
białą zasłoną. Oczy wszystkich siły się dojrzyć jęj
oblicze: bo wiedzieli wszyscy o celu uroczystości,
ale się nie domyślali, kto to była owa niewiasta. —
W tym, z tychże samych drzwi, wyszła druga, w czar-
nej axamitnej sukni, a za nią znowu kobiet kilka.
Wielkie sprawiło to zadziwienie: była to bowiem
Henryeta Angielska, Królowa Francyi, *incognito* i
niespodzianie przybywająca na professyą jednej za-
konnicy. Szmer powszechny wszczął się w świątyni
i rozmaite domysły krążyć zaczęły między zgroma-
dzonymi. Nieznajoma ukląkszy przed ołtarzem, mo-
dliła się gorąco, aż nareście, na skinienie biskupa
podniosła się, i zdejmując doczesną zasłonę, uka-
zała obecnym piękną zawsze, lubo już frasunkiem
zasepioną twarz owęj Ludwiki la Vallière, wstępu-

jącej teraz z mocnym postanowieniem do tego klasztoru; który przed szesnastą laty, wydał się jej tak okropnym. Tak, Ludwika la Vallière, później Księżna Vaujour, znękana cierpieniami zawiedzionej miłości i trującymi słodyczami tego świata, rzuciła go stanowczo, umyśliwszy resztę młodego jeszcze życia poświęcić Bogu i błagać miłosierdzia jego, za przewinienia lekkomyślniej młodości i błędy, których się dla miłości dopuściła. Wdzięki, łagodność i szlachetność, jaśniały na jej miłym obliczu, a wzruszenie duszy, malujące się na nim, odezwało się w sercach wszystkich patrzących. Czuła to Królowa mocniej od innych, bo znała bliżej całą godność tej nieszczęśliwej kobiety; obecnością zaś swą, zapewniała pomyślność pokuty tej, której wspaniale zapomniała błędów, oceniając dobroć i rzadkie przymioty. Ludwika, przejęta najżywszym uczuciem wdzięczności, rzuciła się do nóg swojej wielkodusznej pani i opiekunki, a błagając o zapomnienie przeszłości, łzami szczerego żalu skropiła jej stopy. Królowa podnioswszy Ludwikę, przywiodła ją do ołtarza i przyjętą z rąk biskupa czarną zastoną okryła. Ludwika padła na twarz, a świątobliwy pastorz, wzniosłszy dłonie, błogosławił nową oblubienicę Zbawiciela, pod imieniem siostry Ludwiki od Miłosierdzia, i po okryciu całunem, na znak wiecznego rozbratu ze światem, rozpoczął hymn dziękczynny do niebios.

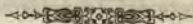
Wymówne jego usta zakończyły pamiętnemi słowy ten tkliwy obrzęd, a gdy się zamykały za nią nazawsze podwoje posepnego klasztoru Karmelitanek, przeorysza ich z radością przypomniała siostrze Ludwice prorocze jej stąpienie na *Kamień Powołania*.

Karol Korwek.





GOSPODARZ I CZELADKA.



Bochane dziecieczki, jeszcze sług nie macie
Same się czeszenie, same ubieracie,
A gdy wam służący pomocy udziela,
To ją przyjmujecie jak od przyjaciela
Bo on wam nie służy, wy mu nie płacie
Grzecznym tylko bywa, kiedy greczne dziecie.
Lecz dziecie dziecięciem niezawsze zostanie.
Z chłopców gospodarze, z dziewcząt będą panie.
Będziecie mieć sługi, bądźcież ich godnie
Pocziwie, łagodnie obchodźcie się z niemi
Bądźcie o nich dbali, tak jak o was matki,
I miejcie na sercu zbawienie czeladki.
Opowiem wam dzieci, jak dawniej bywało,
Z powszechnym pożytkiem, z Pana Boga chwałą.

Gospodarz, jak ojciec — a służy, jak dziatki,
 Razem się zbierali, do jednej komnatki,
 Mówili pacierze, śpiewali piosenki
 Dziękowali Bogu za dar Jego ręki;
 A potem gospodarz czytał słowo Boże,
 Tłumaczył, wyjaśniał, co — to Pan Bóg może;
 Jak on wszystko widzi, jak dobrym być trzeba,
 Jak na urodzaje, deszczyk zsyła z nieba;
 Bez niego i kropla na ziemię nie padnie
 On wszystko na świecie urządził tak ładnie.
 Chwalmy Imię Jego — padli na kolana
 I znowu śpiewali na cześć Panów Pana.
 Przyszła uroczystość, znowu wszyscy razem
 Uklękli pobożnie przed świętym obrazem,
 Znowu się modlili i znowu śpiewali,
 Przykład pobożności z gospodarza brali.
 Był też lud poczciwy, nie ukrzywdził pana,
 Pracował sumiennie do nocy od rana,
 Bo był przekonany, że Bóg widzi z nieba
 I czyny z modłami łączyć potrzeba.
 Dzieteczki kochane, jakże wam się zdaje,
 Czy to nie pobożne dawne obyczaje?
 Od was więc zawisło, wskrzesić je możecie,
 A dobrze, poczciwie znów będzie na świecie.

Stanisław z Dzihowa.



Pan Kaniowski.

POWIEŚĆ.

0.

— **H**ej! wiele już głów, mój podstarości! za-
pytał pan zamku.

— Sto dziewięćdziesiąt! odpowiedział.

— No, to gość dzisiejszy dla waszmości do po-
rachunku! i zakręcił się na nodze pan zamku, i od-
szedł jego podstarości. Panem zamku był Kaniowski,
a wiernym jego podstarościm Zombek.

Słyszeliście o nich w powieściach waszych piastu-
nek, posłuchajcie i mnie, może was zdołam jak one

niegdyś uśpić, a iluż z was snu potrzebuje! W dzieciństwie wystarczyła wam piastunka, kołyska; w młodości, potrzebujecie poety, świata; a w starości by was ukołysać wzywacie spokoju, kominka i łózka. Dobranoc wam. Zaczynam moję powieść.

* * *

Starosta Kaniowski niebył pospolitym człowiekiem, tą mieszaniną zwykłą miłości własnej z innemi moralnemi pierwiastkami, na którą okoliczności wybijają swój odcisk jak na pieniądzu. Nie nosił piętna właściwego wieku, aby mógł służyć za obraz wspomnień: jeżeli chodził w kontuszu i żupanie, to dla tego, iż wówczas wszyscy kontusz i żupan nosili; za nowszych czasów byłby przywdział frak i perukę, szpadkę dworską i kapelusik; ale dla tego Kaniowski nieprzestałby być Kaniowskim.

Natura, w utworze jego była poetą, i wystawiła ideał, za którym biegało pióro Byrona, pędzel Rembranta.

Na czyjej drodze żywota stanęła wola Kaniowskiego, ten już nie miał czasu domówić amen, do modlitwy życia swojego: nie miał czasu pożegnać witające go szczęście. Młodość, zgrzybiałość nie miały słów dla jego uszu: piękność, i litość zgubiła klucz do jego serca. Był on dla ludzi losem, w wyrokach swych fantastycznym, lekkomyślnym, i stałym. Współżyjący nie zrozumieli go, jeden go lud prosty zrozumiał, i śpiewał o nim w pół stracone dunki.

Ale wam trzeba obrazu starosty, tak mocno zakochaliśmy się w obrazach: choroba wieku! nawet poeta musi malować; — rysy czoła zachmurzone, zacięte wargi, wściekle zrzenice: i niedość, wzywacie rytownika, by wam oddał sceny najtkliwsze, powieści, drammatu, jakbyście już tylko oczyma pojmować mogli; dobrze więc, będziecie mieli obraz, skłamany, bom ja nie widział Kaniowskiego, ale przyjmiecie go, bo ileż wam razy skłamała historia, zony, uczucia, a wy im jednak wierzycie. Dobrze ktoś powiedział: *Wiarą żyjemy*, — ja powiem, *żyjemy kłamstwem*. Wiara i kłamstwo, są-to dzisiaj synonima, odcienia, tło wieku.

Czy nie widzieliście kiedy starego wojaka, opowiadającego o swojej dzielności, lub swego regimentarza; w zapale poprawiał pasa, i z wymowną miną zarzucił wyloty na barki? Żałuję was, jeżeli nie widzieliście tego, ale ten giest, ta rubasność kontuszowa, więcej godna byłaby waszego podziwienia zapału, jak wszystkie poruszenia Żołkiewskich na scenie, jak przegadane sny Glińskich, i wieczne ach! mordujących melodram. Owóż do tej rubasności dodajcie wspaniałą, topolową, naddziadów naszych postawę, i rumiane policzki Gamrata, (*) a będziecie mieli obraz starosty, tak dobitny, tak podobny, jak wasze głowy do Tyberyuszów i Syllów, jak Sobie-

(*) Sławna osoba z romansu: „Jan z Tęczyna.”

skiego z gołemi kolanami po-rzymsku pod Wiedniem.

Jeno odcisk duszy starosty, malował się w jego ustach wydatnych, kreolskich: ich ustawiczne drganie, oznaczało wieczną chęć, pragnienie, niepokój, podobne do ust żebraka, nawykłych mruczeć paciérze.

W siwych oczach nie widziałeś życia, ani tego połysku południowym właściwego mieszkańcom: mało uczucia, nie życia: ciągała tylko nieruchomość, tak posepna jak słońce w grudniu. Wąs czarny spoczywał nad wargami, stary towarzysz pasa i wylotów.

Wschodni ubior odziewał wówczas wschodnie uniesienia, serce, i cudnie przystawał do okazałej postawy, staropolskiej wymowy: różnił szlachcica od kmiecia, wojewodę od szlachcica. Dziś, gdy znaczenie, urodzenie, majątek, teraz przesądami ochrzczone, zrównaliśmy, nowym przesądem cywilizacją, słusznie zrzuciliśmy dziadów naszych żupany, i przywdzieliśmy czarne suknie, mimowolną żałobę za umarłym wiekiem godności.

A teraz bliżej was podprowadzę do zamku starosty. Wejdźcie ze mną po tych spuszczonej mostach, do siedziby naszych starych, nie pożałujecie tego. Wprawdzie okna w nim zdadzą się wam za małe, ale też przodkowie nie używali z nich przyjemności widoków. Pod gołym niebem patrzyli w twarz słońca;

nasz księżyc nie był dla nich srebrnym, ale od ich żelaznych skroni odskakiwał stalistym promieniem. Nigdyś nie ujrzał ich w oknie, ale na koniu, nie w wygodnym fotelu, ale w siodle, nie z laseczką w rękę, ale z karabelą u boku. Dla tego piękne damy nie idźcie za mną do komnat Kaniowskiego: nie znajdziecie tam chińskiej porcelany na kominku: z adamaszkowych obić nie wygląda kwiat róży, lub głowa Adonisa: powystrzelane dziury, poopalane frendzle, oto cała ozdoba ciemnych kwadratowych izb, oto gust starosty. Żadnych obrazów na ścianie, tego natłoku bez związku myśli, wyobraźni, wieków: któremi budoary naszych piękności napchane, gdzie obok cierpiącego Zbawiciela, Paganini ze skrzypcami, obok Magdaleny, Katalani, a przy wjeździe do Rzymu Papieża, biust szyderczy Woltera. Jeden tylko obraz bez ram, porzucony na ziemi w najciemniejszym zakątku sypialni Kaniowskiego, leżał, jakby dla przeświadczenia, iż pan zamku znał się na malarstwie.

Był-to obraz młodej dziewicy; czasem na niego zyzem rzucił starosta, i poprawił nogą: snadź zawadzał mu na drodze, a może w myśli, bo coś tajemnie o tym mówiono obrazie, nawet go raz ludzie zamkowi dojrzeli, jak siedząc nad nim.... ale nie wydajmy tajemnicy, bo spostrzeżony starosta, wściekły gniewem, szablą rozwalil głowę słuźalca,

i obraz rozdarł na dwoje. Tylko Zombek, prawa ręka starosty, mógł o nim wiedzieć.

Szerokie dębowe stoły, grubym wyłożone marmurem, zdobiły jeno wewnętrzne gmachy: ich ogrom dobrze się stosował do zastawionych na nich dzbanów, i do tych żyłastych dłoni, w których nieraz gięło się żelazo. Kto wie, czy nieprzewidywali czasem, iż wszystko co lekkie potomkowie ich roztrwonią: srebra, imiona, honor stawiając na kartę; może więc chcieli choć te dębowe powierniki swoje przykuć do zameczysk, aby zawadzały pamiątką wnukom, słabym, niedołącznym, lekkomyślnym.

Kilka karabeli i wierna, jak bryś janczarka, szczekająca ogniem, kulą zębata, tuliły się przy kotarze starosty.

Kaniowski nie miał żony. Udzielny w swej miłości, jak we władzy, rozrzutny w uczuciach, w trzecim krzyżyku przeżył uniesienia swoje i wpadł w ostateczność niecierpienia kobiet. Wszystko wypędził z swojego zamku, co było niewieście, tylko ten obraz rozdarty dostał prawa walania się w zakątkach komnaty, jak na czaszce starca wała się uśmiech, który kiedyś piękne obudziło oko.

* * *

Po sypialnej komnacie przechadzał się posuwistym krokiem starosta, i ranne mrucał godzinki: chrzęst

mięsistej piersi, pobożną uderzoną pięścią, przerywał słowa modlitwy, i znów znak krzyża nowe zapowiadał pacierze.

Już daleko słońce wstąpiło na niebo, ciekawie zaglądając w okna zamku. W rogu komnaty stało poręczne krzesło: odsunął je Kaniowski, i dotknął palcem obicia: ukryte drzwi pod adamaszkiem odskoczyły, i małe światelko bocznej sali wyjrzało drzwiami.

Wtém pół-dzienném schronieniu, opatrzoném w górze małym okienkiem, zaczęło się coś poruszać, zrazu zdaleka, niewidomie, cicho, jakby bosą nogą; potem widocznie rosła i zbliżała się ta postać; nakoniec gdy postąpiła ku środkowi komnaty i padł na nią promień słońca z górnego okna, ukazała się wysoka, czarna osoba, i jakiś niezrozumiały bełkot, głośnym «cicho!» starosty stłumiony, usnął w jej piersiach. Czy to był tej postaci, czy chrzest czarnego atlasu, który jej członki obwijał, trudno pojąć: bo nie ludzkiego w tym głosie nie było: znikł tak rychło, jak krok którym się posuwała.

Starosta na środku drzwi skrytych, z wzniesioną ręką z modłami w ustach, obłany światłem dziennym, nakrańcu komnaty i cienia sali, wydawał się jak ów Archanioł, odpędzający szatana: a przeciwnej strony, stulona w kącie osoba, odepchnięta wyrazem starosty, na ciemnym tle, ciemniejsza odzieniem, wyglądała jak myśl ojcobójstwa w głowie zbrodniarza: jak plama na czarnej sukni.



Na dziedzińcu zahuczał turkot kolasy: śpieszniej uskoczyły drzwi pod adamaszek: i drugi raz zahuczał dziedziniec: już krzesło stało na swém miejscu. Kaniowski musnął się po szpakowatej głowie, podleciały wgórę wyloty, głośnie *Amen* zakończyło modły. Szmer w bliskich powstawał komnatach: wyszedł Kaniowski na powitanie gości. Już się krzątał Zombek, i z ukosa rzucił po staroście.

Gdy wszedł po jałmużnie kwestarz, rozśmiał się Kaniowski serdecznie, i spojrzał na podstarościego.

Gdy wszedł żyd, po dług należny, ze śmiechu łąza się Kaniowskiemu powlekła.

A za nimi, po chwili, weszła młoda para, mężczyzna w kwiecie wieku, dziewica pierwszej wiosny: niedawne śluby wskazywał rumieniec, i wpół okrągle łono kochanki, matki, i ucałowali Kaniowskiego rękę.

Teraz nie rozśmiał się starosta, a łąza po pierwszym pozostała śmiechu, tak gorzko przywarła do powieki, że ją rozpalone oko pożarło.

— «No! to gość dzisiejszy» powtórzył z uśmiechem Zombek, i zwinął się do przybocznej sali.

Po chwili, most zwodzony, na łańcuchach, zatrzasnął.

Nie było rozmów w Kaniowskiego zamku, bo goście jak gospodarz, a gospodarz milczał posepnie jak jego wieżyce. Nie było tych pytań serdecznych bez serca: «jak się miéwasz?» «jak ci się powodzi?» Inne czasy, inne zwyczaje: brat brata pytał: «a skądże ta krysa na łbie?» a teść zięcia: «iluś panów braci obciesał.» Żelazne czasy, a jednak je rdza zjadła: wyraziste czyny, a jednak o nich zapomnieli wnukowie.

Skinął starosta, i młoda para siadła obok niego: kwestarz zasunął się w kącie: a naprzeciw niego, tuż przy podwojach, wierzyciel żydek. Dwa wyznania, i dwa cele odmienne, jakby w obrazie filozofa, wystąpiły na scenę, kwestarz i żyd: ten za jałmużną, ów za zyskiem: sługa Boży, i zwolennik Abrahama: sakwy na chleb i trzos, a jeden cel: — wziętek, jeden widok, — przyszłość, na krańcach jednej komnaty, jak dwie ostateczności na granicy życia, zesli się z sobą. Było czém rozechmurzyć czoło starosty i wywołać śmiech z gardła.

Zaśmiał się starosta, a jeszcze szczerzej zaśmiała się młoda para; oni rozumieli lepiej powód śmiechu; bo na drodze życia szukali się wzajemnie, aby uniknąć tych sprzecznych ostateczności: chciwość i fanatyzmu, i znaleźli się w nowym celu, bycie, chęci,

tak szczęśliwi, że im z tych dwóch obrazów żaden cień nie padł na serce: więc mogli się śmiać szczerze, i śmieli się: ale starosta śmiał się głębiej; on widział w tych dwóch obrazach dramat, a może w tej chwili koniec jego dorabiał.

Radość zadowolenia błysnęła na czole kwestarza bo ten śmiech, zwiastował mu hojną jałmużnę: i lichwiarz zdjął mykę, i twarz nastroił weselszą; jemu zdało się słyszeć brzęk dukatów. Tak każdy roił sobie nadzieje, jak my szczęśliwi, kiedy nam po burzy słońce zawita; kochanka ścisnie za rękę, lub konającemu lekarz obiecuje długie życie. Biedni ludzie! słońce zajść musi, kochanka porzuci, a konający umrze!

Ale ta niema scena trwała długo, bo każdy miał powód milczenia, uważania: nastąpiła w tém towarzystwie ciągła rozmowa myśli. Starosta patrzył na młodą parę, i przypomniał sobie wypadek, który mógłby i jego stan odmienić, i on byłby w tej chwili siedział obok takiej żony: i w milczeniu powtarzała mu się dawna rozmowa, dawny zamek, jednak inny od tego, w którym teraz zostawał. Piękna pani jego podniosła się z krzesła, i wyszła naprzeciw staroście. Niedługo dłoń w dłoni, oko utonęło w oku. Wyszli na krużganek; wiatr owiał spoczone czoło starosty: piękna pani wrzekomo chroniąc się, przytuliła się do jego piersi.

—Ogień! zawołał Starosta.

—Zimno mi! odrzekła pani zamku, ale niedługo wyrwała się z jego objęcia.

—Więc się urażasz, obraziłem cię pani.

—O nie!

—Chcę dowodu.

Pocałunek zginął między niemi; szukali drugiego, i ten uleciał, trzeba było wiecznie trzymać go na ustach.

Westchnienie wydarło się z szerokich piersi Kaniowskiego, i znalazło echo w duszy pięknej przyjaciółki. Wiatr zdał się świszcząć w uszach starosty, a jednak drzewa były spokojne.

—Wejźdźmy do komnat, — i już ich nie było w krużganku.

* * *

Długo czekał koń Kaniowskiego. Szron był na siodle; z rankiem ujrzały go wieżyce, kilka nocy oczekiwał go Zombek: już potem spokojnie spał podstarości, sam, w samotnym zamku pana swego.

Znów mrok zapadał, u starosty nie było dnia w życiu; ten sam księżyc, taż noc, i ten sam krużganek.

—Pójdźmy stąd — mówiła głosem czułym — tam nam lepiej będzie.

Błada lampa paliła się w komnacie tak ciemno, jakby żądanie swojej zgadywała pani. Szmer lekki zabłąkał się w boeznej komnacie.

— Ah! to on! ze drzeniem wyjęła niewiasta, i osłoniła pierś białą.

— Kto, on! przerwał starosta, i jaśniej jak lampa zaświeciły mu oczy.

Nastąpiła długa rozmowa, tajna jak spisek nocny; grzmiał w niej przez chwilę gruby głos starosty, potem miękka niewieścia mowa, a potem ustały głosy: lekki krzyk, zachrobotła kotara, lampa zgasła, księżyc wejrzał do kotary, ale niewiasta już sama jedna siedziała na łożu, w dłoni zatopiła białe lica, myślała, chciała wznieść oczy ku lampie i zadrżała, twarz księżycy padła na nią, ona w niej inną twarz widziała.

W tej chwili dumania swego starosta, rzucił okiem na młodą mężatkę; w rysach jej twarzy zdało mu się widzieć ową panią zamku, ten sam wdzięk, młodość, nawet ten rumieniec, co po owej nocy zgasł razem z lampą, którego już księżyc nie ujrzał.

I nastąpiła w myśli starosty noc jeszcze jedna, pełniejsza w wypadki a może czarniejsza. Teraz już koń Kaniowskiego nie stał przed krużgankiem; na krużganku nikt nie czekał na niego. W komnatach dotąd pustych i ciemnych błyszczwały acz rzadkie światła; za każdym krokiem starosty gasło światło, a przybywał gość do komnaty, i świecił w kącie zbroją. Już w trzeciej izbie gasło światło, a cicho było w zamku i niemo; tylko w sypialni zwyczajna mrugała lampa. Drzwi uchylone dawały widzieć Ka-

niowskiemu kotarę; na niej rosły męczyzna czekał na panią zamku; ona zdejmowała opięcia; czarny atlas już odpadł od śnieżnej bielizny; przepaskę drżąca odpinała ręka: snąć wzruszenie lub bojaźń, płatały nią tak długo. I przepaska odpadła; miękki puch osunął się pod śnieżną stopą, zachrobotła kotara, i przeciągły pocałunek rozległ się po sypialni. Nagle zagąstała lampa, ale dała widzieć wpierv groźne oblicze starosty. Coś uskoczyło z pościeli; krzyk męzki zmieniony w jęki, zakończył się śmiertelnym chrapem. Szybkie kroki odbiły się kilkakrotnie o podłogę sypialni, przebiegły po komnatach: spokojni goście stalowi opuszczali swe kąty, lecz w każdej komnacie zatrzeszczały rąbane stoły i krzesła, trochę krwi i kilka trupów zostało w zamku.

Tęj nocy, wcześnięj wrócił Kaniowski do swojej siedziby, nie sam. Zombek czekał na niego, a przy nim mnich odmawiał pacierze; na stole stał krucyfix. Wszedł starosta do sali; coś na ucho szepnął Zombkowi; ten pobiegł do bocznej komnaty i zatrzasł rygle. Kaniowski oparł się o okno i patrzył w nie długo, posepnie; coś zajęczało w przybocznej sali, słyhać było szamotanie się i coraz mocniejsze krzyki. Odwrócił się starosta od okna, zatarł ręce i fuknął na mnicha.

— Juź niepotrzebnyś księżę! klękaj przed Bogiem i módl się za umarłą i żywą.

Posunął się ku krucyfixowi mnich, klął i modlił

się głośno; ciągłe jęki towarzyszyły modlitwie kapłana, lecz coraz dalej niknęły, bo snąc przenoszono ofiarę głębiej na zamek.

W kilka dni smutna wieść okolicę trapiła. Rabusie mieli napaść zamek W*, zabili pana w łóżu, pani ciało gdzieś z sobą uwieźli, porabiali stoły, wymordowali służbę, a co szczególna, nie nie zabrali złodzieje; uważali tylko, że obraz młodej pani zginął z sypialnej komnaty.

Starosta śmiał się z tej wieści, długo jej niewierzył a może i w tej chwili niewierzył, gdyż ten sam uśmiech osiadł i teraz na jego twarzy, i tylko go Zombek, wchodząc do sali, przerwał donośnym głosem:

«Panie starosto Kaniowski, już zastawiono stoły.»

Zerwał się z dumania starosta, podał młodej niewieście rękę, i wszyscy za nim wyszli do jadalni.

A skoro Zombek postrzegł ciągnącego pana i gości do stołu, zawrócił się szybko do zamkowej sypialni, idąc ukradkiem, obejrzał się kilka razy, (snąc nie chciał być widzianym,) odsunął poręczne krzesło, co kryło drzwi tajne, zapukał nieznacznie w adamaszek, przycisnął sprężynę, coś w pół cicho do tajemnej przemówił postaci, i znikł tak rychło, że nie zasunął krzesła i sprężyny nie spuścił, może i niechciał spuścić.

Zasiedli goście przy dębowym stole, rażno, o-
choczo, wesoło; jak pijak do butelki, jak gracz do
kart, jak żołnierz na konia, naprzeciw starosty, jed-

no nakrycie niezajętym zostało, i nie pierwszy to raz goście próżnym je widzieli, i nieraz we wrzasku uczty, podchmielony Kaniowski, pił zdrowie nieobecnego gościa, bełkocąc doń niewyraźnym językiem. Zaczęto obiad, ruszono dzbany, z wielkiem zadowoleniem kwestarza, któremu zupa wielkie zrobiła pragnienie. Nic nieprzerwało cichości pożywających, a jednak ktoś przybył do sali; nie rozwarły się drzwi, a przecież mignęła się po za starostą postać, czarna, dzika, niezwykajna, szła prosto do przygotowanego miejsca i stanęła naprzeciw starosty. Kaniowski odwrócił się od niej, (snać nie chciał jej widzieć) jednak się nie zmięszał; wszyscy w nią wlepili oczy. Był-to stary obraz nie starej osoby, żadnej namiętności, żadnej żyły ściągniętej na tej twarzy żółkłej, a jednak gładkiej; jej ruch był niedołączny, rozwlekły, jak stuletniego starca, a patrzyła oczami dwudziestoletniej dziewczyny, usta zacięte, zapadłe, włosy zbyt długie, by mogły męzko spadać, zbyt krótkie aby je grzebień trzymał, szerokie, fałdziste spodnie z atlasu, i takiż wązki czarny kftanik, zapadał się na piersiach, a za każdym odechnieniem coraz głębiej kłęsnął, jak gdyby jedynym przykryciem wnętrza tej istoty, miasto skóry i ciała; siadła przy stole; tak myśl śmierci obsiada łoże chorego,—goście opuścili widelce. Wzrok tego widma padł na młodą twarz dziewicy, i już się nie oderwał więcęj. Czyliż uczucie piękności i na tej

upośledzonej istocie działało podziwieniem? i obudziło zapal, ciekawość, żądze? Byłóż-to stworzenie, czy automat? człowiek, czy kobieta? — nie wiem pewnie; ale wlepiło oczy w dziewicę, (snac nie znało utworu piękności) więc nie było kobietą; tak nam się domyślać każe jej postać i ubior, i tak się domyślali biesiadnicy starosty, ale nie tak spokojnie, bo żyd drżał ciągle, a żegnał się kwestarz: zaiste było czego drżec i żegnać się.

Młoda dziewczica zrazu przelekłe odwróciła oczy, lecz zwolna ciekawość czy litość, zwróciły je na widmo, i ten strach ciekawy, z jakim nasze damy, patrzą na wystawę tragedyi, na skoki szczwalni i zwierzęta menażeryi, objął na-poły struchlałą piękność. Stuliła się do męża, przy którym siedziała, jak dzika kaczka pod krzak błotnisty, a wzrok jej biegał po nieznanym.

Musiła gniewać ta scena starostę, bo kilka razy sierdzistym wzrokiem rzucił na podstarościego; ale Zombek nic nie uważał, utonął w talerzu, i na-wpół nad nim schylony dogryzał spokojnie barana.

Nagle powstało straszydło, ciągle z okiem na młodą mężatkę zwróconem, jakby chciało na nią skoczyć. — Precz, precz, krzyknął doń starosta i silne ramię zaokrąglił w obronie dziewczicy; zerwali się wszyscy od stołu, nieporuszyło się w pół podniesione widmo, ale tym przeraźliwiej krzywiło twarz.

—Czego się patrzysz, ty mała, ofuknał młodą dziewicę Kaniowski; wiesz co on znaczy, śmierć? kto w niego oczy wlepi, śmierć! tyś w niego patrzyła, wyście patrzyli — śmierć wam, śmierć! — wygrałeś Zombek.

Na ten wybuch starosty, przerażeni biesiadnicy struchleli. Czarne widziadło zawarkotało bełkotem, poskoczyło ku niewieście, zamgliło oczami, i wyraźny krzyk kukułki z gardła potworu usłyszeli goście.

— Hej Zombek, precz z kukułką, lub sam kukać będziesz wisielcze.

Porwał się Zombek; już nieznanego niebyło w sali.



...Taka woła mojego pana, — kończył Zombek, ja wam będę Dyrektorem, wam grać... I sala zamku zamieniła się na widownię, starosta na widza, ofiary jego na aktorów. Posłuchajmy sceny, w której nadziei przyjdzie walczyć z losem, z koniecznością, z żalem i z tém wszystkim, co może przejść przez myśl ludziom, skazanym za godzinę kończyć życie, ledwo poczęte. Zasiadł starosta i zaczął się ostatni kilku żyć Dyalog.

KWESTARZ i ŻYD.

KWESTARZ.

W celi mojej jest obrazek na którym Chrystus rozpięty; Nielitowało się nad Nim żydostwo; w głowie mojej jest myśl, na której dusza rozpięta, nie polituje nikt mego nieszczęścia?

ŻYD.

W moim kufrze jest dukat, któregoś jeszcze nie dotknął ręką, na pocziwość ważny; otóż takich dukatów sto, i jeszcze sto, i jeszcze choćby sto, zaoferuję, panie starosto! Łaskawe publikum!

KWESTARZ.

Klasztor mój ubogi, czeka mego powrotu z sakwami jałmużny; ołtarz mój biały, czeka mnie z patyną i stulą, czegoż się doczeka klasztor i ołtarz?

ŻYD.

A moja Rebeka, także mnie czeka; a mówiła, wracaj prędko, trzeba robić na dzieci. A Bóg Abrahomowi obiecał, że nas będzie jak piasku w pustyni; a zrodziło się nam jak piasku; mam ci ich ośmioro, a wszyscy pana starostę kochają, szacują; a kiedyś odjeżdżał, a mówił, iż jadę do pana starosty, toć mi kazali klaniać a całować mu stopy od siebie.

Ja kłaniam za nich, całuję stopy za nich, wielki panie, nie dasz-że, abym się im od ciebie odkłonił.

KWESTARZ.

Dwa dzwony są w moim zakonie, jeden dzwoni na modlitwę, drugi umarłym na pogrzeb; a na wrotach naszego cmentarza stoi napis: *dziś mnie jutro tobie!* Daj mi wrócić do braci, będę za ciebie długo, codziennie bił we dzwón pierwszy, i codziennie modlitwę zmówię, choćbyś miał grzechy Kaina, modlitwą moją i Kaina wybawię.

ŻYD.

Dwie są myśli w mojej wschodniej wierze: jedna w hymnie podzięki, druga w hymnie przeklęstwa. A na czole naszym w modłach kładziemy wielkie słowo, którym Izrael poczyna hymn pierwszy. Panie starosto! jai dzieci moje, i potomstwo, i wnuki potomstwa mego, jakąż chcesz abyśmy dla ciebie hymn poczeli? a pięknieby było obok imienia Stworzyciela, drugim błyszczyć imieniem — Zbawcy!

KWESTARZ.

Kiedys przystąpisz do Pańskiego stołu, odepchnie cię od niego Bóg wielki, jeśli nie zaznasz zmiłowania nad nami; uschnie ręka temu, kto ją podniósł, aby odepchnąć brata od braci, zakonnika od ołtarza, ojców od dzieci. I cóżeśmy ci winni? azali żeś-

my żądali tego, co ci ze zbytku od gęby odpadało? to nasza własność, Bóg nam przeznaczył ją na strawę.

ŻYD.

A cóżem winien, że upominam się o to, co moje; ojciec dał mi to pod błogosławieństwem, co pod błogosławieństwem wziął od dziada, dziad od pradziada. Nie rozbijałem sąsiadów po drodze, abym się cudzém panoszył, swojego, Bóg ojców świadkiem! swojemu żądał. Ja teraz w nędzy, dzieci me w ubóstwie. Tobiem, panie starosto, powierzył część największą mego bogactwa, obiecałeś przechować i powrócić; bo dwóch przyszło mi złodziei, jeden uwiódł córkę jedyną, i powiedział do niej pójdź za mną, a ona z posagiem poszła na niewolnicę; drugi mi wziął syna w niemocy, a syn został u niego na przepadłe, a tyś mi resztę pieniędzy dzieci moich zagarnął, teraz, gdy się upominam, więzisz i śmierć chcesz zadać, i dzieciom moim gotujesz tułactwo. Od progu do progu z Rebeką matką przyjdzie im wyciągać rękę, jak gdyby ojców nie mieli.

KWESTARZ.

Nie! z głowy mojej włos nie spadnie, bez wiedzy Boga, a jeśli taka Jego święta wola!....

ŻYD.

Boże Abrahamów!...

A w tym z cicha odsunęły się drzwi skryte w ścianie, i weszła owa nieznajoma postać, i wydała głos, kukanie: — poznali ten głos, — on przy stole zapowiedział im śmierć. — Wasz los, odkrzyknął starosta.

KWESTARZ.

To zginę, ale kiedyś zmartwychwstanę!

ŻYD.

A moje dzieci się pomszczą.

(Widmo znikło).

KWESTARZ, ŻYD i MŁODA PARA.

KLARA.

O Bolesławie, ratuj! — O starosto, lituj się!

BOLESŁAW.

Sprawiedliwości nie litowania, żądam od ciebie, Kaniowski! chwilowa żądza twoja, nie może stanąć młodym życiom na zawadzie, bo i dla czegoż ma stanąć? że ty chcesz! kiedy my nie chcemy! kiedy to, cośmy wzięli od natury, powietrze, byt, sama natura ma tylko prawo nam ustąpić. Spra-

wiedliwości, starosto!... jeżeli twój wyrok jest igraszką, przestań! tam się żart kończy, gdzie się ból poczyna; jeżeli zaś w rozbójniczej polubiłeś myśli, i ona tak ci potrzebna do życia, jak nam myśl nadziei, to czekaj! wywołujesz nam ostatek sił zwierzęcych z piersi, zniemi tocz walkę, chcąc się o życie kusić. Każda myśl, w naszej obronie rzucona, będzie dla ciebie cegłą, nożem, sztyletem, i póty niemi rzucać nam przyjdzie, póki do - wpeł przysypany, nie staniesz bezwładnym w woli twojej, nie ruszysz nogą z miejsca; w ówczas, bij, morduj, obok siebie, co zatniesz mieczem, to w cegłę, która cię uszkodziła, a której ty nie uszkodzisz. Przeklinaj! tratuj nas; gorszym będzie dla ciebie przekleństwo, niż sztylet. Choćbyś wtedy litości użył, my na twą litość pokażem zęby. Teraz czas! ty, z mocą, którą masz; my, z mocą, którą mieć możemy stoim w szrankach. Spuszczaj mosty, możesz wyjść cało z tej walki; a przynajmniej w duszy naszej, prócz wstrętu, nic inszego dla ciebie się nie zbudzi.

KLARA.

O panie, nawet i wstręt zaginie, dobrym uczynkiem zmazany. Mamżeli taic, starosto! czuję się być matką; tyś się mną opiekował dawniej; ja w tej myśli pośpieszyłam do zamku twego, aby podzielić z tobą wiadomość pierwszej rozkoszy młodego serca. Daj mi jej doczekać! to jedyna nagroda życia kobiet.

BOLESŁAW.

Nie, ja w jego oczach czytam, tam nie ma litości! czy zawierzycie mi, żem ja o jego dawnych powątpiewał okrucieństwach, jak o bajkach piastunek. Xiężę jam go miał za chrześcijanina, a teraz może kosztem życia, poznałem cię, odgadłem imię, jakie ci przyszłość nada, troisty zbójco! wiary, nadziei i miłości.

KWESTARZ.

Więc ty nie masz wiary? starosto!

ŻYD.

Więc dla nas nie ma nadziei? starosto!

KLARA.

. I miłość nie znajduje u ciebie względu!

BOLESŁAW.

Co pytacie kamienia; jemu jedno, czy on na grobie, czy sam się wała, czy też siedzibę podpięra.

KWESTARZ.

Ale tyś nie cały kamieniem, Kaniowski! ty masz duszę, kiedy wnię śmierć zakołacze, jak w próżnej izbie klasztornej, odezwie się w niej chór tysiąca

głosów, a każdy cię oskarży przed Bogiem, a każdy będzie wysłuchany, bo cierpiał przez ciebie.

ŻYD.

Ale ty masz pamięć, starosto! przypomni się tobie każde słowo prośby mojej, każdy płacz dzieci moich i każde przekleństwo Rebeki, ich matki; między dniem a nocą chwili nie będzie, coby ci o nich nie gadała.

KLARA.

Ty masz serce, starosto! w niém żyć musiała jaka istota dla ciebie droga, droższa od innych; nosiłaś jej obraz w duszy, jak ja mego dziecięcia. Do niego wyciągam ręce, klękam ze łzami, a gdybym mogła, tobym i łzami gadała do ciebie, daruj nam, daruj życie!

BOLESŁAW.

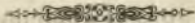
Nędzniku! dość tej drammy, dość tej zabawy dla ciebie; oto nasze tajemne myśli wywołałeś na widownię zaklęciem swoim. Każdy językiem charakteru swego błaznował ci, błagając o to, co było i jest jego własnością. Chciałeś śmieszności? możeż być większa śmieszność nad takie położenie? Chciałeś okropności? patrz! życie w widoku, Klara w nadziei, Żyd-ojciec, na drodze zarobku dla dzieci, kwestarz-wiara, na drodze żebraniny. Oto obrazy

któreś dla siebie przygotował, aby się nasycić wrażeniem okropności. Ale, starosto, ty nie wiesz jeszcze końca tej drammy! nie czujesz, ile sił zostaje młodemu sercu do strawienia siebie w nagłym przejściu z życia do śmierci. Tyś jedną stronę widział swoich obrazów: prośbę i łzy! drugą stronę ja ci odkryję, ja ci pokażę, abyś miał całe, pełne wyobrażenie okropności. . . .

—Lub ja! odrzyknął starosta, i ręką dał znak Zombkowi. Rozwarły się drzwi poboczne, a owe widmo po-raz trzeci stanęło przed ich oczyma, ale tą razą weselsze, skoczniejsze, przebiega widownię, potrąca żyda, całuje wrękę kwestarza, na czole Bolesława zawiesiło usta i pobiegło ku młodej mężatce; chwytając ją za rękę, w pół, Klara zemdląła w jej objęciach, i krzyk jakiś niezwyčajny, jak płacz dziecka z drugiego pokoju, rozległ się głośno.

—Co-to? pytał starosta, i włosy mu się zjeżyły na głowie.

—I ty się pytasz co to; jęknął Bolesław, słuchaj tego głosu, to ostatnia nasza zapłakała nadzieja — i chwycił zębami rękę Kaniowskiego, aż krew zalała zsiniałe usta młodzieńca.



Zombek dużemi krokami mierzy pokój zamkowy, którego drzwi wychodzą do ciemnej sali, kukułką

zwanęj; w niej okna zawieszono czarnym sukniem, nie puszczają światła i widoku, lubo widok stamtąd byłby zachwycający, bo w kształcie baniastym wychyla się ta sala w ogród, i jak kaplica ocienia się rozłożystymi drzewy: nateraz wszystkich pomieściła gości, a jednak w niej cicho, spokojnie, tylko zasłychać lekkie stukanie, jak gdyby ktoś zamków od fuzyj próbował. Zombek ciągle się kręci w przybożnej komnacie i mruży w pół z cicha do siebie: «Dobra panie starosto, dobra strzelba, lepsza zwierzyna: i nadśluchuje znowu ciekawie najmniejszego szelestu w tej sali. Nie-raz puści oko przez dziurkę od klucza, ale nie nie zajrzy, bo tam jak w nocy.

W tym—kuku!.... słychać trzęsący głos żyda, w najdalszym rogu komnaty, po nim wystrzał i ciężkie upadnięcie ciała na posadzkę.

— To zapłata, zawołał Zombek, i na palcu wskazał *jeden*.

—Kuku!—głos grubszy zakonnika; znów wystrzał.

—To wiara, mruknął Zombek i palcem znaczy *dwa*.

A potem w końcu cicho zaszczębiotane, «Kuku!» głos niewieści i wystrzał.

— To posag, zawył podstarości i palcem....

Nie dokończył trzeciej ofiary, bo coś mocno zachrobotło w sali; głosem stłumionym Kaniowski wołał na niego. Wpada Zombek, leci na-oslep, coś mu się wije pod nogą, zawadza i pada na ziemię: coś natrafił ręką w upadku,—to broń — strzeliła, a

przy jej chwilowem blasku, widzi starostę stłoczonego w zgięciach Bolesława, obie ręce młodzieńca związały się koło szyi Kaniowskiego; kolanami bębnił w szeroką pierś pana zamku; chwila jeszcze, a sam Kaniowski może zakuka.

Zerwał się Zombek nogami i głosem. Służba dworska zabłysła pochodnią; starosta ocalał, ale czy na długo? o! uściski Bolesława były śmiertelne, czuł starosta w swych barkach jak mu się rwały żyły. Niedaj Boże wyjść staroście! na co nam Kaniowskich na świecie!

* * *

Co wam pisać, co wam się przyda rozdrabniać szczegóły rozpaczającego serca! Na-co pisać, myśleć, kiedy całą zasadą życia człowieka jest, używać! więc używajcie, choć was fizyczność znudzi, choć was moralne uczucia zmęczą.— Używajcie próżne to pismo, z którego żaden czyn nie urośnie, próżne słowa, kiedy ich czyn nie poprze. A jednak zacząłem wam tę powieść, jak mi się śniła, jak wpadła do głowy, muszę i skończyć, żebyście przynajmniej, jeżeli mnie weźmiecie za waryata, to za skończonego waryata wzięli.

* * *

Otóż, od ostatniej sceny w kukułce, trzy dni upłynęło w zamku spokojnie. Starosta co-dzień w sypialni

jak zwykle, wstawał, kładł się i modlił, a przed nim na stole leżał wielki klucz od ciemnej sali; trupy w niej nieruszone, a wśród nich Bolesław, żywy, nieosiękły jeszcze z krwi Kaniowskiego, siedział, bez spoczynku, bez chleba, bez wody. Trzy dni głodu i trzy dni katuszy miało rozdzierać to serce, któremu ostatnią rozpaczą chciał w jednej chwili młodzieniec śmierć zadać. Nadeszła śmierć, ale wolna, kona-jąca, każda siła rwała się po jednemu, jak struna, pierwiej przeciągle zabręczawszy w całym jestestwie Bolesława. Już rozum, wola i moc fizyczna zasnęły w nim, i zostawiły mu na straży: w oczach połysk gorączkowego spójrzenia, pod głową jego trup Klary słoczony, widać ciśnięty dawniej z uczuciem do łona, walał się teraz rozrzucony, zapomniany. Ręce zetkane w gębę, znać chciały nie wpuścić nowego gościa do jego wnętrzy, ale głód nieczekał tych drzwi, scisnął mu boki i piersi. Tak czekał Bolesław swego losu; wtym wchodzi jakaś postać ku niemu: biała szata, to ubiór jego Klary; wstać nie mógł, ale ręce odpadły mu od gęby i cichym głosem woła do niej: tu, jeść; te dwa słowa jeszcze mu zostały z całego skarbu uczuć! Biała postać idzie ku niemu, poprawiła z ukosa sukno u okna; widniej trochę; zobaczyła młodzieńca i onją zobaczył: to twarz Klary, jego żony. Ona żyje, ona... chciał dalej powlec oczyma, chciał sobie przypomnieć, ale daremnie, zeszłał jej głowy podnieść nie

może. Postać ściągnęła ku niemu dłonie, i klęka, on ją chwyta za ręce, szuka w nich jak dziecię, nie ma, ni kęsa chleba; — jak dziecię drze się jej do piersi.

Wtym zabłysła komnata jarzącemi główkami, wchodzi Kaniowski z czeredą: postać biała rozpięta swe łono, dwie rany; dwa miejsca próżne w miejscu piersi, ale tak próżne, że do środka przejrzyć można i bicie pod lewem widać serca.

Przestraszony Bolesław, spojrzął przy świetle jaśniej w twarz téj Klary; to — widmo! zawrzał z przerażeniem.

— To matka twój Klary, odrzekł starosta i huknął kulą w piersi Bolesława.

Widmo zatrzęsło się z przestachu, bo koło jej łona przeleciała kula, rzuciło okiem w starosty oko, spuściło głowę, i jak bryś wierny wróciło mu do kolan. Nieszczęśliwa, już dawno zagasło w niej światło rozumu.

— A teraz, wiele głów mój podstarości, zagadnął pan zamku.

— Okrągło, — poszepnął Zombek.

— Więc już nie brakuje?

A w rogu komnaty echo odkrzyknęło: «Brakuje Kaniowskiego głowy!....»

Odskoczyli wszyscy; domownikom z rąk powypadały pochodnie.

—Kto-to woła, kto woła! piniąc się złością krzyczy pan zamku, i wyrwawszy pochodnią z rąk służby, leci z nią w róg sali; patrzy: żyd bez duszy leży twarzą do ziemi; na kolanach zgięty kwestarz, oczyma szklanemi świecił w twarz staroście, ale strzał padł mu prosto w serce i wywiódł z niego wstęgę krwistą, zaschłą. Kwestarz nie mógł zawołać: «brakuje Kaniowskiego głowy.»

A jednak ten sam głos powtórzył się znowu w bocznej komnacie zamku. Kaniowski goni za nim, głos ucieka do trzeciej; Kaniowski za nim, głos w jadalni; Kaniowski wpadł do jadalni.

Słudzy pozostali w miejscu przerażeni tajemnicą głosu. Zombek zdrętwiały słyszy głos coraz dalszy i coraz dalsze trzaskanie drzwiami starosty. Za chwilę ścichło; Kaniowski nie wraca. Druga chwila dłuższa, przeciąglejsza — nie wraca. Zegar na zamku bił pierwszą z północy, a z nią krzyk mocny przebiegł zamkowe ściany; zabrzękły szyby.

Jezus, Marya! krzyczy Zombek, i w ślady za panem rozbieżała się służba; —nie ma go w sali, nie ma go w jadalni; aż w sypialnej komnacie na progu głowa Kaniowskiego; na łożu ciało bez duszy z naleźli.

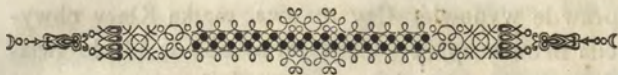


Jam to pisał z powieści ludu. Kto zabił Kaniowskiego? lud mówi że djabli! a lud najczęściej

prawdę wypowie. Czy to owa matka Klary chy-
ciła broń rozpaczy, kiedy jej na chwilę błysło świa-
tło rozumu, czy los, czy samobójstwo, czy przy-
padek... bądź co-bądź, dosyć, że jest ręka, co
prędzěj czy późnziej chytya miecz pomsty w ofiar
obronie!

W. Magunzewski.





Piosuka Turcka.

Z BYRONA.



Dałem ci złoty łańcuch wykuty misternie,—
Dałem lutnię miłemi budzącą cię głosy,—
Dałem to serce co cię kochało tak wiernie,
Patrzaj, na jakie teraz wszystko zeszło losy.

Moc łańcucha mojego wieki by przetrwała :
Nie mógł tylko wytrzymać tknięcia obcej ręki ;
I lutnia była dźwięczną, pókiś nie myślała
Ze i pod inną dłonią równe wyda dźwięki.

Ten więc, który mój łańcuch z twój szyi zdejmował,
 I zdejmując rozsypał skruszone ogniwa;
 Który chcąc grać na lutni stróny jej pozrywał,
 Niech lutnią nawiązuje, niech łańcuch skowywa.

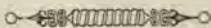
Zmieniłaś się i one zmieniły swe cnoty:
 Pękł łańcuch, milczy lutnia słodko dotąd brzmiąca.
 Stało się — więc was żegnam przemienne istoty,
 Złe serce, mdły łańcuchu i lutnio milcząca.

Maxol z H.....





O POEZJI HEBRAJSKIĘJ.



Jeżeli pierwszą ozdobą umysłowego téj ziemi świata jest kraj poezji, pierwszą dumą w tym kraju, naczelną gwiazdą na niebiosach jego, jest pieśń Hebrajska.

Lud ziemski, jako ziemski człowiek, żyje ciałem i żyje duszą; ciałem igra, w proch zmienia, i żadną mu pamiątką nie będzie, ale w utworach ducha skupi, określi swój obraz i pozostawi następcom. Naród Hebrajski odbił się w śpiewach swoich Proroków.

Naród ten, pośród narodów pierwszy, wybrany i powołany od Boga, na wielkie przeznaczenia wska-

zany, z Bogiem bezpośrednio mówiący, według Jego przykazania żyjący, odznaczył śpiew swój między śpiewami ludów, i w odzielne przybrał go cechy. W całym skarbie jego poezyj, nie znajdujemy ani zalotnych śpiewków, ani scenicznych malowań, ani żartobliwych obrazów. Przeznaczenie człowieka i duch, niebo i świat, wiara, przykazania i Bóg, były zawsze jedyną treścią jego natchnienia.

Śpiewając w chwale, śpiewał pokorę i bojaźń; śpiewając w burzach, śpiewał otuchę, moc Pańską; w niewolę Babilonu oddany, przeprowadzony w inną, trwał długo w poniżeniu i nędzy, a jednak nieupadł duchem, ani się stłumił blaskiem; bo wierzył że duma ziemską, jest niczem w obliczu Pana, a pokora i cierpienie są wszystkiem; że tak przeminie Rzym i Antjochija, jak przeminęły Babilon i Suza; a wiara ojców jego, stanie się wiarą świata i tego świata zbawieniem. Stąd owe niedoścignione poezyi Hebrajskiej znamię: duma i razem pokora; wielkość i razem prostota!

A znamię poezyi Hebrajskiej nie nacechował wieszcz jeden, ani wieszczów parę, lecz wszyscy. Czy się odzywał śpiewak z puszczy, lub wiejskiej chaty; czy z przodkowania hufcom, czy z tronu, wszędzie toż źródło śpiewania, jeden lot słowa i cel. Zwierzchnia szata pieśni, ozdabiała się nieraz w odcienia; pieśń się przybierała niekiedy i w słowa malowne (Prorocy) i w wyobraźni rokosz (pieśń nad pieśniami) i w o-

braz sporów, (Księgi Joba) ale tych ozdób i kształtów jedna była treść, zawsze dusza i Bóg.

Co jednak powiadaliśmy dotąd, powiadaliśmy tylko o ziemskiej szacie poezji, ale pienia Hebrajskie inna jeszcze cechuje szata: szata nad-ziemska. Wzrost.

Prorok w Izraelu nie śpiewał ani przez światową rachubę, ani dla zysku; nie dla okłasków pospólstwa, jak śpiewano w Grecyi, nie przez pochlebstwo możliwym, jak w Rzymie.—Prorok Hebrajski śpiewał, bo miał rozkazanie niebieskie; śpiewał ludowi grubemu, co się nie kochał w słowie, ludowi niewdzięcznemu, którego się lękać musiał.

I czuł to każdy, że nie przemawiał z siebie; że głos jego był tylko jako narzędzie; że wyrok, a naznaczenie spełniał.

«Pierwój niżelim cię utworzył w żywocie, znałem cię, a pierwój niżeliś wyszedł z żywota, poświęciłem cię, za Proroka narodom dałem cię.»⁽¹⁾

«I rzekłem: ach! ach! panujący Panie! oto nie umiem mówić, bom jest dziecięciem.

«Ale Pan rzekł: nie mów jestem dziecięciem; owszem, na cokolwiek poślę cię, idź, a cokolwiek rozkażę, mów.»

Był i przeznaczenie narodu, jego nieprawości i cnoty, jego nadzieje i obecna nędza; jego tryumf

(1) Jerem. I.

i jego zniszczenie, widziane przez Proroka w przyszłości, dotykane w terażniejszości, cisnęły się i mieszały w słowach ich i wołaniach. Prorok się pysznił chwilę i wkrótce płakał; powoływał lud do pokuty, gromił występki jego i wzmacniał duchem; czuł zniszczenie, które przyjść miało i sam się trwożył; trwożył się i gorzko rozczulał.

«Kto mi to da, aby głowa moja wodą była, a oczy moje źródłem łez. . . .» (1)

«Któż mi da na puszczy schronienie podróżnych, abym opuścił lud mój i odszedł od nich.»

I nieraz określał zbrodnie ludu powołanego, rozgniewanie Boga i zemstę:

«I obrócę Jeruzalem w gromadę rumu, w mięszkanie smoków; miasta Judzkie obrócę w pustynią tak, iż nie będzie obywatela.

«Oto ja nakarmię je, to jest lud ten, piołunem, a napoję je wodą żółci.

«Albowiem rozproszę je między narody, których nie znali oni i ojcowie ich, pošlę za nimi miecz, aź je do końca wygladzę.» (2)

I znowu opowiadał prorok los sprawiedliwych z ludu, opisywał krainę nową i blizki tryumf wodza, który się miał narodzić.

. «tak i ja uczynię dla sług moich, że ich wszystkich nie wygubię.

(1) Jerem. IX.

(2) Jerem. IX.

«Bo wywiodeę z Jakóba nasienie, a z Judy dzierżawcę gór moich, i posiedzą je wybrani moi, a słudzy moi tam mieszkać będą.

«A Saron będzie za pastwisko owcom, a dolina Achor za legowisko wołów.

«Bo dni ludu mojego będą jako dni drzew. (Izai: LXV.)


Miewał też prorok widzenia o powołaniu obcych, i opowiadał, co wiedział; opowiadał naprzykład o powściągnięciu ludu.

«Objawiłem się tym, którzy się o mnie nie pytali; znalezionym jest od tych, którzy mnie nie szukali; do narodu, który mię nie nazywał imieniem a j em rzekłem: Otom Ja! otom Ja!» (Izai: LXV.)


Tak śpiewał lud Izraelski, jedyny z ludów téj ziemi, któremu daném było swe przeznaczenie wiedzieć, a swoją przyszłość przeglądać.

W miarę jako czas się przybliżał, śpiewał z pomieszaniem rosnącym, trwogą a bojaźnią tych rzeczy, które się spełnić miały. Czuł blizki tryumf połowy swojej, połowy rozpierzchnienie i zgon, przepowiadał jedno i drugie, śpiewał i przepowiadał. A gdy się spełniło oboje — umilkł.

ś. Cyrylski.



MACZEK I PIYOŁEK.

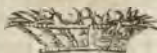


Rozkwitł w ogródku Elżusi krzaczek,
Zpomędzy kwiatów, rumiany Maczek
Wdziękiem strefionych warkoczy
Zachwycał czarne jej oczy.
— Patrzaj, mówiła do matki,
Jak przy nim gasną te kwiatki!
Chcesz mamó? załóż się zemną,
Ze tę wonię tak żywą, wonię tak przyjemną
On swym rozlewa oddechem.
— Nuż przegrasz? rzekła z uśmiechem
Wyzwana matka, i ująwszy krzaczek,
Zerwała Maczek.

— Ach! krzyknęła Elżusia, jakże mnie zuchwale
Zwodził krasą swych listków!... On niepachnie wcale.

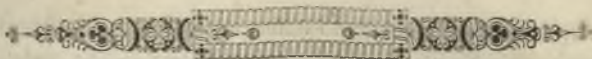
A matka wtenczas do niej: — Córko moja miła,
 Pomnij by cię tak własna piękność niezwodziła;
 Ona, bez przymiotów duszy,
 Oko zachwycić może, uczucia niewzruszy;
 Dla niej krótko serce bije...
 Te coś tak chciwie połykała wonie
 Wydaje twego ogródka ustronie
 Wktórem się Fijołek kryje.

Kobięty, do was tu mowa:
 Uwłaczać waszym zaletom,
 Jak się to zdarza poetom
 Niechaj mnie Pan Bóg zachowa!
 Lecz mi powiedzcie łaskawie,
 Dla czego każda z was prawie,
 W wieku młodością kwitnącym,
 Gdy ją miłośny wzrok goni,
 Niżli Fijołkiem pachnącym,
 Woli być Maczkciem bez woni?





<http://rcin.org.pl>
Królewicz!



KRÓLEWIEC.

(z Rycina.)



Stolica Wielkich Mistrzów zakonu Teutońskiego Panny Maryi, pospolicie Krzyżackim zwanego, nieobojętną w historyi naszej gra rolę. Znakomite wypadki, z bliska nas obchodzące, łączą się z dziejami Królewca, które w kilku rysach będą tu skreślone.

Wezwani przez Konrada książęcia Mazowieckiego, dla obrony jego kraju od najazdów Pruskiego pogaństwa, Krzyżacy, oręż zwycięzki wzięli Pruską wnieśli i coraz dalej panowanie swe rozpościerali. Wspierał ich Przemysław III król Czeski, w walkach z mieszkańcami staro-pruskiej prowincyi Sambii albo Samlandyi, co mu Krzyżacy zawdzięczając, nowo

założonemu w roku 1255 zamkowi, nad rzeką Preglem, nazwisko Królewca czyli królewskiego grodu nadali. Taki jest początek tego miasta. Rycerz w zbroi i koronie, wyobrażający króla Przemysława, był herbem Królewca. Zamek stanął na górze dębem odwiecznym porosłej, a w pobliżu wzniesiono szańce, i fossy przekopano. W roku 1256 za staraniem komtura Burcharda de Hornhausen, wzięło początek, w okolicach zamku, miasto właściwe, dziś Starem miastem zwane, i również Królewca otrzymało imię. Gdy zaś niedługo potem Anzelm, biskup warmiński, zamek i przyległe okolice rozdzielił pomiędzy Zakon a biskupa Sambijskiego, Krzyżacy zbudowali nowy zamek, w bliskości dzisiejszego zamkowego kościoła, podwójnym murem go obwiedli, dziewięcią baszt i fossą wzmocnili.

Warownie te wielce pożytecznymi były dla zakonu, w wojnach z Prusakami; tudzież podczas oblężenia zamku w r. 1260. We dwa lata później, Królewiec, którego mieszkańcy, z przyczyny chorób i głoducieżko ucierpieli, nową zdjęty był trwogą, lecz pośpieszyli mu z dzielną pomocą, książę Julichu i hrabia Marchii. W krwawym boju 3000 Prusaków naówczas poległo.

Około roku 1300 obok Starego, powstało Nowe miasto, jako druga część Królewca; a około 1324 przybyło i trzecie miasto Kneiphof, od Polaków Knypawą zwane, rzeką Pregel od dwóch pierwszych

przedzielone. Szybki wzrost Królewca, wkrótce go wywyższył nad pierwsiastkowe przeznaczenie. Z obronnego stanowiska przeciw napadom Prusaków przekształcił się w gród zamożny i handlowy. Bliskość morza, żeglowna rzeka Pregel, żyzność ziemi, przez wytrzebienie lasów pomnożona: to wszystko przykładało się do zakwitnięcia Królewca, do podniesienia jego handlu. Zakon wyznaczywszy go za miejsce wypoczynku podróżnymi pielgrzymom, nie mała także ku dobremu jego bytowi się przyczynił. Zwyciężeni Prusacy, zupełnie wyłączonemi byli od praw miejskich. Pozostawiono im tylko uprawę roli, w mieście zaś rzemiosłami i przemysłem, zajmowali się koloniści niemieccy. Tym, wielki mistrz Konrad de Feuchtwangen, liczne nadał przywileje i swobody, jakie miastom imperium służyły. Nawet względem Prusaków zakon stawał się łagodniejszym. W roku 1277, po trzeciem ich powstaniu, Teodor de Lidelow wójt, tak wielką pomiędzy Sambijczykami zyskać potrafił miłość, że na samo jego wezwanie oręż złożyli.

Po przywróceniu spokojności, Królewiec został stolicą Marszałka Zakonu. Miał także własnego Komtura. W wielkość i potęgę urosł mianowicie za wielkich mistrzów: Winrycha Kniprode i Dusnera z Arfbergu. Wsławiony poematem wieszczą, wielki mistrz Konrad Wallenrod, w roku 1392 z pieniędzy otrzymanych za drogo przedane zboże w Królewcu do Anglii, Francji, Niderlandów, złotą monetę bić roz-

kazał. Przyczynił się on do pomnożenia ludności tego grodu, przypuściwszy Prusaków, Polaków i Litwinów do praw miejskich. Lecz od jego czasów, potęga zakonu nachylać się zaczęła ku upadkowi, a walna klęska pod Grunwaldem i Tannenbergiem za króla Władysława Jagiełły, w roku 1410, srogi jej cios zadała. Nieszczęśliwe wojny z Polską, związek zawarty między szlachtą pruską przeciwko Krzyżakom, zabiegi tajemnego bractwa rycerzy Jaszczurkowych, do reszty nadważyły znaczenie i władzę zakonu; aż naostatek w dniu 4 Lutego 1454 roku, szlachta i miasta pruskie, uroczyście wypowiedziały posłuszeństwo, tak potężnym przed laty Krzyżakom.

Ztąd wynikła wojna trzynastoletnia, która zniszczeniem ziemię pruską nappełniła. Królewiec, równie jak cały kraj ten, oddał się pod opiekę króla Polskiego. Kazimierz IV Jagiellończyk, nowym poddanym swoim równe z Polakami nadał prawa, potwierdził ich przywileje, od wielu ciężarów uwolnił. Królewiec otrzymał prawo bicia monety. Lecz gdy się nie iścili nadzieje czynnej pomocy ze strony króla Polskiego, mieszkańcy Starego miasta znowu się poddali zakonowi Krzyżaków. Tak więc w samym Królewcu, ciągnęła się wojna pomiędzy składającymi go oddzielnymi miastami, z których każde wałem było opasane i miało osobne bramy. Dopiero pokój w Toruniu roku 1466 zawarty, położył koniec krwawym zatargom, i kraj pokojem upragnionym

obdarzył. Krzyżacy z obowiązkiem hołdu Koronie Polskiej, utrzymali się przy tej części, która znaną była przez trzy wieki blisko pod imieniem Pruss Książęcych. Odstąpiona zaś część Polakom, podzielona została na województwa: Pomorskie, Malborskie, Chełmińskie i księstwo Warmińskie, i wzięła nazwisko Pruss Królewskich. Królewiec stał się wówczas stolicą wielkich mistrzów zakonu.

W roku 1525 Albert margrabia brandenburgski, siostrzeniec Króla Zygmunta I, ostatni wielki mistrz Krzyżaków w Prusiech, stawszy się zwolennikiem nowej nauki Marcina Lutera, zrzucił szaty zakonne i żonę pojął. Za jego przykładem poszła większa część Krzyżaków. Gdy więc po ustaniu zakonu, Prussy prawem dziedzictwa do Korony Polskiej wróciły, Zygmunt I oddał je w lenność rzezonemu Albertowi margrabi brandenburgskiemu, i potomkom jego z linii męskiej. Na ten koniec Albert przed tronem na rynku w Krakowie, przysięgę wykonał, chorągiew i inwestyturę odebrał. Syn jego Albert Fryderyk, w roku 1569 na sejmie lubelskim, podobnymże trybem otrzymał inwestyturę. Ten dotknięty pomieszaniem zmysłów, miał sobie przydaną opiekę z krewnych. W roku 1611 w miesiącu Październiku, Jan Zygmunt elektor brandenburgski, wykonawszy przysięgę w Warszawie, przed tronem naprzeciwko kościoła XX. Bernardynów, na Krakowskim Przedmieściu wystawionym, od Zygmunta III króla ode-

brał inwestyturę i zwyczajną chorągiew. Królewiec był stolicą książąt Pruskich.

W roku 1544 Albert margrabia, założył w Królewcu Akademię, którą król Zygmunt August w przywilejach z Krakowską Akademią porównał. Od roku 1584 w ciągu dziesięciu lat, część zamku królewskiego na nowo zbudowaną została, w której się znajdują: zbrojownia, biblioteka i kościół. W roku 1612 za panowania Jana Zygmunta, Rudnicki biskup warmiński, położył kamień węgielny kościoła katolickiego w Królewcu. Smutną dla tego grodu była epoka panowania elektora Jerzego Wilhelma. Długie niesnaski między Polską a Szwecją, sprowadziły w roku 1624 wieloletnią pomiędzy temi mocarstwami wojnę. Gustaw Adolf, uważając Prussy za kraj Polskiej Koronie podległy, dnia 26 Lipca 1626 roku opanował twierdzę Piławę. Handel Królewca bardzo podówczas upadł. Mała liczba cudzoziemców zbliżała się ku miastu, lękając się szwedzkiego wojska. Król Polski niechętny, iż mieszkańcy Królewca oświadczyli się za neutralnością, wszelkich z nimi związków poddanym swym zakazał. Zawieszenie broni w roku 1629 i traktat w Stumsdorfie zawarty, przecięły owe zatargi. W kilkanaście lat później, Królewiec znowu klęskami wojny zagrożony został, gdy elektor Fryderyk Wilhelm, roku 1655 wszedł w przymierze z miastami Pruss zachodnich, przeciwko Szwedom. Karol Gustaw, biorąc ten krok za

wypowiedzenie wojny, zmusił Elektora w następnym roku do niekorzystnych układów ze Szwecją. Po zwycięstwie odniesionem przez elektora brandenburgskiego pod Warszawą, traktat w Welawie 19 Listopada 1657, zakończył nieprzyjacielskie działania, i Prussy Książęce od wszelkiej podległości dla Polski uwolnił, zapewniając ich dziedzictwo elektorowi i potomkom jego płci męskiej. Pokój Oliwski w roku 1663 zatwierdził udzielnosc Książąt Pruskich. Wiele nowych zakładów, pomyślny wpływ wywierających na handel, dodały nowego życia Królewcowi. Około roku 1657 był już tu ustanowiony sąd najwyższy appellacyjny, a książę Bogusław Radziwiłł mianowany namiestnikiem w Prussiech. W roku 1680 elektor założył kollegium admiralicyi w Pilawie i kollegium handlowe w Królewcu. Liczba mieszkańców pomnożyła się przez przyjęcie francuzkich wychodźców, po większej części fabrykantów i rzemieślników.

W początkach XVIII wieku, w roku 1701, Elektor Fryderyk III, ogłosił się Królem Pruskim pod imieniem Fryderyka I, i w Królewcu koronował się. Za panowania jego następcy Fryderyka Wilhelma, który troskliwie się zajmował podniesieniem handlu i fabryk w Królewcu, w roku 1724 ratusze trzech oddzielnych części tego miasta, w jeden złączone zostały. W roku 1758 wojska rossyjskie Królewiec zajęły, i dopiero w 1762 ostatecznie z niego ustąpiły. Okropny pożar dnia 11 Listopada 1764 do sześciu

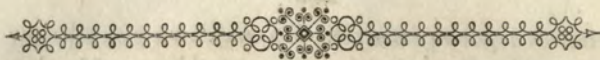
dni trwający, ciężką zadał klęskę temu miastu. Całe ulice stały się pastwą płomieni. Ze strasznym łoskotem runęły wieże gorejących kościołów. Naoczny świadek tego przerażającego widowiska, sławny Herder, w pięknym wierszu pamięć tej klęski późniejszym wiekom przekazał. W roku 1775 nowy pożar gród ten nawiedził. W 1807 roku Francuzi zajęli Królewiec, lecz opuścili go w skutku zawartego pokoju. W roku 1811 jeszcze raz dotknięty był pożarem. Za panowania Fryderyka Wilhelma III, Królewiec, jako druga stolica królestwa pruskiego, przez kwitnący handel, do błogiego przyszedł bytu, którym się obecnie cieszyć nie przestaje. W 1840 roku w murach swych składał hołdy nowemu Władcy, który po zgonie Ojca koronę odziedziczył.

Przebiegłszy w krótkości dzieje Królewca, rzućmy przez chwilę okiem na jego zewnętrzną postawę. Kto chce dokładne mieć wyobrażenie rozległości tego grodu i jego okolic, niech wnijdzie na szczyt wieży w środku miasta leżącej. Z galeryi tej wieży dają się widzieć wszystkie jego części w najdrobniejszych szczegółach, i wszystkie ulice. Wzrok sięga ztąd daleko za miasto. Królewiec, równie jak dawniej, składa się z trzech części, i przerznięty jest rzeką Pregel, na której siedm mostów ułatwia komyunikacye mieszkańców. Jedenaście przedmieść gród otacza, który wraz z nimi ma obwodu blisko dwóch mil, zamykając w tym obrębie nie mało ogrodów,

a nawet i pól uprawnych. Do najdawniejszych budowli należą, zamek sięgający początkiem 1255 roku; kościół na starem mieście w roku 1265 założony, katedra na Knypawie w roku 1332 zbudowana. Pod względem architektury, niewiele się Królewiec odznacza; równie jak większa część miast starodawnych, ulice ma wąskie, ciemne i kręte. Lecz położeniem swoim celuje przed innymi. Liczne statki różnych narodów, pokrywają rzekę Pregel. Latem mianowicie wielki ruch tu panuje, przy ładowaniu i wyładowywaniu statków. Widzieć tu wtedy można Polaków, Szwedów, Hollendrów i Anglików. Okolice Królewca bogate są w powaby i nęcą do przechadzek.

Karol Korweł.





Do.....

Gdybym ja z kwiatów, według ich znaczenia,
Chciał uwić bukiet do ciebie podobny,
Bez najmniejszego związałbym wątpienia
Rozchodnik, różę i laur nią ozdoby. (*)

Gdybym ja w drugim chciał dać obraz żywy
Czucia co dla cię serce me przenika,
Wziąłbym — niech umrę, jeżeli fałszywy!
Myrt, niezabudkę, i gałęź goździka.

Niosąc je tobie, oby nieba dały
Gdybym w nagrodę bluszcz zyskał z twój ręki
Lecz jeślim w mojem żądaniu zuchwały,
Daj mi przelaszczkę i w niej znajdę wdzięki.

(*) Rozchodnik : rozum i dowcip — Róża : piękność — Laur różowy : dobroć
— Myrt : miłość — Niezabudka : stałość — Goździk : zapach — Bluszcz : wzajemną skłonność — Przelaszczka : nadzieję.

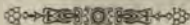


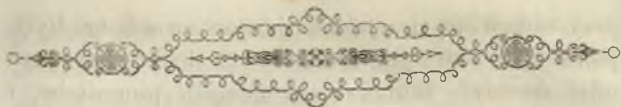
ANAKREONTYK.



Ⓛ nie! złośliwy chłopczyno,
Nie podbiłeś mojej duszy!
Choć mi dla niej te łzy płyną,
Łatwo je rozum osuszy.
Jabym kochał niewdzięcznicę
Co się z moich cierpień śmieje!
I miłość ma swe granicę;
Póty nią serce goreje,
Póki nadzieje niezginą
Że wzajemny płomień wzruszy...
Nie, nie złośliwy chłopczyno,
Nie podbiłeś mojej duszy!

Tak załością uniesiony —
 Zkąd mych wyrzekąń przyczyna
 Niewolnik srogiej Kleony,
 Mówiłem do Kupidyna;
 A on do mnie: Nie tak śmiało —
 Jej niekochać!... czyś szalony?
 Kto z jej oczu wziętą strzałą
 Raz przezemnie ugodzony,
 Próżno chce ją wyrwać z łona,
 Próżno wyrzekać, złorzeczyć,
 W głębi serca zaogniona
 Rana się nieda wyleczyć.
 Chcesz posiść miłość wzajemną?
 Umiej dla niej cierpieć znoś —
 Radzę ci w zgodzie żyć zemną,
 A może się dam uprosić
 I ogień którym twe serce
 Dla niewdzięcznej dotąd płonie,
 Niecąc iskrę po iskierce,
 Każę wzajem czuć Kleonie.
 Rzekł — i pobiegł dzieciak stary
 Rozsiewać roskosz i smutek,
 A ja mu paląc ofiary
 Czekam na skutek.





WSPOMNIENIA.



...I pocóż jej natrętnie zaglądamy w oczy?
Dziwno nam, że czas uczuć serca nie oziębi,
Że aż dotąd westchnienie pierś dziewięcą tłoczy:
Czas upływa, a ogień niegaśnie w jej głębi
I łza w mokrój zrzenicy rumianą twarz plawi
I uśmiech na posępnej nie zablęśnie twarzy;
Bo zawsze miły obraz, luba myśl ją bawi,
Bo jej dusza samotna o przeszłości marzy."

Jakże Wisła jest wspaniałą, kiedy pełnem kory-
tem tocząc poważnie swoje nurty do Bałtyku, zwilża
w pięknych dniach wiosny wesołe błonia Mazowsza.
Nieraz falami jej kołysany, popuszczałem wodze
mojej wyobraźni. Nieraz zatapiając myśl wdalekiej
przeszłości, badałem gór na jej wybrzeżach od-
wiecznie sterczących, zamków tu i ówdzie w gruzach

przy niej leżących : jakich dziejów świadkami były, jakim rycerzóm i jakim nadobnym dziewicom przytułek dawały? Widok tych niemych pomników, i obraz wdzięcznej przyrody, która mię otaczała w całej swojej świetności, jakże tkliwe, jak rzewne budziły w mej duszy, udręczonej przeciwnościami losu, uczucia. Trzeba być pozbawionym wszelkiej nadziei, pożegnać się z młodością, ażeby żywo nie czuć tego wpływu nieprzewyciężonego ; trzeba, żeby serce było skołatane, żeby łzy już płynąć nie mogły, ażeby dusza wyschła, a wtenczas chyba nie ockną się zapał i marzenia na ten widok przepyszny. Tam - to właśnie Bóg do nas przemawia; przy tych - to cudach, głos Jego słyszemy; tam - to się człek przenika skrucą; tam się modli, tam otrzymuje przebaczenie!

Raz kiedym jedną z takich miłych wędrówek po nad brzegami Wisły odbywał, zwróciły moją uwagę rumowiska, zamku dawnego, samotnie między borem bielejące. Powieści o nich zasłyszane, porównane z rękopismami i listami jakie w archiwach znalazłem, odkryły mi jedno podanie o dawnych jego mieszkańcach.

Roku 1654, na rok przed wejściem Karola Gustawa ze Szwedami do Polski, dnia 2 Czerwca, około godziny 6^{ej} wieczorem, młoda dziewczica zwolna wchodziła na wzgórze, po którym droga wiodła do zamku; śpiewała sobie jedną z owych wesołych

piosnek mazowieckich, niosąc kosz róż białych, zapewne narwanych w małym ogródku, położonym nad brzegami rzeki i tworzącym niby półwysep, zdaleka widoczny. Ogródek ten, zdawał się być koszem kwiatów: krzaki róż dzikich, które go otaczały były pokryte tysiącami kwiatów białych i różowych, bzy, zaledwo rozkwitać zaczynające, rezeda i jażminy, napełniały zapachem powietrze i pieściły oko. Młoda dziewczica często się oglądała, jak gdyby chcąc przesłać jeszcze raz ostatnie pożegnanie swojej łące kwiecistej, poczem rażno w dalszą szła drogę, wyśpiewując, szczęśliwa ową swobodą od trosk, siedmnastu latom właściwą, znikomą jak te kwiaty, które tak jak i one lata nic nie zostawują po sobie, prócz zapachu ulatującego bardzo prędko, lecz którego się niezapomina nigdy.

Przyszedłszy do bramy pałacu, uderzyła w wielką kłamkę od zamku, na brzęk której, stapanie ciężkie i powolne odpowiedziało wewnątrz. Drzwi się otworzyły; starzec wysokiego wzrostu, przybrany w zieloną z pensem barwę, wyszarzaną, przyjął śpiewaczkę z najczulszym uśmiechem.

Przez wielką salę sklepioną, nawpół zrujnowaną, przyszedli do ogrodu owocowego, drobną zarosłego trawą; nieco drzew dosyć jeszcze zdrowych, bujało tu i ówdzie, otoczone kamieniami spadłmi z murów i baszt, które czas nadniszczył. Cokolwiek na przodzie głównego gmachu, pawillon

z dachem płaskim o czterech arkadach na dole, przedstawiał schronienie najprzyjemniejsze i widok czarujący: Wisła wspaniale roztaczająca szerokie swe koryto po wesołych dolinach, i załamująca się właśnie w rogu ogródka, o którym się wyżej wspomniano; kopuły sąsiedniego klasztoru, położone ostatniemi promieniami słońca; dalej chatki porozrzucane w dolinie; trzody powracające do domu; czółna rybackie snujące się w różne strony: był to obraz tak wybitny, ożywiony, ujęty w tak bogate ramy, że młoda dziewczica i jej ojciec, jakkolwiek przywykli do nasywania się tym widokiem codziennie, stanęli, by się mu jeszcze przypatrzeć.

W tej chwili znowu zakolatanono do bramy. Zadrżeli.

— «Któż-to może bydz, o tej godzinie?» rzecze starzec.

— «Idź, otwórz prędko mój ojeze; może to jaki zabłąkany podróżny, albo posłaniec od jasnego pana; zdaje mi się, że słyszę stąpanie konia.»

Starzec wszedł do bramy: pomówił nieco przeze drzwi z przybyszem, nakoniec otworzył, oddając głębokie ukłony, i wprowadził młodzieńca z jego służącym, ubranego najwytworniej zwyczajem francuzkim, przyjętym wówczas od wielu na dworze Jana Kazimierza.

Twarz jego blada i posępna nosiła ów wyraz złowrogi, który się spostrzega na ludziach mających

umrzeć w kwiecie wieku; znać w nim było jakąś wyższość, ale razem łaskawym odpowiedział układem.

—« Chcesz-że mię swoim mieć gościem? mój przyjacielu? »

—« Najchętniej, jasny panie; aż nadto wiele czynisz mi zaszczytu. »

—« Gdzież ja się znajduję? »

—« W zamku, należącym do pana wojewodzica Kostki, u którego mam szczęście być margrabią. »

—« O to bardzo dobrze. A toż ładne dziewczę, czy nie twoja córka? » przydał spostrzegłszy Zosię.

—« Tak, jasny panie; chciej jej wybaczyć: wiąże bukiety na jutrzejszą uroczystość Matki Boskiej. »

Nieznajomy, nie mógł oderwać oczu od tego oblicza anielskiego, zarumienionego skromnością i lęklivością; kwiaty się rozsypały dokoła niej, a wieńiec z białych róż na jej głowie, czynił ją podobną do ofiary, przystrojonej na poświęcenie.

—« Ponieważ pozwalacie mi tu zostać » rzekł po chwili milczenia, « będę was prosił o pomoc. Skaleczyłem się spadłszy z konia o milę stąd, i wiele mię to kosztowało, nimem się dostał do tego zamku. »

Zosia przestała wiązać wianki; ojciec jej pośpieszył do części mieszkalnej gmachu, prosząc nieznanego, aby szedł za nim, i wraz z córką wprowadził go do komnaty dosyć czystej, chociaż skromnie przybranej, gdzie opatrzył z największą troskliwością ranę gościa.

Wiele już dni upłynęło, a Władysław, — tak się zwał nieznajomy, — Władysław nie oddalał się ze swych pokoi, chyba tylko dla przechadzki po łące. Tam przepędzał czas na rozmawianiu z Zofiją, śpiewaniu jej piosnek krajowych, słuchaniu opowiadanych powiastek, a najwięcej na wpatrywaniu się przystrojonej w białe róże; gdyż codzien taki był jej głowy ubiór; on ją tak oto prosił! Biedna Zofijo! Jad pomалу wciskał się do twojego serca. Przywykłaś już do tych miłych schadzek, które zapełniają życie, i bez których później obydz się niemożna. Przywiązała się dziewczica sercem całym do gościa, z zaufaniem do nieznajomego, który miał ją wkrótce opuścić, i zabrać z sobą jej szczęście, spokój, dotąd niczem niezakłócony. Pokochała go całym sercem biedna Zofija!



Drzwi bogatego pokoju w murowanym dworze Hieronima Radziejowskiego w Warszawie, na przedmieściu, za Krakowską bramą położonego, stały otworem. Siedząca przy toalecie piękna pani Radziejowska z domu Słuszczyńska, przyjmowała hołdy nadskakujących jej kawalerów dworskich, którzy poskupiani w grona, rozmawiali między sobą, zwracając się co raz z pochlebnymi słówkami, do bogini dnia tego, która nawzajem odpowiadała im z właściwą sobie uprzejmością i dowcipem. Wieczorem były pokoje u dworu. Pani Radziejowska uwinęła swe włosy w kosztowne perły, i przypięła była na głowie wieniec z róż białych. W tym oznajmiono przybycie Kasztelana R**.

Przyszędł, aby pożegnać ulubioną od Króla, nim się miał udać do wojska; przyszędł, aby spojrzeniem zinném i ponurém, natrzasać się z tego tłumu młodzików, gotowych do wyśmiewania się ze wszystkiego w świecie. Usunęli się na bok, a on zbliżył się do pani Radziejowskiej i usiadł obok niej. Piękna pani domu, rzuciła nań tém spojrzeniem, którem umiała zająć serce królewskie, i zapytała czy już gotów do drogi? czy prędko wyjedzie? i przydała do tego kilka słów grzecznych, których nie mogła odmówić polubieńcowi monarchy. Od-

powiedzi Kasztelana były rozważne; był-to zupełnie ów człowiek, o którym jakiś uczony powiedział.

«Nigdy nikt tylu walnych nie posiadał przymiotów, to jest: nie brakło mu nic, prócz chyba nieco dumy, próżności i wyniosłości; ale z resztą, nigdy nikt tak się nie zbliżał do doskonałości: wyższym on był nad wszelkie pochwały, byleby tylko był z siebie kontent, przestawał na tém.»

Każdy mówił o wyjeździe Króla i dworzan, ale nikt, wyjąwszy może pani Radziejowskiej, nie wiedział zamiarów wyprawy; jedni o tém, drudzy o owém mówili, wszyscy zgadzali się tylko, że przeciw Szwedom oręża dobyć potrzeba.

—«Dokąd wyruszą wojska?» zapytali wszyscy. «Czy nie wdół Wisły? pan kasztelan musi wiedzieć o tém?»

—«Nie» odpowiedział młody pan —«Król zwykł dochowować sekretu.»

—«Ale, rzekła pani Radziejowska, pan kasztelan zna dobrze nadbrzeżne okolice; wszakżeś zwiedzał je przed dwoma laty, skąd powróciłeś tak smutny i cierpiący?»

Kasztelan nic nie odpowiedział; wzrok jego zwrócony był na wieniec róż biały. Tysiące wspomnień obudziło się w jego wyobraźni, i wszystko, co go otaczało, znikło dla niego: marzył o anielskiej twarzy, przybranej w podobneż kwiaty; słyszał jej śpiewy wieczorne pełne harmonii i wdzięku; słuchał jej słodkich słów, pochodzących z serca; otaczał

duszę swoją tą atmosferą miłości i niewinności, którą oddychał z taką rokoszą; nakoniec, wyobrażał sobie też samą twarz anielską, zroszoną łzami; włosy rozrzucone: wyobrażał sobie tę, która upadając do nóg jego, wołała z rozpaczą: — Władysławie opuszczasz mię! kiedyż cię znowu zobaczę?

Usta jego odpowiedziały:—Wkrótce!—ale sumienie rzekło:—Nigdy!— i od tego czasu zgryzota zakłócała jego życie. Wyrzucał sobie los tej młodej rośliny, zerwanej przez niego; żałował swojej słabości i niezastanowienia się nad skutkami. W tej chwili, pośród dworu wesołego i świetnego, wspomnienia jego zatarte poniekąd przez czas, tłumnie mu powracały; niemógł się od nich opędzić; zdawało się mu, że ten głos rozzierający jeszcze brzmiał w jego uszach: — Władysławie! opuszczasz mię! kiedyż cię znowu zobaczę?

Pani Radziejowska śmiała się z tego zamyślenia: «Pan kasztelan zbyt jesteś poważny, zbyt roztargniony. Nie słuchasz nas wcale; bo zapewne rozmyślasz o przyszłości, o swoich nadziejach?»

—« Nie pani, to jest— *wspomnienie!*»



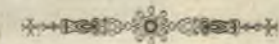
Tegoż samego dnia, o tejże godzinie, w starem zaciszu nad brzegami Wisły, młoda dziewczica zajęta była także przystrajaniem się, ale nikt jej nie po-

magał ułożyć włosów, nikt się do niej nie przy-
miał i nie wychwalał jej wdzięków. Zamiast złoci-
stych salonów, była to mała izdebka sklepiona; za-
miast złotych świeczników, lampa, której światło
bladło przed blaskiem księżyca, przebijającym się
przez okno. Ubranie jej składał także naszyinik z pe-
reł i wieniec z kwiatów; ale naszyinik był rozerwa-
ny, a wieniec zwiędły. Dziewica rozbierała się po-
woli; łzy płynęły po jej policzkach; szemrała coś
pocichu, ze łkaniem, a wodząc okiem po swym
skromnym przytułku, spozierała mimowolnie na ów
wieniec, który próbowała jeszcze włożyć na głowę.

— «Już mi to nie do twarzy, mówiła do siebie;
nie jestem już więcej ładną, opuścił mnie on, i od
dwóch lat nie mam o nim żadnej wiadomości. Tak,
jak moje serce, te kwiaty uschły!»

Mówiąc to, zerwała je i odrzuciła daleko od sie-
bie; lecz wzrok jej nie mógł się jeszcze oderwać
od nich. Strój ten niegdyś tak świeży, teraz pozba-
wiony barwy, — był-to obraz jej życia.

— «O mój Boże! zawołała, rzucając się na kolana;
otóż więc wszystko, co pozostaje z tej miłości tak
pięknej, z tego szczęścia tak prędko znikniętego:
kilka pereł, które spadają, kilka róż które żółknieją;
w jego sercu zapomnienie może! a w mojem niezat-
arte nigdy—*wspomnienie!*»





Dnia 25 Maja r. 1656 ta rzeka, którą widzieliśmy tak spokojną na początku naszej powieści, była świadkiem krwawej bitwy. Król Jan Kazimierz, na czele zwyciężkiego wojska, po wielu zmiennych kolejach, szczęśliwie odpierając najazd Karola Gustawa, przyległ pod Warszawę; a z drugiej strony dzielny Czarniecki, przepłynąwszy Wisłę, szczęśliwie z nim się połączył. Po złamaniu jazdy Szwedzkiej, król z hetmanami zajął Ujazdów; nazajutrz opanowano Tamkę i całe przedmieście Solec.

Na trzeci dzień, gdy Wittemberg wódz Szwedów w Warszawie, nie chciał jej poddać królowi, postanowiono szturm przypuścić. Tymczasem w klasztorze S. Kazimierza Siostr Miłosierdzia, położonym nad Wisłą na Tamce, przygotowywano już infirmarye dla rannych; pobożne zakonnice błagały niebo o zbawienie dusz, a same gotowały się do ratowania ciała. Przełożona kazała przyjść kilku nowicyuszkom z ich starszą, i poleciła im być w pogotowiu do udania się na pole bitwy, dla wyszukania nieszczęśliwych, potrzebujących ratunku.

Podczas gdy siostry, mające więcej doświadczenia, wybierały potrzebne lekarstwa, one wyszły z klasztoru z zapuszczonemi na oczy zasłonami, z sercem pełnym uczuć ludzkości, i kazały się prowadzić do

nieszczęśliwych, potrzebujących ich starań. Gdy łódka z zakonnicami przybijała do przeciwnego brzegu, mężczyzna krwią i kurzawą okryty, opuściwszy innego, leżącego na ziemi i przykrytego płaszczem, zbliżył się do tegoż brzegu.

—«Czcigodne siostry» rzekł, —«chciejcie przyjąć do waszego szpitala, nas rannych, i złożyć w waszych murach ciało kasztelana Władysława R** poległego dzisiaj w walce przy królewskim boku!»

Starsza z nowicyuszek, oddawszy ukłon, pośpieszyła na wezwanie, i w krótkce do łódki zabrano wszy stkich, wraz z ciałem poległego.

—«Siostro Kaźmiéro, rzekła: «zaprowadź dostoj nych panów do naszej matki, i zmów modlitwę przy zwłokach młodego kasztelana, którego Bóg powołał do siebie.»

Ranni usiedli na przodzie łódki; ciało zaś poległego złożono na drugim jej końcu, i młoda siostra uknęła przy niem.

Niepowściągnięta chęć zobaczenia rysów twarzy rycerza, zgasłego w kwiecie wieku, zniewoliła ją do odkrycia nieco głowy nieboszczyka: i poznała go natychmiast.

—«Mój Boże! zawołała, załamując ręce, — to on!»

Zofija, — teraz siostra Kaźmiéra, dowiedziała się zarazem o nazwisku i przeznaczeniu człowieka, którego tak kochała, którego opuszczenie zmusiło ją do zamknięcia się w samotności. Nie uroniła ani

jednej łzy: bo w wielkiem cierpieniu nie płacze się—
modliła się więc nie płacząc.

A nurty rzeki toczyły się piękne i przezroczyście
jak w dniach szczęścia; chorągiew królewska powie-
wała wkrótce na wałach stolicy; nie uległo
odmianie w pięknym widoku tę krainę otaczającym,
nic — oprócz życia młodej dziewicy, które przekwi-
tło, jak te kwiaty, jej ręką sadzone.

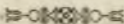
Katel Kotwoll.





Pieśni Miłosne.

XVI I XVII WIEKU.



„Wina panien i muzyki,
Kto chce melancholiki
Rozweselić, to troje,
Wybiją ze lba roje.”
MAURYCJUSZ TAZYPTECKI.

(Dwór abo co nowego — z XVI. wieku.)

W zarysach życia domowego naszych przodków XVI i XVII wieku, niepoślednie zajmują miejsce pieśni miłosne. Jako lud nasz śpiewać lubi, tak lubiła i szlachta. Szlachcic zaproszonych oczekując gości (jak mówi M. Rej) usiadł sobie na piecu, nogi o ścianę oparł i grał na dudzie prześpiewując. Jak się zjawiała cudzoziemska lutnia, poczęto gardzić swojską kobzą,

szlachcic szlachcica bawiąc w gościnie, kazał grać białym głowom i śpiewać pocziwe piosenki, albo wiersze kończąc je zwrotką la! la! la! (1)

Malcher Pudłowski zapraszając do siebie przyjaciela na wieczór tak mu maluje rozrywki, które dla niego przygotował.

Będziem sobie u ognia siedzieć przy kominie,
I cudniej nam daleko noc, niżli dzień minie.
Baby nam będą bając, jakie bajki śmieszne,
My więszem będziem śpiewać, i pieśni ucieszne.
Kasztanów będzie w ogniu dziewczę przypiekało,
Drugie wic wianki, a zać tej rozkoszy mało?
Śmiać też będzie czemu: owo nam noc znijdzie,
Tak wesoło, aż na nas wdzięczniuchny sen przyjdzie,
Toż i bajek i pieśni wtenczas przestaniemy,
Pięknje się ućcisnąwszy i potym pośniemy! (2)

Dziewczęta od małego uczyły się wdomu śpiewać rozmaitych pieśni; bo niemi to bawiły gości, to rozweselały się same. W XVII wieku Łukasz Opałiński (3) za złe uważał, że dziewczątka małe, umieją śpiewać piosnki, o urodnych młodzieńcach.

Rzadki był taniec bez pieśni; niebrakło ich, lubo mała częśćka tylko doszła naszych czasów.

Rozkochany młodzieniec wyprawia pod oknami czułe serenady, owoż jak się w XVI wieku zalecał:

(1) M. Rej Wizer:

(2) Fraszki 1586 r.

(3) Satyry.

«Marcepany oddaje, obsyła wiencami.
 Listy pisze, nawiedza, śle z upominkami;
 On jęj, lub gdy się kładzie, lub gdy ze snu wstaje,
 Każe pod okny śpiewać w szatałmaje.
 Jeśli kędy w karecie z matką swoją jedzie,
 Na przejażdżkę, i on tam, albo w skrzydle będzie,
 Albo na Turskim (1) koniu, tuż podle karety,
 Skacze, płasze, wywija, wyprawia korbety.
 A serce mu pod płaszczyk do panny zbieżało,
 Tamby rado i z panem wszystko przeleżało.» (2)

Niemiano za grzech nawet rycerzowi tańczyć, ani śpiewać: (3) a cóż dopiero rozkochanemu zalotnikowi. Więc w miłości potrzeba pieśni; dla usługi przeto młodzieńcom i pannom wydawano zbiory piosnek miłosnych. Tam nasłuchasz się i skarg biednych kochanków, i przekleństw opuszczonych dziewic, czułych proźb, i tych obrazów o cudnej piękności kochanek.

«Tam ją nazywa aniołem, zęby do pereł urjań-
 «skich, usta do koralu, brwi do czarnego gagatka
 «porównywa: w opasaniu jest tak szczupła i subtel-
 «nego ciała, że jęj zaledwie Dyanna wyrówna! Czoło
 «jak obłok wdzień pogodny wyjaśnione, oczy jak
 «gwiazdy; jak róża w ogrodzie pięknie się rumieni,

(1) Na tureckim koniu.

(2) Światowa rozkosz zochmistrem swoim z dwunastu służebnych panien swoich. Nowo wydrukowana roku 1630.

(3) «Aleć i skoczyć nie grzech cnemu rycerzowi
 Daj zdrów skakał.... (Światowa rozkosz 1630 r.)

«tak białość z rumianością w jęć licu wybija. Nos jest
«to sznur upleciony, szyja ze słoniowej kości.

Słuchajmy czulego oświadczenia młodzieńca.

Anusiu kochana,
Nad insze wybrana!
Czarne oczki u ciebie,
Sama wabisz do siebie!
Dzieweczko kochana,
Nad insze wybrana;
Pokorne uszy twoje,
Skłoń na słóweczko moje.
Kochanko pieszczona,
Tyś moja, nie ona.
Lice, jak malowanie,
Schyl na pocałowanie;
Pociechą jedyna,
Tyś sama nie inna.
Pragnie cię moje serce,
Hołdować ci zawsze chce,
Różyczką rozwita,
Bądź-że mi użyta.
Nie trap służeczki swego,
Wpuść do pokoju twego.
Wolne czasy moje,
Wpadły w ręce twoje:
Więźniem jest u ciebie,
Sam to Bóg widzi w niebie:
Fijalku mój złoty,
Dla tej twojej cnoty,
J dla wdzięcznej rozmowy,
Jam ci służyć gotowy.”

Zawiedziony w swoich nadziejach kochanek tak najprzód z sobą rozmawia.

«Serce moje, co czynisz, poco się frasujesz —
«widzisz nieszczęście swoje, a kogóż będziesz wino-
«wać? nie styskuj na złą dolę, taka była Boża wo-
«ła, i ta nieszczęsna godzina co nas rozłączyła.»

Spostrzega swoją miłą, i mówi do niej.

«Już ja odjeżdżam, daj mi rękę na pożegnanie,
«widzisz moja najmilsza jaki żal odnoszę. Myślałem
«że będę żył z tobą razem, a tyś me serce tej myśli
«niechciała bydz wdzięczną. Pocóżeś mię uwodziła
«to usty, to oczyma obłudnie? Ja byłem szczery
«tyś mię karmiła nadzieją, a ci co otém dobrze wie-
«dzą śmieją się ze mnie, czym większy żal trapi —
«i ciężej mi cierpieć. A za cóż taką cierpię wzgardę
«w twój miłości?» (1)

Szczęśliwy młodzieniec, zostawszy więźniem wzajemnej dziewicy, w pieśni do swego serca śpiewa.

«Powiedz me serce coś ucierpiało! Teraz już i
ciało i myśli moje, są twojemi. Dokazałoś znie-
walając ciało i zmysły pod moc swoją podbiwszy.
Teraz możesz mną hołdować, jak ci będzie miło.»

I nóci na dobranoc swojej kochance:

«Zorze pogasły, ty spisz kochana w cichości,
Sen sobie słodząc, mój zaniedbywasz miłości!

Hojże! hojże! kochaneczko! hoc! hoc!

Daj ci Boże szczęśliwą dobranoc,

Dobranoc Anusiu kochana!»

(1) Dama dla uciechy etc.

Zwiedziona panna, ubolewa nad swoją dolą, przypomina miłość zdradliwemu, a w tej boleści prosi Boga, aby go nie karał, bo go jeszcze kocha, a to jej kochanie niewiernego nawróci, i karmi się mile zwodną nadzieją.

Druga pewniejsza płochego kochanka, grozi mu tylko, że odmówi całusa, że będzie się gniewać, i nie da przeprosić, chociaż wie, że bałamuci inne, częstuje i bawi z niemi.

Najczulszy ze wszystkich płacze na niebaczną *Fidelię* a *tyz mu potokiem płyną*, i w rzewnym płaczu, drżącym przemawia głosem.

«Wyzwól serce okowane,
Twoją miłością związane:
Nie będziesz tak srogą,
Karmić trwogą,
Sługę twego
Życzliwego.»

Udatni młodzieńcy pieśnią oświadczali się pannie; w której śpiewali:

«Tyś lilija, tyś kwiat, tyś róża ozdobna,
Tyś rano wschodzącemu światłowi podobna.
Ciało i duszę moję oddawam ja tobie,
Ty ją możesz zagubić, i zachować sobie.

«Ciebie ledwiebym nad Wenerę nie przeniósł, a jabłko złociste oddałbym wtwe ręce. Kupido strza-

łą ugodził w me serce! Bogdaj wisiał Kupido ze swemi strzałami. Lecz cóż czynić?

«Wenus tego chciała,
 Chociażbym i ja niechciał ona mi kazała,
 A więc z jej rozkazania, jak wierny poddany,
 Uderzyłem ja śmieie do nadobnej panny;
 A toż mi teraz przyznaj, że to z rozkazania
 Częścią widzisz to czynię, a więcęj z kochania.»

Taka jest treść pierwszego zbioru pieśni miłosnych, wydanych, o ile sądzić mogę za czasów Stefana Batorego, pod napisem:

«Dama dla uciechy młodzieńcom y pannom
 «w której się zamykają, pieśni, tańce i padwa-
 «ny rozmaite. Teraz nowo wydane.» (in 4 druk
 gocki, signat a 2-c3.)

W XVII wieku, kiedy z modą francuzką napływały i piosnki, powstały rozmaitego gatunku pieśni miłosne. I tak: była *Sarabanda*, *Curant* i *Quella Belta*. Ale te dziwolągi krótko trwały, jedna *Sarabanda* przetrwała dłużej, i dała powód do onego groźnego przysłowia: «*Zagram ja ci Sarabandę.*» W pieśniach o których mówię, właściwie dwa główne były podziały, to jest: 1^a *Pieśń*, czyli sam śpiew, 2^a *Taniec*, czyli śpiew przy tańcu używany.

Z tego wieku mamy dwa zbiory miłosnych pieśni: o nich poszczególnie powiem.

I.

«Koło tańca wesołego dla uciechy młodzi, pieśni dworskich używające. Teraz nowo wydane z przydatkiem Baletów i Curantów francuzkich, «Roku xxxooo.» (in 4^a druk gocki.)

Już wtedy z tymi *baletami* francuzkimi i *kurantami*, lubieżność wkradała się śmieje do pieśni. Te nieszczęsne pomniki zepsucia naszych obyczajów, lepiej opuścić, zostawić w błogiem zapomnieniu, niż śmiecie co czystą naszą glebę zanieczyściły, na jaw wyciągać.

Ale i w tych pieśniach, co umiały przecie uszanować skromność, sama nadętość wybija.

Zdradzony kochanek, do bożka miłości takie nu-ci skargi, tak płacze nad panięńską chytrością.

«Niebo gwiazdami upstrzone,
Ciemną nocą obtoczone,
Tyś samo nieraz widziało,
Jako mi się to nadało,
Życzliwe moje kochania.
Nie raz wjawne naśmiewania!

I wy wiatry zaszożone,
Lotnym pędem rozruszone,
Na świadectwo żalu mego,
Nie żałujcie świszczącego
Swarliwych szumów swych głosu,
Przeciwnego szczęścia losu,
Nie tajne, gdy kto uwierzy,

I tę niewdzięczność odmierzy,
 Gdy się o niechęć uderzy.
 Zanieście to w świat odległy,
 Że mnie nadzieje odbiegły,
 Które miłość tuszyła,
 Lecz mię szczerłość omyliła;
 Niestetyż na twój niestatek,
 Weź-że już i ten ostatek
 Serca mojego wolności,
 Niechże żyje w tej żalności,
 Dla twój damo niewdzięczności.

Drugi rozgniewany na pannę, tak się grubijańsko odzywa.

«Niebądź hardą bo niedbam o ciebie, mam ja już grzeczniejszą: ani ty jesteś tak dalece godna, abym miał pragnąć kochania twojego. Jeżeli o swęj piękności wiele trzymasz, powiem ci otwarcie, że jej nie wiele w tobie: posłuchaj więc niebogo, kiedy masz zły towar nie szacuj go wysoko.»

Wchodzi tu i nadobna Filida, panna śliczna jak Dyanna, a około nięj wiatry z miłości stękają. Filida co twarz i oko wzięła Wenerze, wysokie czoło z brwią gęstą Pandorze. Orfeusz i Apollo wyznawa, że nie ma piękniejszej jako ta Filida, za której spójrzeniem nieci miłość, co przenika i ciało i kości.

Ale wróćmy od tej przesady, do prostszych i mających więcej czucia pieśni.

«Sierota żegna kochanka, co daleko odjeżdża, —
 «miesiąc świeci, ona prosi by go dłużej widzieć,

«rozmawiać z nim mogła. Północ — słyhać dzwony;
 «powstaje jutrenka, bledną zorze, dzień biały świ-
 «ta, a biedna sierota żegna swego kochanka. — Nie-
 «chaj ci Bóg, mówi, szczęści w młode lata, niech cię
 «omina kłopoty, a niezapomnij o swojej sierocie.»

II.

Za panowania Jana Sobieskiego, kiedy piękna francuzka, *sercem najukochańsza Marysieńka*, siedziała na tym tronie, z którego zstąpiła, żona dwóch braci królów, Władysława IV i Jana Kazimierza, francuzka także, Marya Ludwika Gonzaga, wyszedł zbiór nowy pieśni miłosnych pod napisem :

«Lutnią wdzięcznej melodyey, tańców wesolych
 «i pieśni dworskich, teraz nowo zebranych Cu-
 «rantów i Baletów francuzkich: roku pańskiego
 «1685 (in 4^o druk gocki sign. a-c.)

Poznajmy bliżej te piosnki które miały sławę *elegantyi* francuzkiej w onczas.

TANIEC.

Głupia pszczołka, co leci na łąki zielone,
 Tusząc, że tam wynajdzie smaki ulubione;
 Głupia się do lilijej, do fijałków wdzięra,
 I słodki miód po kwieciu w Wirydarzu zbiera:
 Smaczne, ładne, nabyte słodkości
 Znosząc, wnosząc, do swęj majętności.

Głupia, gdybyś Marysi pyszczka skosztowała,
 Wirydarze zakwitłe, pewniebyś mijiała:
 Lepszy tam miód niż w róży, tam słodycz zbyt smaczna,
 Ale jej nie da użyć dziewczyna nie baczna.

Chroni, broni; a nie dziw, jest czego,
 Fuka, puka, broniąc dobra swego.

Głupi wróbel, co jagody po gałęziach dziubie,
 Słodkie grona po drzewach wysokich rad skubie,
 Gdzie chce się przelatywa, po drzewach dojrzałych,
 Szukając tam czereśni, i wisień nie małych,

Swiercząc, piszcząc, zażywa swobody,
 Wszędy, kędy obaczy jagody.

Gdybym ja był ptaszyną, nie insze wisienki,
 Smakowałbym tylko, twe usteczka trzesieńki;
 Teby moje jagody, teby wiśnie były,

Tychby się usta moje poziomek chwyciły,
 Które mile smakuje wzrok chciwy,

Rwałbym, ssałbym, ja na to, Bóg żywy.

Głupie czynią odległe zamorskie narody,
 Że się na dno spuszczają w ocean do wody,

Szukając tam przepysznych pereł i koralu,

Że je to świat poważa, i każdy rad chwali:

Płynie na nie skoro świt wzgłęb wchodzi,

Zorza z morza, gdy pada, wychodzi:

Dziewcze, gdyby twe usta w morze upaść miały,

Sliczniejszeby się pewnie nad koral widziały:

Jabym się po nie spuścił, na dno między ryby,

W gardło wielorybowi, wlałbym bez pochyby,

Byle mile, dostać się godziło,

Smacznych, zacnych warg; Boże, toć miło!

Kochanek wchodzi do ogródka swojej ulubionej;
 patrzy na różnorodność wonnych ziółek i kwiatów,

mniema że w raju. Tu fijałki, rozmaryn, gwoździki, róże, konwalia, lilie; on smutny mówi:

«Wszystko za nic ma kochanko, gdy nie masz ciebie,
Mnie zaden kwiat niepowabi wonny do siebie.

Tymczasem noc ciemniejsza powstaje, deszcz dobrze leje, on czeka czy nie wyjrzy do niego, czy go niedaruje *wiankiem*, tą oznaką wzajemności. Ale czeka napróżno, w zazdrości już kochankę posądza, że z innym bawi rada, dla drugiego go zabaczyła, mimo to, nie przeklina, nie płacze, a życząc jej szczęścia, żegna ogródek, zostawiając w nim wianek, jako znamię że tu był, i czekał tęskny kochanek.

Panna tak swe uczucia tłómaczy:

«Oddaję ci mój kochanku westchnienie moje,
«jako upominek wewnętrznych skrytości: dałabym
«ci i duszę, gdybym ją w mocy miała, bo wier-
«nie cię miłuje. Westchnieniem serce żyje, west-
«chnienie rozkazało zakochać się w tobie: uczułam
«miłość, i wszystek umysł skłoniłam ku tobie. Los
«tak dał abym cię miłowała, póki duszy w ciele; i
«nie przestanę cię kochać, aż do skonania mojego.»

Zawadzi tu czasem śpiew, co pieśń ludu przypomina, jako w tym:

«Abym ci ja nieszczęsny ptaszek skrzydła miał,
Jużbym dawno do ciebie miła poleciał.»

* * *

Jaką widzimy czulość, romansowość w tych pieśniach, przesadę, to wszystko znajduję i w obejściu rzeczywistym. Młodzieniec chcąc okazać pannie swoją miłość, w tańcu jej trzewiczek przystępował (1), a panna gdy była mu wzajemną, dawała pierścionek z palca, chusteczkę wyszywaną, lub wieniec. (2) Wiencze w onczas grały niepospolitą rolę: kochanek wieniec ulubionej dawał, zawieszał skrycie pod oknem. lub kładł na jej łożu dziewiczem, dla gościa wito wieniec różany (3), a taki wianek był tak ulubiony, iż powstało przysłowie jeszcze w XVI wieku: „*stanął za różany wianek*,” gdy chciano wyrazić, że kto, czy swoim przybyciem, lub usługą, zrobił drugiemu nieopisaną przyjemność. (4) Umiał gaszek nadskakiwać pannie dla zyskania sobie wzajemności. W jednej pieśni (5) opuszczona dziewica, tak opisuje zalotnika swego usługi, i zabiegi.

«Kędy teraz twe usługi, i kędy ukłony,
Kędy lutni słodkobrzmiaćej głos ów ulubiony.

(1) J. Kochanowski Sobotka.

(2) Rej Wizer: W piosnce u Trzyptyckiego (co nowego albo dwór) wyrażono jest: jak panna swemu kochankowi dawała «Chusteczki wyszywane, Pierścioneczki składane.»

(3) Malcher Pudłowski. Fraszki r586 r.

(4) Przypowieści S. Rysińskiego 1619 r.

(5) Koło tańca wesołego: z XVII. wieku broszura.

Który bez przestanku,
 Zmiérzchem do poranku,
 Słyszec się mi dawał?
 Przy nim winszowania,
 I ciche wzdychania,
 Lekuchność podawał!

Nie masz teraz dawnych zabaw, ani słyhać pienia,
 Pełne serce tęschnic, uszy pełne i milczenia.

Gdzie zwyczajne śmiechy,
 Gdzie dawne uciechy

Niebaczny człowiecze?

Niewiesz że pogoda,

I godzina młoda,

Prędziuchno uciecze!"

Kiedy zyskał gaszek wzajemność, otrzymywał pozwolenie bywania, a to się nazywało *ogłędy*: była na to pieśń u dziewcząt, której początek:

«Już przyjechał na ogłędy,
 I oczyma patrzy wszędy,
 Czy Anusi nie ma? (1)

Na tych ogłędach powinien się pokazać wymownym, rozsądnym i dowcipnym. Bywali tacy, co pewni miłości panny, zaniedbywali się, to poziewali przy kochance, spali długo, a przyszedłszy nie rano, przeciągali się jakby niewyspani. (2) Gdy podobnym postępowaniem, oburzyli rodziców, czy starszych

(1) Pieśń tę śpiewa drobna szlachta w Augustowskim.

(2) S. Klonowicz: Worek Judaszów.

krewnych, a ci uradzili, że trzeba dać odprawę: odsyłano zaraz podarunki jakie kiedy który złożył. Jeżeli biedna panna kochała go jeszcze, na znak swęj miłości, i że nie z jej woli to pochodzi, dla znamienia żalu swego, posyłała mu podarowaną chusteczkę, łzami zwilżoną, a w niej pierścień.

Młodzieniec w takim razie, gdy szczerze kochał, usilnie się starał przeprosić rodziców, czy krewnych, stroił się zaraz; pisze listy lub wiersze, złotym posypując piaskiem: posyła marcepany, zanosি woniejące wieńce, pod oknami kochanki lub sam przygrywa na lutni, lub wyprawia serenady. (1)

Te zabiegi nie były zwyczajnie próżne, przyjmowano je mile, i najczęściej wracał szczęśliwy kochanek, aby stanąć na ślubnym kobiercu.

W ostatnim zbiorze z r. 1685 pieśni miłosnych, znajdują się piosuki do kielicha: i nieprzypadkiem zawadziły tu one, bo już wtedy uznawano, że do miłości zagrzewano się pułharem, on wybijał melancholie z głowy, a do tego wedle piosnki staręj, potrzeba było tych trzech rzeczy:

«Wina, panien, a muzyki.»

Przytoczę tu pieśń taką: «*Na dobrą myśl.*» z powyższego zbioru:

Zagrajcie wesoło,
Zacznę bowiem *koło* (2)

(1) Klonowicz: J. Kochanowski fraszki. M. Pułdowski fraszki.

(2) Rodzaj tańca.

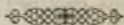
Siedząc u tego stoła,
 Niech będzie myśl wesola!
 Na stronę kłopoty,
 Wy pijcie z ochoty:
 Życząc jeden drugiemu,
 Przyjacielowi swemu.
 Za zdrowie pełnijcie,
 A pełną nalejcie!
 Niech będą dobrzej myśli
 Wszyscy co tu dziś przyszli.
 Gospodarz wesoly,
 Da nam dziś do woli.
 Zażyjmy wesołości,
 Przy jego obecności.
 Kompanija cnotliwa,
 Niech ochoty zażywa:
 Teraz przy dobrym trunku,
 Nie po żadnym frasunku!
 Póki nam czas służy,
 Abo i wiek płuży,
 Potrzeba zażyć świata,
 Póki nam służą lata.

H. Wł. Wójcicki.






Podwójne Widzenie.



Z ANGIELSKIEGO

(z Rycina.)

ługo zamek Wilfordzki w pokoju i poważnej ciszy, wznosił starożytne swe wieże pod obłoki. Nagle ruch niezwyčajny i pomieszenie, wstrzęsły jednostajnem dotąd życiem jego mieszkańców. Pod czułem okiem matki, wychowani dwaj synowie lorda Wilford, Edwin i Ryszard, nabyli razem wprawy do najtwardszych zapasów i trudów, w rycerskim ich stanie, niezbędných. Starszy jednak Ryszard, więcej przywiązany do domu, nie myślał jeszcze zamieniać dni swobody, na wojenne w odległych stronach zatrudnienia. Inaczéj się działo z młodszym

Edwinem. Nieczynność w jakiej dotąd zostawał, a raczej jednostajność życia, wprawiały go w niecierpliwość, i budziły w nim nieprzewycięzoną chęć do spraw rycerskich. Niebezpieczeństwa Króla Karola, zagrzewały go do walki w obronie tego monarchy; uniesiony tą jedynie myślą, począł wystawiać powolniejszemu bratu, nieczynność, w jakiej dni ich młodości upływały: ukazywał mu drogę sławy, którą szli wszyscy rycerskiego urodzenia ludzie, a oko jego błyszczało, jakby przed ogniem nieprzyjacielskim. Ryszard zamiast odpowiedzi, zwrócił oczy na Giertrudę wychowanicę lady Wilford, i spotkał się z oczami téj młodej i czulej dziewczyny, która je powolnie i z rezygnacją spuściła.

— «Jedźmy, zawołał potem wzruszony. Nikt nie powie; że Ryszard Wilford, wyrzekł się swojej powinności. Jedźmy, i zobaczymy, kto z nas dwóch pierwszy, rycerskich zaszczytów dostąpi?» Tak mówił, ale pod pozorem obojętnego posłuszeństwa, na głos sławy i obowiązków stanu swego, ukrywał najdotkliwsze boleści, i najtrudniejszą walkę w swém sercu. To jeszcze nie opuścić było dziedzinę swą po-raz pierwszy; pożegnać nawet matkę ukochaną i ojca, którego był synem i przyjacielem razem; wszystko to pociechę i wynagrodzenie znaleźć mogło! Ale opuścić Giertrudę, wybraną od serca kobietę, uwielbianą — to okropna ofiara. Ryszard i Giertruda rozdzielając się tego wie-

czoru, podali sobie ręce. Czarna zasłona spadła między nich; a smutne przecucie rozdzieliło ich dusze.

Inaczej się działo z Edwinem; radośny i pełen nadziei, gdy ukląkłszy przed rodzicami, odbierał ich błogosławieństwa; szpada jego wzniesiona do góry, zapowiadała zwycięstwo; a umysł unosił się za sławą.

Giertruda zamknąwszy się w swoim pokoju, usnęła z sercem i umysłem miotanym najsmutniejszymi myślami. We śnie zdawało się jej, że widzi Ryszarda, jak oddalając się w góry, pomimo wołania jej, nic nie odpowiadał, lecz ciągle dalej postępując obracał się tylko, żeby ją widzieć jeszcze. Edwin zaś, jechał w postawie co-raz bardziej zwiększającej się, i tak sporo jechał, że go Ryszard doścignąć nie mógł. Giertruda usiłowała ukryć się; ale widok ten zawsze się jej przedstawiał. Nakoniec Ryszard tak daleko został od brata, że już jeden tylko jechał. Wtenczas młoda dziewica postrzegła, że gęsty obłok otoczył go zupełnie i ciemność rozciągnęła się nad całą okolicą, a wszystkie przedmioty zniknęły w niej. Powoli chmury się rozproszyły, ale Giertruda nie zobaczyła już więcej Ryszarda! Na miejscu zaś tém gdzie on znikł, wznosił się grób otoczony kwiecistym wawrzynem, a obok stało ulubione jej drzewo pomarańczowe; poznała je po białym porcelanowym wazonie, w któ-

rém rośło. Przebudzenie się jój było głuchym, przedłużonym jękiem; cierpiała jak przy skonaniu.

Ryszard także usnąwszy, podobnie widział we śnie, jak długo podrużując obok brata, został potem za nim, i pomimo całej usilności, nie mógł się z nim połączyć. Niewidzialna ręka przygniotła go swym ciężarem; skłonił się ku ziemi, a czując się omdlewającym, postrzegł wdzięczną i białą postać unoszącą się nad nim. Była to Giertruda uwieńczona kwieciem pomarańczowym, która wyciągając śnieżne dłonie do niego, ulatywała ku niebu.

—Nigdy więc nie połączymy się z sobą! zawołał zrywając się ze snu; nigdy ona nie będzie dla mnie czém innym, jak tylko narzeczoną. Nieszczęśni! nie żyliśmy dla siebie jeszcze. Ach! ja niechcę tak wczesnie umierać!

Nazajutrz z samego ranku, poszedł Ryszard do zwierzyńca. Wschód słońca był zachwycający, promienie jego złociły wierzchołki wspaniałych drzew otaczających zamek. Rozgłośny śpiew ptasząt witał uśmiechającą się naturę, i dusze szczęśliwe napawały się radością. Ale ci co z sercem zbolełem wstawali z łoża cierpień, ani takim widokiem ukoić się nie mogli. Owszem, Ryszard przebiegając poraz ostatni może, te miejsca, których nigdy nie opuścił, zdawał się być jeszcze więcej przywalony smutkiem tego rana. Niestety! myślał sobie, może już nigdy nie zobaczę tych łąk zielonych, może nigdy już nie

zerwę kwiatu z pomarańczy mojej, do wplecenia go we włosy kochanej Giertrudzie! O moja Giertrudo! zawołał, i obfite łzy, zrosiły mu oczy.

Głębokie westchnienie odpowiedziało jego żalom. Giertruda stanęła przy nim jak wryta, blada i jak on rozpaczająca. Spojrzała nań potem chwilę i podając rękę w milczeniu, płakała.

— «Pocóżeś tak rano wstała Giertrudo?»

— «Sama nie wiem dla czego; potrzebuję odechnąć swobodniej, bo się duszę pod ciężarem okropnych marzeń. Ale ty Ryszardzie dla czego już tutaj tak rano?»

— «I ja podobnie szukam żeby się czemś rozzerwać, też same myśli mię obsiadają; nie można gwałtem pokoju wlać w duszę, Giertrudo!»

— Nie zobaczemy się już więcej! zawołali razem oboje rzucając się w objęcia, bez wyznania jednak przyczyny wzajemnej rozpacz.

Rozdzielili się nakoniec, a Giertruda udała się do lady Wilford, której całowała ręce, błagając, żeby miała wzgląd na jej trwogę: bo widziała we śnie, że jej przyjaciel zginie jeśli się oddali. Ryszard zaś wzięwszy brata pod rękę, przechadzał się z nim pogrążony w smutku, opowiadając sen, który mu los jego przepowiadał, i oba zachwiani w przedsięwzięciu, pytali wzajemnie, czy wypadało niezważać na to ostrzeżenie nieba.

Napróżno stary baronet usiłował podnieść znękanym umysłom, podwójne widzenie, to światło przyszłości, to zwierciadło duszy, oświeciło smutną i żalobną jasnością zamiary podróży obu młodzieńców, ponury smutek towarzyszył ich pożegnaniom....

Biędne dwa młode serca! przywykłe żyć jednym tylko życiem, jakże się odważyć na rozstanie? Biędna dziewczyna, tak naiwnie zabobonna, miłością narzeczonej pała dla przyjaciela swej młodości, a tkliwością opiekuńczą siostry, chce osłaniać wszystkie kroki jego. Ależ ten sen nieszczęśny, jakże ją miota i jak okropnym ciężarem przywała!

Było coś uroczystego w tej tkliwej prostocie zjawką młody Ryszard upraszał baroneta, ażeby przed wyprawą jeszcze, związek małżeński poświęcił miłość która go z Giertrudą łączyła. Powiedziałbyś, że to jest skazany na śmierć, co zna liczbę dni pozostałych mu do życia, lub umierający, co sam wykonywa ostatnią swą wolę.

Smutny obchód tego małżeństwa, któryby powinien być tak radośnym, naznaczono za kilka dni; ale niestety! młodzi ochotnicy odebrali rozkaz natychmiast połączyć się z wojskiem i trzeba było nagle wyjechać.

—«Ach! widzisz, rzekła Giertruda ściskając silnie tego, którego rozumiała, że już więcej nie zobaczy, «widzisz że nie jesteśmy przeznaczeni jedno dla drugiego.»

«Droga przyjaciółko, odpowiedział Ryszard głosem proroczym, *drzewo pomarańczowe kwitnie przy grobie!*»

Na te słowa, cały sen ów przeszedł przez pamięć młodej dziewczynie. Wkrótce znalazła się sama jedna, i klęcząc, modliła się i wyciągała ręce ku temu, którego już nigdy nie miała zobaczyć.

Rok upłynął od tego smutnego pożegnania; wojna została ukończona, obrońcy królowcy mogli bezpiecznie powrócić do domów, i synowie też baroneta Wilford mieli wkrótce ujrzeć znowu rodzinny zamek, gdzie ich tak niecierpliwie oczekiwano. Dwaj młodzi rycerze zrobili swoją powinność. Edwin wracał obdarzony łaskami i nagrodami, dumny swojemi czynami. Ryszard przeciwnie, zdawał się z udręczeniem dźwigać ciężar życia. Ktoby go widział w odmęcie bitwy, obojętnego na wszystko co go otaczało, uznałby, że to jest człowiek przeznaczenia, który się niczego nie lęka, bo jeszcze jego dzień nie przyszedł, i który sobie zawsze powiada: «dziś lub jutro, wszystko jedno!»

Obadwa bracia, chociaż zupełnie odmienném przeznaczeniem rozdzieleni od siebie, zbliżyli się nakoniec aby wrócić razem na łono swęj rodziny.

— «Bądźże dobrej myśli Ryszardzie, za kilka dni zobaczysz swoją Giertrudę.»

— «Któż to wie?» odpowiedział Ryszard posepnie.

Tymczasem piękna i dobra Giertruda ożywiona została nadzieją, że jeszcze mogła sobie powiedzieć: — on wraca!

Kiedy już wszyscy zapewnieni byli o powrocie, cały zamek przybrał na siebie postać uroczystości. Giertruda przywdziała suknie godowe od roku sprawione, a tak ubrana, z pewną już swobodą i upodobaniem, przypominała sobie owe łąy, które kiedyś tak gorzko w tę samą szatę odziana, wylewała, i która jej przez cały ten czas wydawała się być tak smutną, jak szata wdowy.

W starożytniej sali, od wyjazdu młodych lordów zamkniętej, zastawiono stół do uczy familijnej. W głównym końcu, na podwyższeniu umieszczono wielkie krzesło dla starego Sir Wilforda, który oparty za krzesłem lady Wilford, wpatrywał się w piękne oblicze zasępionej Giertrudy. Dwaj towarzysze lordów, uprzedziwszy ich, aby zwiastować o rychłym powrocie, stali u drzwi. Sala zamkowa odzyskała dawną swą wesolą postawę; przy stole pięć miejsc znowu było nakrytych jak to niegdyś przez lat dwadzieścia bywało.

Jednakże czas upływał, oczekiwani niecierpliwie rycerze nie przybywali, i trzeba było jeszcze raz bez nich zasiadać do stołu. Giertruda nie mogła się uspokoić, serce jej uciśnięte było smętnem przecuciem. Zdaje się że trzymając nawet rękę Ryszarda, jeszczeby wątpiła o rzeczywistości.

Lord Monsby przyjaciel dwóch braci, w zamiśleniu oparty o filar, na którym wisiał ryszunek wojenny, smutnym i osłupiałym wzrokiem, spozierał to na Giertrudę, to na dziedziniec zamkowy. Jakże miał być spokojnym, kiedy téj saméj nocy wyraźnie słyszał jęklivy dźwięk zbroi Ryszarda.

Młoda od lat dziecinnych przyjaciółka Giertrudy, przybyła do zamku aby podzielić radość ogólną, podawała mu kielich gdy w tém tentent wpadających na dziedziniec koni dał się słyszeć; wybiegli służący, a straż zbrojna zamkowa uszykowała się przy wielkich wschodach na przyjęcie młodych rycerzy. Sir Wilhelmi ledy Wilford, zeszedli na dół poprzedzeni od Giertrudy, w którą życie na nowo wstąpiło.

Lecz Edwin sam jeden przybywał! Sam dał chwilę szczęścia rodzicom! Ale po jego zmieszanej postaci i sukniach wnieładzie, po jego omdlałem oku i drżących ustach, Giertruda zrozumiała że już dla niej nie ma nadziei.

«Sam! zawołała omdlewając.»

— «Sam jeden! powtórzył głosem najboleśniej-szym, od skały pod którą go zostawił na ręku mojego koniuszego.

Jeszcze tych słów nie dokończył, a Giertruda już była daleko.

Ryszard złożony na murawie pod dębem, wyciągał do niej omdlewającą już rękę, chcąc ją ku sobie pociągnąć. Dusza jego się wydierała, ale zdaje się że myśl o ich miłości wzajemnej, usiłowała wstrzymać ją na chwilę jeszcze, w piersiach młodzieńca, Zrzucony z konia i wleczony od rozlukanego rumaka, rozbił głowę o pobliską skałę. Twarz jego była skrwawiona, cały zgnieciony i nie do poznania.

Giertruda padła umierająca przy nim. Przybieżono już tylko przyjąć ostatnie ich tchnienie.

— Edwinie! rzekła nękającym głosem nie zapominaj drzewka pomarańczy przy laurze różowym!"





GDAŃSK.

(z Rycina.)



Blisko na milę od morza Bałtyckiego, przy ujściu rzek Motławy i Raduni do Wisły, wznoszą się wieże znakomitego pod wielą względami w *historii*, handlowego i warownego miasta Gdańska. Gród ten początkiem swoim sięga dziesiątego wieku. Często on zmieniał panów. Gotowie, Wandalowie i Anglo-Saxonowie w rozmaitych czasach mieli tu swe siedlisko. W żywocie Świętego Wojciecha jest wzmianka, że tenże około roku 997 wybrawszy się na opowiadanie słowa Bożego w Pruskiej ziemi, wysiadł na ląd w Gdańsku, uroczyście odprawił mszę świętą i licznych mieszkańców ochrzcił. Nie małego już podówczas to miasto musiało być znaczenia. Założenie

tamecznego zamku przez Sobiesława księcia Pomorskiego przypada na rok 1163, podług innych na 1178. W roku 1209 Waldemar II. król duński Gdańsk opanował. Duńczycy w roku 1223 przez Świętopelka III księcia Pomorskiego wyrugowani z tąd zostali. Syn jego Wracisław w roku 1271 ustąpił to miasto szwagrowi swemu Konradowi Brandeburskiemu. Niedługo potem Polacy Gdańsk zdobyli, lecz go znowu Mestwin książę Pomorski odzyskał.

Pierwsze ślady należenia Gdańska do związku Hanzeatyckiego, lub przynajmniej ściślejszych z nim stosunków, odnoszą się do roku 1248. Niepodobna jednak oznaczyć z dokładnością roku, w którym Gdańsk przyjęty został do rzeczzonego związku, i dziewięte z kolei miejsce na jego obradach zajął. W roku 1300 dostał się on w moc margrabi Brandeburskiego, a w kilka lat potem znowu Polacy go opanowali. Lecz gdy Bogusz starosta, nieczuł się na siłach do odparcia Brandeburczyków, w roku 1307 sprowadził z Malborga w pomoc rycerzy zakonu krzyżackiego. Dowódzca ich Komtur ze Schwarzburga, zmusił margrabiego Waldemara do zaniechania oblężenia Gdańska; nie wiele to jednak przyniosło pociechy Boguszowi, bo Krzyżacy podstępnie na rzecz zakonu w roku 1309 miasto zajęli. Posiadanie onęgo, przyznane i zatwierdzone zostało zakonowi, umową zawartą w Kaliszu roku 1343, pomiędzy Kazimierzem Wielkim królem polskim,

a wielkim mistrzem Ludolfem König von Wai-
zau. Za tego mistrza Gdańsk urosł w zamożność i
liczbę mieszkańców, a pod Winrykiem z Kniprode,
jego przemysł i handel do kwitnącego przyszły sta-
nu. Ten mistrz w roku 1380 z powodu ciągle po-
mnażającej się ludności, założył nową część miasta
zwaną Młodem miastem, nad brzegiem Wisły, w o-
kolicach Oliwnej bramy. Wielkie podatki i ciężary,
ucisnęły Gdańsk pod sławnym Konradem Wallenro-
dem, gdy ten nieszczęśliwą dla zakonu rozpoczynał
wojnę z Litwą. W roku 1395 miało miejsce sławne
pośrednictwo miast hanzeatyckich między Małgorza-
tą i Albertem, którzy o tron szwedzki spór wiedli:
wówczas oni Gdańszczanom i Lubeczanom miasto
Sztokholm w zakład oddali.


Z upadkiem potęgi zakonu Krzyżaków, Gdańsk
wypowiedział im posłuszeństwo i oddał się pod opiekę
Kazimierza Jagiellończyka, króla Polskiego. Krzyżacy
ustąpili z zamku i miasta, a zamek zaraz potem po-
spółstwo rozburzyło. W roku 1457 Kazimierz król
przybywszy do Gdańska przysięgę homagialną od
mieszkańców odebrał. Prawa i przywileje, przez tego
monarchę i jego następców miastu nadane, swobody
jego rozszerzając, do wysokiego stopnia potęgi i zna-
czenia je podniosły. W połowie XVI wieku reformę
Marcina Lutra przyjęli Gdańszczanie. Niemale cier-
pienia dotknęły to miasto podczas oblężenia w roku
1577, kiedy Gdańsk oświadczył się przeciwko obra-

nemu królem Polskim Stefanowi Batoremu, trzymając się strony arcy-księcia Maxymiliana. Cięższych atoli jeszcze klęsk doznał w czasie wojny Polaków ze Szwedami za Gustawa Adolfa i Karola Gustawa. Czynny udział w sprawie Stanisława Leszczyńskiego przyczynił Gdańskowi wiele utrapienia. Dzieje tego miasta ciąglem odtąd, z małemi tylko przerwami, były pasmem niepokoju i wojennych kłopotów. W roku 1793 Gdańsk poddawszy się królowi Pruskiemu wszedł do składu monarchii pruskiej. W roku 1807 i 1813 wytrzymał oblężenia, i zwłaszcza podczas ostatniego ucierpiał niemało.

Dzisiaj Gdańsk liczy około 55,000 ludności. Handel zbożem polskim najwięcej ożywia przemysł mieszkańców. Okręty angielskie, hollenderskie, duńskie i szwedzkie corocznie tutaj zawijają. Miasto jest ładnie i porządnie zabudowane. Ruch handlowy ciągle tu panuje. Gdańsk posiada wiele gmachów starodawnych, tudzież liczne pamiątki historyczne, i dla nas szacowne.



[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page]



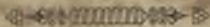
SPIS RZECZY

Podług Junion Autorów.

ANONIM. — Maczek i Pijotek	Str: 191
— Do***	202
— Anakreontyk	203
— Gdańsk (z <i>Ryciną</i>)	244
— Podwójne widzenie. Powieść z Angielskiego. (z <i>Ryciną</i>)	234
AUSZ — Testament starej panny. Powieść	50
CEZARY EM : — Podróż do wód. Powieść	69
FILLEBORN S : — Listek z Cmentarza	136
GO ANT : — Do Emmy	48
— Sonet	68
KORWELL KAROL — Kamień Powołania. Powieść histo- ryczna (z <i>Ryciną</i>)	138
— Królewiec (z <i>Ryciną</i>)	193
— Wspomnienia. Powieść	205
KARÓL ZK — Piosnka turecka (z Byrona)	184
MAGNUSZEWSKI D : — Pan Kaniowski. Powieść	153
M — Marzenie o szczęściu. Ułamek nie z poematu	113
NIE E. J. — Podanie familijne. Powieść (z <i>Ryciną</i>)	1

Str.:

ODYNIEC ANT : EDW :— Niebo i Ziemia Wyjątek z dramy lirycznej lorda Byrona	23
STANISŁAW Z DZIKOWA . — Powrót z odpustu	125
— Gospodarz i Czeładka	151
TYSZYŃSKI A : — O Poezyi Hebrajskiej	186
WÓJCICKI KAZ : WEA : — Rębacz	37
— Pan Jan i pan Michał	119
— Pieśni mitosne XVI i XVII wle- ku	218



F 23 3414



N. P. I 1720

F

23.341

4